

ZBIGNIEW SCHNEIGERT

II/930

TAKIE TQ BYŁO RZECZY POMIESZANIE

### Kto i poco pisze pamiętniki

Literatura pamiętnikarska jakoś nie cieszy się sympatią krytyków, a przedstawia sobą rozległą gamę tematów, not faktograficznych, różnorodność form i technik pisarskich. Zawsze jest związana jest z historią, socjologią. Jej cechą jest trudność hierarchizacji, gdyż nie wiadomo co przyjąć za jej ideę wiodącą. Biorąc pod uwagę pozycję przedstawianej faktografii należałoby pierwsze miejsce przewidzieć dla polityków, przywódców, proroków których działalność zmieniała obraz świata, ale w pamiętnikach tych ludzi istnieją cechy podkopujące wiarę w ich obiektywizm. Pompatyczność i przesada w ocenie roli Francji razi w pamiętnikach de Gaulla, wyspiarski ton i lekceważący stosunek to wszystkiego co nie brytyjskie przebija z pamiętników "Churchill Memoiren", za które dostał literacką nagrodę Nobla w 1953 r. żeby już pozostać przy najgłośniejszych pamiętnikach powojennej doby. Jako źródła historyczne pamiętniki grają poważną rolę, ale zawsze trzeba z nich odcedzić przecenianie przez autora jego roli, często wspomaganą fantazją. Ratunkiem są tu archiwa akt. Czasem pamiętniki stają się kanwą dla jakiejś literackiej fikcji i wtedy już grawitują do czystej literatury. Nie brak też pamiętników na zamówienie, dla potwierdzenia jakiejś tezy czy programu politycznego jak było u nas z pamiętnikami robotników czy chłopów.

Większość pamiętników jest związanych z wielkimi wstrząsami ludzkości, wojnami, zaborami, likwidacją całych narodów, a także wielkich zwycięstw i rewolucji. Najczęściej zapisy dotyczą dziejów zwykłych ludzi, czasem aktywnych, czasem biernych, ale uwikłanych uwikłanych w wypadki których nie afirmują. U nas ostatnia wojna spowodowała całą falę publikacji,

wspomnień, pamiętników i prac quasi historycznych. Charakteryzują ją dwa typowe nurty - bohaterstwa i cierpiętnictwa. Nurty te wytworzyły pewne kanony którym ulega proza pamiętnikarska i odstępstwo do nich jest <sup>nie</sup> mile widziane. Oba nurty mają silną motywację polityczną - pierwszy potwierdza dumę narodową, wartość narodu i słuszność sprawy polskiej, drugi potwierdza wartość moralną narodu i cenę jego wkładu w historię współczesną. Można tu też dodać że nie brak w nich odchyżeń w stronę potwierdzeń określonych idei, a często dezawuuują się wzajemnie, ot choćby Putrament i Wańkowicz.

Niestety oba nurty są narażone na te same schorzenia, przesadę, nierzetelność, idealizację własnych postaw, przy równoczesnym obciążaniu przeciwnika wszystkimi wynaturzeniami i głupotą polityczną. Krytykowi nie wypada kwestionowanie takich stanowisk, gdyż naraża się czytelnikom, nie spełnia zamówienia społecznego. Od pamiętnikarzy jest wymagana powaga w ocenie zdarzeń, a autorzy łatwo ulegają takiej sugestii gdyż poświadczą to o wyjątkowości jego osoby i zdarzeń o których piszą.

Często autor zaczyna pamiętnik od stawiania kapliczek swoim protoplastom, wzbogacając tekst portretami ludzi których jedyną zasługą że żyli. Jest taki pamiętnik w którym dzieje 60 protoplastów potrzebnych było dla ukształtowania dziejów autora. Nasza poszlachecka mentalność wymaga także białego dworku z kolumienkami. U mnie też taki dworek, a więc wszystko w porządku. Jest jeszcze jeden nurt pamiętnikarski, jego scheda erotyczna. Partnerki albo już nie żyją, albo nie odważą się ujawnić, można zatem o własnych sukcesach pisać bez umiaru, a często bez elementarnego taktu. Tu kłania się i Żeromski i Skorski i Rubinstein. Ja nie będę niczego pisać co

może być rozpisane tylko na dwa głosy, a często tylko na jeden mizerny śpiew solowy.

Niebezpieczną pułapką dla pamiętnikarza są nazwiska - ujawniać czy przemilczać? Prawda i wiarygodność notatek wymaga ich ujawniania, to proste w przypadkach pozytywnych, ale co robić jak osobnik był kajdakiem, kreaturą - a tu żyją jego dzieci, wnuki, ludzie przyzwoici. Nie można krzywdzić potomstwo za grzechy ojców, a i można narazić się na proces o zniesławienie. Wielcy pamiętnikarze zabezpieczają się testamentem zezwalającym na publikację po 50 latach. Będzie go czytało pokolenie dla którego staje się on już tylko literaturą. Należy być wiernym faktom czyli dążyć do prawdy, ale prawd jest tyle ile ócz na nią spogląda. Góruje zwykle jedna prawda, oficjalna, spetryfikowana przez historyków, podbudowana racjami politycznymi, naciskiem społecznym, no i żądaniem wydawców. Nie lubię takich prawd. Zawsze lubiłem zaglądnąć na jej drugą stronę. Im ktoś kategorycznie głosi swe prawdy, tym silniej występuje u mnie "esprit de contradiction". W życiu nie bardzo to mi się opłacało, często za to drogo płaciłem, ale miałem subiektywne przświadczenie że ja mam rację. Cóż, mogę czasem mylić, ale pamiętnik to nie praca historyczna, a historia oglądana przez przeciętnego człowieka, niedoinformowanego, poddanego wpływom, subiektywizuje obraz rzeczywistości. Gdy tak piszę o niepisanych prawach działań pamiętnikarskich ogarnia niechęć przed sięgnięciem za pióro. Nie byłem generałem ani mężem stanu, nie byłem bohaterem, a co gorsza nie byłem cierpiętnikiem, mimo że pięć wojen przetoczyło się nad moją głową - austriacko/rosyjska, polsko/ukraińska, polsko/bolszewicka, polsko/niemiecka i niemiecko/radziecka. Razem 11 lat niepewności życia, strachu o rodzinę, głodu, terroru, przesiedleń, ciągłej proletaryzacji

ekonomicznej. Czasy były jednak ciekawe, choć Chińczycy tego nie cenią. Ja uważam że czasy w których żyłem i jeszcze żyję są najciekawsze w historii naszej cywilizacji. W naszym stuleciu żyje 90 % uczonych i odkrywców z historii naszego rodu. Za moich czasów człowiek wylądował na księżycu i rozbił atom. ~~On~~ Czy trzeba coś więcej - chyba tylko wojny nuklearnej, ale wtedy byłbym tylko ofiarą a nie obserwatorem. Nasuwa mi się pytanie czy pamiętnik zwykłego człowieka, za którego się uważam, tylko po trosze uwikłanego w ciekwsze zdarzenia ma rację bytu? Wydaje mi się że odtwarzanie przeszłości przez oba już wymienione nurty ma jedną zasadniczą wadę - oba dotyczą ludzi poddanych maksymalnym napięciom emocjonalnym, cierpieniom fizycznym, stałym stresom, co nie mogło nie pozostawić trwałych zmian w psychice. Niezawsze ci autorzy mogli być zdolni do codziennego trudu budowy nowej rzeczywistości. Prawdziwymi budowniczymi byli ludzie środka, którzy cały swój wysiłek w czasie wojny kierowali na zabezpieczenie swej egzystencji, nie wyrzekając się własnej godności i czci. Ci ludzie nie piszą pamiętników, bo wszystkie byłyby do siebie podobne, a najpekniej ich treści ujęła by nie historia a statystyki.

Więc piszę - wiele z tych tematów ogłosiłem wycinkowo i poprzykrawanych w różnych pismach i w różnych czasach. Wiele zostało w notatkach, listach, fotografiach. Wiele, bardzo wiele zachowało się w zakamarkach pamięci, w czasie pisania wychodzą z mroku i przypominają się. Jedno zdarzenie przywołuje drugie i powstaje cała sieć wspomnień, które trzeba zaraz przeczesać, a wiele z nich wyrzucić i z pamięci i z pamiętnika. Mówię o pamięci - najdziwniejszej cesze naszego mózgu. Prawa jakimi on się rządzi chyba nigdy nie zostaną wyjaśnione. Nasze bajania o nerwach, neuronach, zmianach chemicznych, prą-

dach i potencjałach, podbudowywania techniką komputerową są zupełnie zawodne i niczego nie tłumaczą. Mamy tu do czynienia z inną jakością którą wątpię czy ludzkość będzie wogóle zdolna pojąć. Pamięć ma też swoje kaprysy których ani psychoanaliza, ani geny, ani Duch Święty określić nie potrafią. Zapomina się pewne sprawy, nie koniecznie złe i przykre, a pamięta błahę. Pewne okresy życia, zupełnie banalne pamięć nie wymazuje. Do innych dodaje jakieś cudze zdarzenia, zasłyszane, dośpiewane przez własną fantazję. Coraz trudniej decydować o tym co należy wyrzucić z pamiętnika a co zostawić. Czasem na widok jakiegoś zdjęcia, obrazu, spotkania, raptem odblokowują się z pamięci potoki bitów. Jedno wspomnienie ciągnie za sobą drugie i człowiek się dziwi dlaczego skleroza nie zasklepiła całego magazynu wspomnień. Pomyśleć że gdyby ten nieznany magazyn wspomnień mógłby być przeliczony na bity, to musiałby być wyrażony dziesiątką do wielocyfrowej potęgi. Pomyśleć że ten niezmierny magazyn bitów obróci się w niwecz gdy na przykład wpadnę pod samochód, albo powali mnie zawał. Nic w ~~mojej~~ naturze nie ginie, nieprawda, ginie mózg z jego niewyobrażalnym ładunkiem, ginie wbrew praw termodynamiki. Energia umysłu przetwarza się w nicość. Można by zparafrazować Descarta na ~~non cogito ergo sumus~~ "non cogito ergo non sumus".

Pisać jednak muszę - trochę dla własnej przyjemności, trochę dla rodziny, a trochę z nadzieją na wydanie. Odchodzę od sztywnej chronologii, przeskoczę przez komunał i banał, czasem zrobię sobie małą, białą plamę, psklejam do kupy co zostanie i zobaczę co z tego <sup>wyniknie</sup> zostanie, co powie recenzent, no i co powie czytelnik.

Muszę skromnie przyznać że bez względu na wartość i sens moich wspomnień, samo pisanie sprawia mi przyjemność. Zwłaszcza

że poraz pierwszy piszę o sobie, o ludziach, o zdarzeniach, o losach. W życiu pisałem dużo, 10 książek i około <sup>3</sup> 300 prac, ale zawsze były to tematy techniczne i choć dawały mi pewną satysfakcję, no i opłacały się, ale nie miały dla mnie "smaku". Zobaczę co z tą będzie.

Słowa te skreśliłem zamiast wstępu.

### Zaczęło się pod dębem

We Lwowie, pod stokiem Cytadeli, pomiędzy ulicą Pełczyńską i ulicą Łazarza, przebiega krótka uliczka Bogusławskiego, zabudowana skromnymi kamieniczkami, spośród których odcina się duża, pretensjonalna kamienica w stylu wiedeńskiej secesji, własność Wiksła. Na jej podwórzu mieściła się fabryka wódek. Przytulona do niej, stała jedyna kamieniczka w tyrolskim stylu z małym ogrodem od frontu, którego ozdobą był potężny dąb, o średnicy pnia chyba ze trzy metry. Dąb ten wytrzymał pierwszą wojnę światową, po niej stokroć groźniejszy czas barbarzyńskiego inżyniera, który dla uzyskania metra chodnika, poprzycinał jego korzenie. Dąb wytrzymał i drugą wojnę światową i nadal stoi w sowieckim już Lwowie.

Kamieniczka należała do pani Mokrzyckiej, pochodzącej ze zruszczonej szlachty, której syn z gorliwością neofity, jeszcze przed pierwszą wojną światową budował nacjonalizm ukraiński i z tej przyczyny stale wojażował do Pragi, Wiednia i Berlina. Pani Mokrzycka była wdową i żyła tylko pamięcią o zmarłej córce, dla pamięci której stworzyła w swoim salonie kaplicę pełną fotografii, kwiatów i pamiątek. Poza kultem zmarłej, trawiła czas na studiowanie pisemek religijnych poświęconych nawracaniu Murzynów. U niej oglądałem rysunki Czarnej Afryki, czarnych Murzynów, chat z sitowia i dla niej zbierałem canfolię z czekolady na wykupienie Murzynka, którego ku memu zawodowi nigdy nie ujrzałem.

W tej kamieniczce mieszkali moi rodzice i którym w 1910 r. sprawiłem radość swoim urodzeniem. Ojciec był urzędnikiem pocztowym, matka jakiś czas do zamążpójścia pracowała przez 8 lat jako telegrafistka. Fakt ten spowodował dzwiny ciąg spraw aż do jej zgonu. Chodziło o ... emeryturę. Z chwilą odejścia z pracy zaliczono jej 10 lat pracy, co uprawniało do otrzymania jakiejś



emerytury. To prawo respektowała Polska przedwojenna, respektowały władze sowieckie, później i okupacyjne władze niemieckie<sup>e</sup>, w reszcie i władze Polski Ludowej. Zdumiewające, aż pięć rządów w trzech państwach musiało wziąć na siebie ten dziwny obowiązek. Matka mieszkała ze swoją matką, wdową po Abrysowskim. Dziadek zmarł przed moim urodzeniem, był on wnukiem dekabrysty, księcia Abrysowskiego, który wraz z bratem, po upadku powstania musiał uchodzić do Galicji. Ich ojciec, pan na dziewięciu wsiach pod Kijowem, pozostał wraz z córką na swoim i po jego zgonie w wieku 92 lat, dobra przeszły na własność państwa. Przed ~~pięć~~ pierwszą wojną mój wuj wszczął proces w Kijowie o rewindykację, ale wojna przerwała starania. W latach 1988/89 kiedy powstało w Moskwie Muzeum<sup>m'</sup> Dekabrystów zwróciłem się do nich o informacje. Niestety Muzeum ma jedynie akta z procesów. Widocznie mój pradziad zwiąkł przed procesem. Babka, Anna von Dillinger, pochodziła z Dolnej Austrii i całą rodzinę straciła w czasie wojny pruskiej. Ocalał tylko jej ojciec, w bliżej nieznanym mi warunkach utracił majątek i służył jako oficer w armii austriackiej. We Lwowie mieszkał jedyny brat mojej babki, który przez pomyłkę księdza otrzymał nazwisko Tillinger, z niewiadomych przyczyn nie sprostował omyłki. Może przeczuwał że w epoce prohibicji w Stanach Zjednoczonych wsławił się gangster<sup>von</sup> Dillinger, który także pochodził z Dolnej Austrii. Nie wiele wiem o ~~moim~~ moim wujecznym dziadku. Mieszkał z żoną i córką we własnej, starej kamienicy przy ulicy Skarbkowskiej, w oficynie której tylną ścianę tworzył mur obronny starego Lwowa. Widziałem go niedługo przed jego śmiercią. W głębokiej pościeli leżał starzec z długą brodą, wokół którego krzątały się żona i córka, bez przerwy gadające i narzekające. Miały wyraźną dewiację.

Wiem o nim tylko tyle że był wydawcą. Zachowały mi się

trzy kalendarze z przed pierwszej wojny i kilka numerów pisma humorystycznego pod tytułem Śmigus. Pismo to wcale nie było takie frywolne. W ostatnim kalendarzu, drukowanym na cienkim, różowym papierze, z doskonałymi rysunkami znajdują się ciekawi autorzy. Henryk Sienkiewicz z nowelą "Antyki", Stanisław Reymont z "Wigilią Bożego Narodzenia", Maria Rodziewiczowa<sup>na</sup> z "W drodze", Bolesław Prus z "Bez stypendium", wiersze Edmunda Zechetnera "Legenda o grzechach", Adolfa Nowaczyńskiego "Meandry", Benedykta Hertza "Ochota", Kazimierza Glińskiego, Kazimierza Przerwy-Tetmajera "Złoty chełm" i inne utwory sygnowane literam. O rodzinie Dillingerów znalazłem notatkę w książce Luisa Trenkera "Bergwelt-Wunderwelt" że Bergrat tego nazwiska bogaty notabl, brał udział w ekspedycji wraz z uczonymi z Salzburga i finansowanej przez biskupa z Gurk, Altgrafa von Salm-Reifferscheid na Grossglockner. Szczyt osiągnęli 23 lipca 1799 r. na którym ustawili krzyż. Chętnie przyznałbym się do tego protoplasty i jemu przypisać ten gen który mnie przez całe życie zwracał ku góróm.

Wspomniany już austrijski <sup>oficer</sup> został przeniesiony do Lwowa i pracował w Namiestnictwie. Ożenił się z osobą o bardzo dziwnym nazwisku - Mojses-Leopolita, mieli dwoje dzieci, wspomniany już Józef Tillinger i moja babka. W czasie okupacji spotkałem jego córkę. ~~Józef~~ Mieszkała dalej w tej okropnej kamienicy, wśród jakiejś hołoty która zagabiła mieszkanie pożydowskie. Nie wiem w jaki sposób znalazła się jako krawczyni w warsztatach w obozie żydowskim przy ulicy Janowskiej. Był to chyba pierwszy obóz działalność którego doprowadziła do całkowitej likwidacji Żydów. Nim do tego doszło istniały tam baraki z warsztatami w których szyto płaszcze dla wojska. Pracowały w nich Żydówki z obozu, a także dochodzące kobiety z miasta, wśród nich moja

kuzynka. Nie była to osoba rozmowna, zawsze było u niej widać niedorozwój umysłowy. Potrafiła jednak opowiadać co widziała ze swego warsztatu. Wstrząsające były biegi więźniów na sto metrów. Ostatni był strzelany na miejscu. Można sobie wyobrazić ten straszliwy doping. Innym zajęciem straży na wieżach było strzelanie do Żydów którzy musieli korzystać z otwartych latryn. Zmuszało to ich do śmiertelnego pośpiechu. Przy wejściu do obozu, co sam widziałem, grała duża orkiestra w której przeważały smyczki. Wracających z pracy witały walce Strausa<sup>S</sup>. Nie wiem co się stało z kuzynką. Gdy w 1974 r. odwiedzałem tą kamienicę, która jak całe stare miasto była pięknie odrestaurowana i tworzyła uroczy zakątek nikt o niej nie wiedział.

O ojcu będę pisać na innych kartach, bo to historie bagatry w zdarzenia i sięgająca w dalsze lata.

Poddany Jego Cesarskiej Mości

Nasze mieszkanie przy ulicy Bogusławskiego było skromne. Dwa pokoje i kuchnia. O przedpokojach i klozetach jeszcze się nie marzyło. Wodociąg był na klatce schodowej, a wygódka opadała na kńcu ganku. Umeblowanie było wygodne, oczywiście pełna secesja, dziś te sprzęty miałyby niezłą wartość na targu staroci. Obszerna kanapa z figurkami na półeczce. Tremo, czyli lustro, przedzielone półeczką z szufladkami, na których stał zawsze słoje pełen fig i migdałów. Nisko zwisająca lampa naftowa z okrągłym knotem co było wówczas bardzo nowoczesne. W sypialni blado-różowa ampla, a na osobnej trymódce skrzynka z wielką pozytywką marki "Galiopé", zakupiona przez ojca na wystawie w 1894 r. wraz z kilkudziesięcioma płytami z blachy, w której wytłoczone zadziory odgrywały w czasie jej obrotu cały ówczesny repertuar melodii wiedeńskich i czeskich. Ojciec nie zakupił pokazywanego na wystawie fonografu Edisona gdyż odbiór melodji odbywał się za pomocą słuchawki wtykanej do ucha, uznał to za zbyt prymitywne.

W tym mieszkaniu spędziłem cztery lata swego życia, jako jednak otoczony troską rodziców, babki i pani Mokrzyckiej. Nie ochroniło mnie to od choroby która wówczas trapiła wiele dzieci, była to "angielska choroba", objawiająca się deformacją nóg w "obajny" lub "iksy". Moje nogi wygięły się w piękne łuki i rodzice szukali pomocy u różnych lekarzy. Dopiero doktor Oxer potrafił wyprzedzić swoje czasy i zalecił przebywanie na słońcu i zabawy w gorącym piasku. O witaminach nie było mowy, czekały na odkrycie.

Cztery lata, pozornie okres nie godny uwagi. Tymczasem był to dla mnie czas wielu przeżyć, doświadczeń które utrwaliły się na całe życie, które utkły w pamięci z dziwną i niepotrzebną dokładnością. Były tam wizyty u rodziny, jakieś pogrzeby na

które jeździło się kareta, było oglądanie zaćmienia słońca przez zakopane szkło, było odprowadzanie matki do konserwatorium, gdzie pod batutą Sołtysa śpiewała sopranem, były wreszcie najbardziej upragnione wyprawy do kina dla dzieci, które mieściło się przy ulicy Kopernika i zwało się ~~XIV~~ "Uciecha". Tam widziałem pierwsze filmy animowane w których grały owady, pierwsze filmy kolorowe gdzie grał wielki pies bernard, komedyjki ze zwariowanym samochodem. Były wreszcie wyjazdy do Buczacza, do ojca rodu. Tam zawarłem dożgonną przyjaźń z psem naszej gospodyni, poznałem cud znoszenia jaja przez jej ulubioną kurkę lilputkę, chowaną w kuchni i śpiącą na piecu. Trudno mi powiedzieć jak te różne, nie powiązane ze sobą wydarzenia rzutują na dalsze życie, ale fakt że pozostały w tworzywie mózgu nie może być bez znaczenia.

Cały ten okres ciepła rodzinnego został nagle przerwany wybuchem wojny. Zaczęło się od popłakiwania matki, niepokoju babki a kulminacja nastrojów nastąpiła w czasie wycieczki z rodzicami na kopiec Unii Lubelskiej. Tam wiele osób i moi rodzice wpatrywali się w kierunku Brodów, skąd miały dochodzić odgłosy strzałów armatnich. Nie słyszałem ich, ale odczuwałem nastrój grozy jakichś nieznanym, zbliżających się wypadków. Potem nastąpiło ściąganie kufrow ze strychu, pakowanie, ale nie znalazło się w nich miejsce na moje zabawki. Wreszcie ojciec ubrał się w mundur, w czapkę z bączkiem i ze szpadą przy boku pojechał z nami na zatłoczony dworzec. Ta maskarada z mundurem była potrzebna dla ułatwienia dostania miejsca w pociągu. Pojechaliśmy z krótkim zatrzymaniu w Przemyślu do Nowego Sącza, do brata mego dziadka.

Ten zimny dziadek miał w środku miasta dom wybudowany w stylu, jak on uważał, japońskim, a to w dowód sympatii do Japonii po jej zwycięstwie nad Rosją w 1905 r. Po drugiej wojnie miasto zburzyło ten dom i teraz stoi tam pudło Banku Polskiego.

Wkrótce dojechali tam członkowie rodziny z Buczacza, dwie ciotki wujostwo z czworgiem dzieci. Otrzymaliśmy wagon towarowy i wylądowaliśmy we Wiedniu. Tam na dworcu Franz Joseph Bahnhof poinformowano nas że niema sensu zatrzymywać się w przepełnionym już mieście i skierowano nas do odległej o sto kilometrów, letniskowej miejscowości nad Dunajem, Marbach<sup>u</sup> w pobliżu ~~Melku~~ Melku, u stóp góry Maria Taferl, podobno słynącej cudami. Piszę o tym szeroko by pokazać jak to kiedyś niedobry zaborca troszczył się o swoich obywateli.

### Bäse

Wyznaczono nam całe piętro w domu pana ~~Bäse~~<sup>u</sup>. Okna wychodziły na wąską drogę dzielącą od nurtu Dunaju. Na zapleczu ciągnęły się sady. W pobliżu, w ~~Pöchlarn~~ Pöchlarn były sklepy gdzie wszystko można było dostać, począwszy od chrupiących kaizerek. Niedobry zaborca uznał że ponieważ ojciec stracił miejsce pracy należy mu się normalna ~~praca~~<sup>praca</sup>, a do wojska pójść nie może, bo jak Lwów odbiją musi wracać do swej pracy. Rosjanie tymczasem zdołali wywieść ze Lwowa część inteligencji z prezydentem miasta Rutowskim. Nietylko ojciec brał pensję ale i inni Flüchtlingi również. Zabawne było otrzymanie przez ojca, za czas trwania wojny złoty krzyż zasługi "Das Goldene Verdienstkreuz am Bande der Tapferkeitsmedaille", za waleczność ?!

Życie w Marbach było istnym rajem dla dzieci. Sady pełne owoców, które gdy spadły na ziemię mogły być zbierane za darmo. Lasy pełne grzybów, poziomek, malin, czarnych jagód zbieranych za pomocą grabek. Drogi bez samochodów. Miła, serdeczna ludność współczująca uchodźcom. No i wycieczki, ojciec miał być w "pogotowiu", więc miał czas na wszystko. Pierwsze wycieczki na Maria Taferl, wznoszącą się o jakie sto metrów nad Dunajem. Szło się zakosami szeroką aleją, albo na wprost ziemnymi stopniami wspartymi na okrągłakach. Gdy w 1978 r. siedziałem w kawiarni obok kościoła z moim przyjacielem<sup>e</sup> inżynierem Gutmannstahl-Kriantisem spojrziałem na owe schody i zobaczyłem że są z kamienia

Mówię jemu że pamiętam je jako drewniane. Był bardzo zaskoczony moją pamięcią dziecka z przed 64 lat. Odrzekł że rzeczwiście przed kilkunasty laty jego firma budowlana wykonała je z betonu. Weześniej jeszcze miałem przygodę z moim dawnym mieszkaniem w Marbachu. Byłem we Wiedniu w sprawach służbowych i mój kontrahent, dyr. Czermak porzyczył mi samochód i pojechałem do Marbachu by po pięćdziesięciu laty odwiedzić gospodarzy. Odnalazłem dom i drogę, ale na zapleczu była już autostarda. ~~Cała~~ cała rodzina ~~BlaxBlax~~ zginęła w czasie wojny, tylko jakiś stary sąsiad coś pamiętał o Flüchtlingach.

My dzieci żyliśmy wtedy Dunajem, codziennie innym, to błękitnym, spokojnym, to złoto lśniącym w słońcu, to żółto-brudnym toczącym spienione fale w czasie wylewu w którym płynęły drzewa, deski, sprzęty, czasem prom zerwany z liny, czasem całe domy na którego dachu biegał pies. Dunaj potrafił się złościć gdy na jego wodach przewożono trupa. Opowiadano jak straszna burza towarzyszyła przewozowi arcyksięcia <sup>zwłok</sup> Ferdynanda <sup>do</sup> Artstättten, ~~gdzie przetrątkowo spoczywały zwłoki jego i małżonki i siostry~~  
~~do grobu Habsburgów w Kapucynów w Wiedniu~~

Byłem z ojcem w Melku, pokazywano kominek w którym cesarz spalił list Napoleona żądający kapitulacji Austrii. Wówczas pierwszy raz usłyszałem <sup>je</sup> imię Napoleona i zapamiętałem. Byliśmy w zameczku Artstättten o cebulastych wieżach i oglądaliśmy sarkofagi Ferdynanda, jego małżonki i małej córeczki. Pływaliśmy na promach, na parowcach DDG noszących wyłącznie imiona arcyksiążąt. Pływaliśmy też na łódkach. Razu pewnego cała miejscowa społeczność została zaalarmowana kiedy kilkoro dzieci wybrało się na desce po Dunaju. I co tu robić? Krzyczeć, przestraszać się i utopią, dopływać łodzią ta sama groźba. Wreszcie łódka jakoś dopłynęła i dzieci uratowano.

Tu przeżyłem pierwszą miłość mojego życia., ona liczyła chyba z pięć lat, miała podwójne imię Maria-Luisa. Dziwiło mnie jak taka mała dziewczynka może nosić dwa imiona. Miała niebieskie oczy i długie jasne warkocze. Nie pamiętam co mieliśmy sobie do powiedzenia w czasie tych dwu lat, ale jej figurka pozostała w mojej pamięci. Dziwne są jej meandry.

Bogowie wojny zaczęli sprzyjać Austryjakom. Rosjanie opuścili Lwów. Wróciliśmy do domu. Kiedy wyjeżdżaliśmy mieszkanie pozostało pod opieką gospodyni która po powrocie bardzo się usprawiedliwiała że musiała przyjąć na kwaterę dwu oficerów rosyjskich którzy o zgrozo ukradli dwie lornetki teatralne. Takie to były nasze straty wojenne.



KamienicaZwykła kamienica

Wkrótce przeprowadziliśmy się na ulicę Kadecką, co miało, jak się potem okazało historyczne znaczenie. Przejdę na razie do nudnego tematu, chcę napisać o ... kamienicy, zwykłej czynszowej kamienicy. Kusi mnie jako z zawodu inżyniera, by pokazać ze złośliwości mieszkańcom betonowych pudeł jak to się ongiś mieszało. Jak rozumieć postęp techniczny.

Kamienica była murowana i miała pięć poziomów użytkowych, ale było tylko trzy piętra. Wówczas inaczej się je liczyło : niski parter, wysoki parter, mezanin, piętra, poddasze. Ściany zewnętrzne były wyłożone sztucznym, białym piaskowcem co eliminowało tynkowanie. Pokoje były wysokie a pod sufitem były umieszczone na hakach mosiężne pręty do zawieszania obrazów. Ogrzewanie było centralne, ale były też piece co okazało się zbawienne w czasie oblężeń miasta. Łazienka z piecem węglowym. Wentylacja grawitacyjna i ... centralny odkurzacz. W piwnicy był eks-haustor z rurami prowadzącymi do mieszkań, gdzie w przedpokoju było ujście, do którego umocowywało się węże odkurzacza. Na poddasz<sup>u</sup> była duża pralnia. Światło elektryczne, kuchnia węglowa i gazowa. W kilku mieszkaniach telefony. Dwie klatki schodowe, jedna, główna z witrażami w oknach, druga kuchenna. Schody wysłane dywanem, przytrzymane prętami mosiężnymi. Wszystko wykładane marmurem. Cała armatura i kłamki mosiężne. Nad wszystkim miał opiekę stróż, tak się wtedy nazywał. Nasz stróż był szlachcicem i na Nowy Rok składał życzenia zostawiając wizytówkę z herbem Łódź i nazwiskiem Cyryl Duma. W wolnych chwilach trudnił się szewstwem. To jeszcze jeden przykład degradacji szlachty w epoce powstaniowej. Właścicielem był zbankrutowany właściciel ziemski na którego wizytówce widniało Ritter von i stare polskie nazwisko.

Mieszkańcy też stanowili interesujący zestaw różnych zawodów. Na niskim parterze mieszkała wdowa po profesorze Sorbony, której córka zarabiała lekcjami francuskiego. W przeciwnym mieszkaniu żyła w nędzy porzucona żona hrabiego Grocholskiego z trzema synami. Na mezaninie, poza nami, mieszkał dyrektor kilku cegielni i wykładowca na Politechnice. W długim mieszkaniu para aktorów teatru Wielkiego. On amant, ona zachorowała na tarczycę miała wybakuszone oczy z niezamykającymi się powiekami. On trwał w swojej profesji i kamienica była świadkiem smutnych awantur. Powyżej mieszkał radca magistratu do którego dziwnie często donoszone jakieś torty, pasztety, dziczyznę. W drugim mieszkaniu mieszkał inny radca ale z województwa nie mający widocznie skłonności do przyjmowania podarków. Powyżej mieszkał właściciel oraz pułkownik, wpierw wojska austriackiego, teraz polskiego von Kurzbauer. Na poddaszu mieszkała konduktorka tramwajowa nie aprobowana przez resztę lokatorów. Mieszkanie miała jak marzenie z tarasem na dachu i widokiem na całe miasto. W takim to standardzie żyła przeciętna inteligencja w tamtych ~~czasach~~ czasach i to w czasie toczącej się wojny.

Na początku ulicy Kadeckiej z prawej strony była remiza tramwajowa skąd wyjeżdżały tramwaje ulicą Kopernika by włączyć się do sieci miejskiej. Odcinek od Leona Sapiechy zabrano Kopernikowi i dano panu Tomickiem, dyrektorowi tramwajów. Tamten raz tylko ruszył Ziemię, ~~ten~~ ten codziennie rusza tramwajami. Z drugiej strony były koszary żandarmerji. Pamiętam ich z przed wojny - w długich zielonych płaszczach, w czarnych kapeluszach z piórkim, blachą na pier~~si~~siach, szablą przy boku i karabinem jak stali na straży monarchji. Wojna zabrała ich gdzieś na fronty. Poszli, przypinając sobie do kapelusza liść dębowy, podobnie jak wszyscy żołnierzy austriaccy liść dębowy, <sup>le</sup> mojego dębu. Do

koszar weszli jeńcy włoscy. Ludzie byli im przyjaźni, zbierali się przy siatce ogrodzenia dając chleb, a raczej wymieniając go na misternie robione z włosia konskiego pierścienie, bransolety lub ~~taś~~ na biżuterię wykonaną z mosiężnych pierścieni z pocisków artyleryjskich.

Z tym miejscem jakoś mnie związał los. W kilka lat później koszary zburzono i wybudowano tu gmach Dyrekcji Tramwajów Miejskich, a prof. Bogucki opowiadał na wykładach jakie tam były trudności z fundamentami. Ongiś był tu staw, zwany Panińskim. Potem zasypiano go śmieciem. Zwyczajne fundamenty zapadłyby się, pale nie mogły być bite gdyż trwały grunt był za głęboko. Profesor zaprojektował wielką łódź żelbetową którą osadził w wykopie na piasku. Na niej wybudował budynek. Wszystko pięknie się udało i w 1941 r. Gestapo miało gmach dla siebie i mogło przez trzy <sup>do</sup>przewodzić mnie tutaj z więzienia na Łąckiego na ~~każdej~~ przesłuchania. Tradycja się utrwaliła i dziś tam urzęduje WKBG.

Tocząca się wojna powodowała ciągle pogarszanie się warunków życia aż do granicy głodu, zupełnego braku butów i odzieży i wogóle towarów przemysłowych. Na rynek weszły tak zwane ~~ersatz~~ Ersatze. Zamiast cukru melasa, marmolada z buraków, mąka z domieszkami mączki z kasztanów, herbata z liści pozi<sup>w</sup>okowych, zamiast tytoniu różne suszone zielska, dawne mundury szły na ubrania, suknie robiono z farbowanych prześcieradeł, zamiast butów sandały o drewnianej podeszwie, przeciętej pod palcami i połączonej paskiem z częścią podpalcową. Kto miał buty mógł je zelować skrawkami ze skóry, przybijanych gwoździkami. Gazety drukowano na brązowym papierze, zeszyty szkolne spinano ze starych akt urzędowych o jednej czystej stronie. Kto miał jakieś stosunki w wojsku mógł lepiej żyć. Przyjaciel ojca oficer

oficerem na froncie w Rumunii i mógł nam przysłać kaszę kukurydzianą, tak że stała się ona stałym i żelaznym daniem. Nabyłek był rarytasem który nabywało się od chłopów za bieliznę, garki a nawet za fortepian. Pamiętam że kiedy czytałem "Pana Tadeusza", jedną z moich pierwszych lektur, pozostała mi w pamięci tylko scena kiedy w kuchni dla poprawy płomienia rzucono w ogień osełki masła. Niczego innego nie zapamiętałem, ale rzucanie masła do ognia wydawało mi się grzechem przeciwko Duchowi Świętemu. W tych ciężkich czasach musiałem rozpocząć swoją edukację.

## Braci Szkolnych

Szkoła ~~im. Świętego Józefa~~

Zapisano mnie do szkoły, ale nie do publicznej, do prywatnej St. Jesefts-Schule, Deutsch-polnische Privat-Volksschule für Knaben in Lemberg. Była to szkoła zakonna, zakonu założonego we Francji przez Jana de la Salle, kanonizowanego przez w 1900 r. a który został w 1950 r. przez papieża Piusa XII patronem ~~zako-~~ kapłańskich by bez przeszkód mogli się oddać pracy nauczycielskiej. Do Lwowe sprowadził ich biskup Bilczewski w 1903 r. Szkoła została założona dla dzieci urzędników austriackich, ale za moich czasów wśród uczni nie było ani jednego Austriaka. W Polsce międzywojennej ci Bracia Szkolni prowadzili szkołę we Lwowie i dom z nowicjatem w Częstochowie, a od 1936 r. szkołę w Liskowie. W 1980 r. zgromadzenie to liczyło 14 000 członków w 82 państwach.

Nauczycielami byli Ślązacy. Strojem ich była sutanna z wypuszczonymi białymi patkami. Wszyscy mówili doskonale po polsku i po niemiecku. Inna rzecz że w czasie okupacji tylko jeden brat Gabriel nie podpisał listy Volksdeutscher<sup>ów</sup>skiej. Do takiej samej szkoły chodził na Kubie Fidel Castro. Szkoła mieściła się przy ulicy Lelewela. Było tam sześć sal szkolnych, doskonale wyposażona sala gimnastyczna ze sceną, duża kaplica i cele braci. Warunki nauki były idealne. Kontrola postępów była dokładna do tego stopnia że mieliśmy mały, na specjalnym papierze "Fleiss und Sitten-Zeugnis", który musieli potwierdzać rodzice. Bracia dysponowali "bonami" które dawno uczniom za dobre zachowanie lub za dobre odpowiedzi. Za 10 takich bonów otrzymywało się święty obrazek. Mój wychowawca ubrał sobie że powinienem śpiewać. Musiałem się nauczyć Ave Maria /wówczas pisało się Maryja/ i męczył mnie przy fisharmonii. Na szczęście tak

tak fałszowałem że zrezygnowałem z mej nobilitacji, a mnie została po dziś dzień znajomość łacińskich słów do "Zdrowaśmarii".

W ciągu lat 1916-20 szkoła przechodziła podobne zmiany jak i całe społeczeństwo. Początkowo książki miały na pierwszej stronie portret cesarza Franciszka Józefa I. Po jego zgonie 21 listopada 1916 r. co moja babka skwitowała paru łzami, zastąpił go portret cesarza Karola I, ale i ten wkrótce został zasąpiony naklejonym przez nas białym orłem na czerwonym tle. Godło wykrwane było z nalepek trzeciomajowych. Wpierw w szkole po nabożeństwie śpiewaliśmy "Gott behalte, Gott beschütze unser Kaiser unser Land ...". Jednak kiedyś we wrześniu, czy październiku 1918 r. gdy po nabożeństwie Brat Gabriel zaintonował hymn cesarski, chłopcy i ich rodzice zgromadzeni na nabożeństwie zaśpiewali "Boże coś Polskę ...". Nasi wychowawcy okazali się Polakami i historia Polski zastąpiła historię monarchii. Na scenie gdzie dawniej graliśmy durnowate sztuczki teraz zagościły utwory poświęcone powstaniom, deklamowaliśmy patriotyczne wiersze. I tak, my dzieci przekroczyliśmy granicę państwowości i weszliśmy w Polskę. Ten okres budzącej się świadomości narodowej, wywieśzania flag biało-czerwonych przerwał nam listopad 1918 roku.

Obrona Lwowa - listopad 1918 roku

Listopad 1918 roku głęboko odbił się na mojej świadomości. Już znałem pojęcie rewolucji, rozruchów, ale kiedy matka wróciła z miasta i powiedziała że na wieży ratuszowej wisi niebiesko-żółta chorągiew nie ~~umiałem~~ <sup>mogłem</sup> tego <sup>cz</sup> zrozumieć.

- To chorągiew ukraińska, czyli ruska - objaśniła matka.

Ukraińcy - ta nazwa nagle pojawiła się w moim światopoglądzie. Rusini istnieli od dawna, po rusku mówili chłopci. My mówiliśmy "niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", a oni "sława Bohu". My odpowiadaliśmy "na wieki wieków", a oni "na wik wików". Oni mieli cerkwie w których pięknie śpiewali, my kościoły w których grały organy. A teraz okazuje że oni nazywają się Ukraińcy, mają karabiny i zajęli Lwów. Matka była bardzo niepokojna, bo ojciec wyjechał przed paru dniami do Buczacza, do swego ojca aby przywieść jakąś żywność.

Dzieciarnia wyległa na ulicę Kadecką która biegła stromo od Szkoły Kadeckiej. Na ulicy pojawiło się trzech akademików, tak wówczas nazywano studentów wyższych uczelni, uzbrojonych w karabiny i zaczęli strzelać w dół ulicy, gdzie w baraku na rogu mieli być Ukraińcy. Z dołu nie było żadnego odzewu. Studenci mieli jednostrzałowe karabiny z ubiegłego wieku, typu Werndla. Dwoje miało austrijackie karabiny a jeden rosyjski o nieco szerszej lufie w której austriacki nabój poruszał się luźno. <sup>Po</sup> dłuższej konferencji z gapiami, zdecydowano owinąć gilzę w szmatkę. Strzelec nie miał zaufania i strzelił z karabinu, oddzielając swą osobę od kolby przez pień drzewa. Zainteresowanie obrońcami rosło. Zdemobilizowany oficer austriacki przyniósł hełm z dumą nałożony na czapkę. Inny ku ogólnej konsternacji przyniósł lunetowy wyziernik stosowany w okopach. Nagle zaczęły gwizdać kule i uderzać w mury kamienic - zaczynał

obstrzał z bastionu cytadeli, wznoszącym się nad ulicą Pełczyńską.

Ulica opustoszała, a całe rozgadane życie skupiło się na tyłach domów, na podwórzach, oddzielonych od obstrzału murem kamienic. Prąd elektryczny został wyłączony, przestała ciec woda z kranów, informacje zaczęły dochodzić od przypadkowych przechodni, plotka zaczęła panować nad sytuacją w mieście. Na tyłach kamienic wytworzyła się paralelna ulica z dwiema przerwami w zabudowaniach, które trzeba było szybko przebiegać. Powoli zarysowały się granice naszej egzystencji. Wzdłuż ulicy Kadeckiej utworzyła się linia frontu - na granicy parku wzdłuż ulicy utworzono pięć placówek z obsadą po dwu, trzech ludzi, którzy okopawszy się strzelali w kierunku Cytadeli. W kamienicy znanego działacza socjalistycznego pod nr. 6 zaczęła działać komenda odcinka. W mieszkaniu znanego introligatora, późniejszego senatora, Senkowicza powstał szpital. Mieszkańców wezwano do aprowizacji obrońców. Zaczęła się zbiórka jakiejś broni i werbowanie żołnierzy, jakoś nikt ze znanych mi młodych ludzi nie kwapił się do wojenki.

Poważnym problemem było zaopatrzenie w wodę. Na szczęście na zapleczu ulicy mieścił się uroczy zakątek zwany Morskie Oko, ze stawkiem i bogatym źródłem wody. Ciągnęły tam kolejki kobiet i dzieci, by w wiadrach i baniakach wiesić ją na seneczkach, gdyż w tym roku wcześniej spadł śnieg. Przy sposobności można się było dowiedzieć co dzieje się w mieście. Był już znany przebieg linii frontu. Biegł on od Szkoły Kadeckiej po Persenkówkę, wzdłuż toru kolejowego po Kulparków, dworzec Główny, schodził Gródecką, obejmował Zniesienie, przecinał Ogród Jezuicki, sięgał Poczty i zpowrotem do ulicy Kadeckiej. Główną twierdzą Ukraińców była Cytadela. Front wcale nie two-

↙ Hipolita  
↘ ~~Antoni~~  
Śliwińskiego

✓  
pod nr 4.

✗  
Senkowicza



rzył nieprzekraczalnej granicy, w obie strony przenikali ludzie, handlarze a nawet przemyt broni i amunicji.

Polskie siły były różnego autoramentu - główną rolę odgrywali legioniści, była duża ilość akademików, jak zwakle w takich sytuacjach nie brakło wyrostków, a nawet kryminalistów. Z nich, zwolnionych z więzienia Brygidek, Abraham utworzył oddział "Straceńców" którzy odznaczyli w boju o Górę Straceń i którzy swój mundur ozdabiali naszywką z trupa główką i pieszczelami. Wszystkich obrońców można się było doliczyć ~~do~~ około 800, a służbę swoją pojmowali dość oryginalnie - na obiady, a <sup>e)</sup> nawet na spanie czy odpoczynek szło się do domu, tak że komendanci nigdy nie wiedzieli wielu ludzi mają pod bronią. Ogólną komendę sprawował ppułk. Mączynski. Pomijając na razie ocenę polityczną i militarną przebiegu obrony Lwowa<sup>wa</sup>, trzeba zauważyć że siły ukraińskie nie były wiele większe. Stanowili je przed wszystkim "siczownicy". Była to <sup>rio)</sup> patetyczna młodzież, stosunkowo dobrze wyszkolona, formacja bliźniaczo podobna do Legionów. Nawet jej hymn "Szcze ne zmerła ~~Ukraina~~ Ukraina" był śpiewany na nutę naszego hymnu narodowego. Obu stronom towarzyszyła duża obojętność obu społeczeństw. Generał Roja nie mógł się nadziwić jak dwustotyśczne miasto nie może wystawić choć jednej dywizji. Wprawdzie powstała "Straż Obywatelska", ale ograniczała się do ochrony mieszkańców i majątku. To zresztą osobny temat, ja wracam do wspomnień ośmiolatka.

Ta niby wojna dostarczała nam chłopakom mnóstwo urozmaiceń Wprawdzie w czasie strzelaniny, w której w naszej dzielnicy nikt nie zginął, trzeba było siedzieć w domu, ale od czasu do czasu były "zawieszenia broni" i wtedy woziko się na posterunki amunicję, zupę, deski na umocnienia. Odwoziło się glinę ~~wz~~ z wykopów, no i zbierało się pociski karabinowe rozdarte przy

~~XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX~~

uderzeniu o ściany kamienic. Chodziło o pociski najbardziej ma-  
~~luczo~~<sup>owno</sup> zniekształcone. Ta pasja w późniejszym okresie uległa  
 pogłębieniu i nasze zbieractwo poszerzyło się o różnego typu  
 naboje karabinowe, magazynki, różne rodzaju prochu, głównie z  
 rozebranych pocisków armatnich które uderzając w gliniasty  
 grunt zwykle nie wybuchały, może były to zwykłe buble.

Któregoś dnia powrócił ojciec. Dotarł ukraińskim pociągiem  
 do Sichowa i stamtąd, przez Persenkówkę doszedł do ulicy Kade-  
 ckiej, zdziwiony pustkami na ulicach, zamkniętymi bramami i bzy-  
 kającymi kulami. Wreszcie odkrył wejście od tyłu i przyszedł do  
 domu, brudny, nieogolony i straszliwie zmęczony dźwiganiem dwu  
 waliz pełnych nieocenionych zapasów mąki, kaszy, miodu, masła,  
 jabłek, sera. Radość nasza była ogromna - ojciec żyje, a my nie  
 będziemy głodni.

Życie podzielonego miasta poniekąd się ustabilizowało. Fro-  
 nty się ~~ustabilizowały~~ ustaliły. Jakies wieści przeciekały że  
 idzie odsiecz. Wiadomości mniejszego autorytetu dostarczała  
 mieszkająca na poddaszu konduktorka, trwale kursująca pomiędzy  
 obiema stronami. Jedne<sup>o</sup> wypadek poruszył miejscową societę. O-  
 tóż w kamienicy pod numerem siódmym był sklepik pana Arabskiego,  
 gdzie cała ulica zaopatrywała się w produkty żywnościowe. Nie  
 był to taki elitarny<sup>sklep</sup> jak dzisiejsze, ale był zawsze czynny, jak  
 nie od frontu to od tyłu. Można tam było dostać wszystko, nawet  
 zeszyty. Sprzedawał za gotówkę i na "borg" czyli na książeczkę  
 likwidowaną raz na miesiąc - taka <sup>ów</sup> ~~współ~~czesna karta kredytowa.  
 Pan Arabski był jedynym Ukraińcem na ulicy, chociaż nikt nie  
 słyszał by mówił po rusku. Vox populi oskarżył go że dawał zna-  
 ki światłem ze strychu. Widocznie czegoś tam szukał i ktoś za-  
 uważył światło. Wybuch patriotyzmu ~~opaku~~ nie zagroził jego ży-  
 ciu, ale jakoś go wybroniono.

Wreszcie naszedł dzień 28 listopada, umilkła strzelanina, Ukraińcy się wycofali, a u nas nazwało się to zwycięstwo. Front znikł i fala ludzka ruszyła oglądać swoje miasto. I ja z kolegami poszedłem oglądać kilka trupów naszych żołnierzy złożonych przed remizą tramwajową, co zrobiło na mnie duże wrażenie. To byli moi pierwsi polegli, jeden wyciągniętą ręką w nicianej, po-krwawionej rękawiczce groził niebu a kosmyki zakrwawionych włosów zakrywały twarz. Oglądaliśmy silnie ostrzelaną redutę "Piłsudskiego" w bramie seminarium obok poczty i ruszyliśmy na Cytadelę. Tam już były tłumy ludzi zajętych rabowaniem, głównie rzeczy osobistych pozostawionych przez załogę. Następnym etapem była Szkoła Kadecka. Tu już rabowano w szerokim zakresie, posciel, nawet łóżka żelazne, naczynia i wogóle co popadło. Zamponował mi chłopak który przystawił drabinę do muru i odkuwał z tynku metalową, symboliczną kotwicę. Ja znalazłem gdzieś porzuconych kilka kling ze szpad i z tym trofeum wróciłem do domu. Rabunek Szkoły Kadeckiej trwał nadal, pojawiły się wózki pełne rzeczy, w powietrzu przelatowały tłuste wiązanki. Rozszała się plotka o strasznych okrucieństwach Ukraińców, o współpracujących z nimi Żydami, co spowodowało napady na żydowskie sklepy i domu. Okazało się że plotki były bezpodstawne i sytuację wreszcie op<sup>n</sup>owano stosując sądy doraźne. Tchórzostwo wielkiej części mieszczaństwa lwowskiego musiało znaleźć jakieś przykrycie i samopotwierdzenie - tak narastała legenda Orląt Lwowskich, legenda dwuznaczna, bo obok naprawdę bohater-  
skich, wręcz samobójczych czynów było tak wiele asekuracji, cynizmu, politycznych rozgrywek, sporów personalnych że trzeba było to pokryć całunem zapomnienia i żałoby. Późniejsza lektora materiałów z czasów obrony Lwowa nietylko wstrząsa ale i przy-  
gnębia.

To już była Polska

Tylko oddziały gen. Roji weszły do miasta ojciec zgłosił się do wojska. Przydzielona go do służby łączności, której biura mieściły się w hotelu Europejskim przy placu Bernadynskim. Później przeniesiono je do Zakładu Kisielki. Dowódcą wojsk na terenie Małopolskiej Wschodniej był gen. Rozwadowski. Tak rozpoczął romans mego ojca z wojskiem który objął i wyprawę kijowską, a zakończył się w 1921 r. powrotem do cywila, awnsem na majora i różnymi odznaczeniami, których większość pozostała tylko na papierze.

Należałoby teraz zamieścić parę zdań że ojczyzna, że Polska, że obowiązek, że ofiara, że walka z wrogiem, ale w rzeczywistości nic takiego nie było. Rodzina była pochodzenia wielonarodowego a więź z polskością nie miała specjalnego emocjonalnego wyrazu. Pochodzenie bawarsko-polsko-austryjacko-rosyjskie stwarzało pewien klimat internacjonalistyczny. Początkowo używano w domu obu języków, polskiego i niemieckiego, z czasem pozostał polski. Ojciec poszedł do wojska z poczuciem przyzwoitości i obowiązku, a także z bardzo prozaicznego <sup>powodu</sup> (gdyż to była jedyna możliwość zapewnienia chleba rodzinie. Do Legionów poszedł wcześniej jedne z braci ojca. Był w drugiej brygadzie i przesiedział się w obozie Marmaros Sziget. ~~Jego losy były tragiczne~~  
~~W wojnie walczył przez Polskę i Szwajcarkę i Serwonię~~  
~~nie skończył na tym. W czasie~~  
 drugiej wojny światowej zawędrował z wojskiem na Bliski Wschód i jako ciężki inwalida zmarł w Chicago. Dwaj inni bracia byli wierni naukom Dmowskiego i za szabelkę nie mieli. Jeden zginął w Mathausen, a drugi z żoną i dwiema córkami przepadł w Maryjskiej Guberni.

U ojca interesowały mnie przed wszystkim mundury i odzna-

ki które przechodziły ciągłe zmiany. Pierwszym mundurem była zielona bluza austriacka i czarne cywilne spodnie, bo innych nie było. Na głowie maciejówka legionowa ze srebrnym paskiem. Pas z bagnietem, bo szabel nie było, z niklowaną głowicą i srebrnym kutasem. Na ramionach srebrne, plecione naramniki, a na nich gwiazdki. Później ustąpiły czarne spodnie i były już zielone przczesy, ale nie było butów z cholewami, więc zastępowały je skórzane sztylpy. Po jakimś czasie zielony mundur ustąpił mundurowi khaki o kroju angielskim z nakłanymi kieszeniami. Zniknęły epolety i gwiazdki powędrowały na patki kołnierza. Przyjęto tak zwany pas koalicyjny z rzemieniem przez ramię i z kaburą z rewolwerem. Maciejówkę zastąpiła okrągła czapka typu angielskiego, z gwiazdkami i orzełkiem. Wróciły długie spodnie. Ciekawe że w tych przemianach munduru nie występowała rogatywka. Oczywiście był ordynans, a właściwie chłopiec do wszystkiego. Na to stanowisko żołnierze pchali się jak mogli i wychodzili ze skóry by nie iść do linii. Pensje płacono liche ale były dobre przydziały żywnościowe, nie zapomnę nawet sardynek.

Ojciec nie walczył w linii, bo sztab zawsze posuwał się w bezpiecznej odległości, ale w 1919 r. kiedy sztab pod naporem Ukraińców cofnął się do Przemyśla <sup>po</sup> ~~z~~ pokrył się z linią frontu. Kiedy wojska polskie weszły do Kijowa, a raczej wjechały tramwajem, bo tak się przydarzyło pierwszemu oddziałowi, sztab pozostał w Żmerynce. W czasie odwrotu nasze wojska poszły w rozsypankę i sztab znalazł się bez osłony. Uzbrojono kucharzy, ordynansów i miano się bronić do upadku. Nikt jednak nie zaatakował i panowie oficerowie poszli na piechotę do domu. Taki spacer nie był bezpieczny gdyż wszędzie buszowały bandy zbiegów, bolszewików, Ukraińców i zwyczajnych bandytów. Dokonywały one

na swoich ofiarach wymślnych tortur, tak że zwyczajowo szósta kula w rewolwerze była przeznaczona dla właściciela.

W swoim mieście byłem też świadkiem uroczystości państwowych. Widziałem marszałka Focha i dziwiłem się błękitnemu mundurowi. Widziałem pierwszy pochód<sup>d)</sup> trzecio-majowy gdzie przed trybuną siedzieli w granatowych mundurach i długich bluzach weterani powstania z 1863 r. a przed nimi na osobnym krześle siedział jeden starowina, powstaniec z 1831 r. Okna były przystrojone nalepkami z białym orłem a domy przystrojone flagami biało-czerwonymi. Przypomniały mi się uroczystości austriackie<sup>ia</sup>, wtedy święciło się imieniny członków rodziny cesarskiej. W oknach świecono świece, wywieszano flagi czarno-żółte cesarstwa i czerwono-białe rodu Habsburgów. Ludzie wpadli na pewien fortel pozwalający uniknięcia tych flag. Flaga czerwono-biała była zawieszana na poprzeczce, która na trójkącie sznura była przymocowana do masztu. Obracając się na wietrze była raz habsburską, raz polską. W szkole graliśmy różne powstańcze sztuki. Bawiło mnie jak stojąc przed namalowanym oknem musiałem witać nadjeżdżających gości.

Kiedy byłem w trzeciej klasie dotarła do Lwowa pomoc amerykańska, pod nazwą "Dary Amerykańskie". Były to transporty mąki, tłuszczu, mleka w konserwach, fasoli, kakaa i ryżu. Zopatrywano przede wszystkim dzieci. W szkole otrzymywaliśmy gorące podwieczorki, kakao, ryż, zawsze z rogalikiem. Dawno takich przysmaków nie widzieliśmy.

Ulica Kadecka przylegała do części parku Stryjskiego, zwanej plantami i ciągnącej się od dołu aż po Szkołę Kadecką i cmentarz Stryjski. Dziś tam znajduje się Park Kultury z pięknymi aljami<sup>e)</sup>, a u zbiegu ulic Stryjskiej i Kadeckiej wznosi się ~~wspaniały~~ pomnik "Sławy oręża radzieckiego", obelisk i trzy

plaskorzeżby - żeganie żołnierzy, walka, powitanie. Z drugiej strony Szkoły Kadeckiej były wzgórza Wóleckie, na których grało się w kiczkę, potem w piłkę nożną. Była tam stale zamknięta kapliczka ku czci powstania z 1863 r. Dzisiaj całe to wzgórze jest zabudowane blokami domów. Kapliczka znikła, a znajdująca się dolinka, miejsce zamordowania profesorów lwowskich, jest zarosnięte lasem i zaścienione.

~~Sprzętu sportowego nie było. Grało się w kiczkę i palestrę, był to rodzaj palanta gdzie piłkę zastępowała kiczka, czyli krótki kulek.~~

~~XX  
 XXXXXPozostałiśmy wierni zabawom pirrotechnicznym, tylko zniszczone  
 powszechniśmy repertuaru. Wszędzie było wieńcówkami, kłódkami,  
 kulek i kłódkami, kłódkami, kłódkami, kłódkami, kłódkami, kłódkami, kłódkami,  
 wieńcówkami, kłódkami, kłódkami, kłódkami, kłódkami, kłódkami, kłódkami,~~

Kończył się czas dzieciństwa. Ucięto mi włosy, postrzyżono i tak przerobionego na średniaka zapisano do gimnazjum.

Start życiowy - VIII Gimnazjum

Ojciec był wychowankiem klasycznego gimnazjum, z łaciną i greką, ale mnie zapisał do gimnazjum typu matematyczno-przyrodniczego. Dlaczego - nie wiem, był wówczas rok 1920 i wiele mówiło się i pisało o odbudowie kraju. Mnie się nikt nie pytał, było mi zupełnie obojętne. Poszedłem do VIII Gimnazjum, którego budynek mieścił się na rogu ulic Czarnieckiego i Łyczakowskiej, ale był tam wówczas szpital wojenny i musieliśmy chodzić w godzinach popołudniowych do gimnazjum VI przy ulicy Łyczakowskiej. Po kilku miesiącach byliśmy już u siebie. Był to piękny barokowy budynek, niegdyś pałac biskupi, potem poczta, ~~ale~~ zupełnie nieprzystosowana do obecnego przeznaczenia. Przesiedzieliśmy w nim cztery lata i gdy zaczął się walić ~~nie~~ ~~nie~~ wyłączono pewne sale, zamknięto ~~genki~~ a <sup>w</sup>klasach pokazały się szpary na kilka centymetrów, przeniesiono nas na godziny południowe do II gimnazjum na Wałach Gubernatowskich. Tymczasem zbudowano nowy, wzorowy gmach przy ulicy Dwernickiego. Odwiedziłem niedawno moje stare gimnazjum, wcale się nie zawaliło, pięknie odrestaurowane służy ~~na~~ ~~na~~ ~~na~~ wielu instytucjom na biura. Z drugiej strony ulicy Łyczakowskiej był kościół Klarysek należący do dawno nieistniejącego takiegoż klasztoru. Za czasów austriackich był to skład tytoniu. Kościół ten był naszym i szkoły dziewcząt im. królowej Jadwigi kościołem szkolnym. W czasie arcyndudnych kazań ~~księdza Gienniewskiego, za-~~ ~~wsze mówiącego o "zwierzętku" który w nas siedzi,~~ mogliśmy podziwiać wspaniałe freski, jak śluby Jana Kazimierza w katedrze lwowskiej, wjazd królowej Jadwigi i wiele fresków o tematyce religijnej. ~~Był tam też stał wystawa obrazów~~ Szczególnie nam się podobały osby malowane na plafonie. Malarz nie mogąc sobie poradzić z wymogami perspektywy, jednej z postaci dolepił gipsową nogę, zaponinając że rzucała cień na obraz.



Dyrekcja szkoły nie kontrolowała obecności na nabożeństwach robił to wyrywkowo katecheta, ksiądz Ciennieski<sup>w</sup>, jezuita o zagadkowym sposobie bycia. Nigdy nie było wiadomem czy kpi, czy mówi serio. Złotousty<sup>W</sup> nie był, w jego kazaniach stale była mowa o zwierzątku który w nas siedzi i które trzeba zwalczać. Przed maturą wraz z innymi uczniami poszedłem do spowiedzi u niego. Odmówił mi rozgrzeszenia, żądając bym przeprosił w jakiejś błahej<sup>r</sup> kolegę, zresztą skończonego obwiesia. Odmówiłem i tak rozszedłem się z kościołem. do którego już dawniej straciłem wiarę. Przyjaciół którzy mi poczytywali to za złe, uspokojałem że jeszcze w szkole<sup>św.</sup> Józefa odprawiłem 9 komunii w 9 pierwszych piątków z czym jest związany wieczny odpust i zapewnienie bezgrzesznej śmierci. Na ten argument nie umieli odpowiedzieć, ale ja wiedziałem. Takie postawienie sprawy jest grzechem przeciwko Duchowi Świętemu za który żaden spowiednik nie może udzielić rozgrzeszenia. Wiązało się to ze średniowiecznym procederem władców, którzy popełniając świadomie najobrzydliwsze czyny mieli zawsze przy sobie spowiednika który w chwili śmierci miał dać rozgrzeszenie.

Moja niewiara miała szerszy zakres, bo obejmowała wszystkie ~~wiary~~ religie i wszystkie filozofie które uważałem za twory ludzkiej fantazji pozbawione jakiegokolwiek uzasadnienia naukowego. Uważałem i uznaję że spełniają one pozytywną rolę gdyż na nich budują się pojęcia moralne, etyczne i porządkujące stosunki międzyludzkie, nie wymagając ~~od nich~~ wysiłku umysłowego i dyscypliny naukowej.

No ale retourneron à nos moutons, co można nawet zrozumieć dosłownie. Gimnazjum było przed wojną instytucją poważną o prawdziwym obliczu naukowo-pedagogicznym. Grono profesorskie z reguły posiadało doktoraty, a<sup>w</sup> tedy nie było o nie tak łatwo jak

↑  
sprawie

dzisiaj i było powiązane z Uniwersytetem, tam zresztą często łądownali na katedrach. Gdy patrzę na sprawozdanie roczne gimnazjum to na 32 profesorów jest 12 doktorów i jeden podwójny, 2 asystentów UJ, dwu obrońców Lwowa, słynny dramaturg Brończyk i malarz Pieniążek. Po wojnie kilku zostało profesarami wyższych uczelni. Poziom tych profesorów gwarantował odpowiedni poziom nauczania, bez potrzeby reform, planów nauki i dyskusji gazetowych. Uczni było około 500 w 12 klasach. Woźnych, zwanych tercjanami było 4, a administracja? Nie było administracji. Administrację prowadził dyrektor z pomocą jednego profesora. Było 17 kół zainteresowania prowadzonych przez profesorów, wśród nich pismo ~~zak~~ "Zak" którego inicjatorem i redaktorem był autor. Piszę to poto by czytelnik porównał sobie ówczesne gimnazjum z obecną szkołą średnią i spróbował znaleźć ~~gdzie~~ gdzie tu się kryje postęp.

We wspomnieniach zwykle dużo miejsca zajmują profesorowie co dowodzi że wpływ ich osobowości, wiedzy wielce znaczył w kształtowaniu osobowości ucznia. Daruję sobie przegląd grona, wspomnę tylko o kilku. Imponował nam prof. Ferdynand Śliwa który był kawalerem Virtuti Militari, Józef Osostowicz i Michał Halaubrener, obaj Obrońcy Lwowa, Marcei Prószyński, poseł na sejm, Kazimierz Brończyk za dramaty historyczne grane w Teatrze Wielkim. Po wojnie spotkałem profesora Brończyka z żoną na Hali Gąsienicowej. Odwiedził mnie parę razy w Zakopanem. Smutne były jego losy. Chyba w 1947 r. udał się z prof. Jaxa-Bykowskim, tak dobrze mi znanym i jeszcze z kimś trzecim do prezydenta Bieruta aby opierając się na prorosyjskich ciągach Dmowskiego, utworzyć Stronnictwo Narodowe. Po bardzo miłej rozmowie wszyscy trzej znaleźli się w celach, w których stojąc po kolana w wodzie mieli czas przez trzy miesiące zanalizować swą naiwność polity-

legjoniści

czną. Kiedy ich uwolniono prof. Bykowski zmarł na zawał, a Broń-  
czyk jakoś wyzdrowiał. W 1940 r. NKWD aresztowało jego jed<sup>y</sup>nego  
syna i s<sup>ł</sup>uch o nim zaginął. Matka ciągle czekała na jego powrót.

Prof. Dąbrowski, germanista zasłużył na duże poważanie,  
gdyż kiedy do Lwowa przyjechał jego brat generał niemiecki, mi-  
mo licznych namów nigdy nie podpisał ~~XIXIX~~ Volkslisty.

### Drugi nurt

Ojciec nie uprawiał żadnych sportów, uważał jednak że powinienem zainteresować się wychowaniem fizycznym. Jeszcze gdy miałem 6 czy 7 lat zapisał mnie do Sokoła. Towarzystwo to cieszyło się dużym szacunkiem społeczeństwa, które widziało w nim zalążek przyszłego wojska polskiego. Miało się nazywać Orzeł Biały co nie zyskało aprobaty władz, więc Sokół, niby zakamuflowany orzeł. Sokoli, bo tak się nazywali członkowie towarzystwa, nosili paradne mundury - amarantowe koszule, spodnie pod kolana, okrągłe czapki z piórem i szamerowane kurtki zarzucone na ramię. Uprawiano przede wszystkim gimnastykę, ale były też drużyny cyklistów, wioślarzy, a także skauting narodził się pod jego skrzydłami. Wielu ludzi ze starszego pokolenia, mimo że nie uprawiało sportów, należało do Sokoła, płaciło składki i z dumą nosiło w klapie odznakę srebrnego sokoła. Sokół posiadał we Lwowie przy ulicy Sokoła duży budynek z dwiema salami gimnastycznymi, służącymi także za widownię i scenę, oraz boisko na Łyczakowie. Mnie wcielono do drużyny w której byłem najmłodszym i najskłabszym, toteż czułem się zagubiony i lekceważony. Gimnastyka była prowadzona według szweckiej szkoły Langa, chyba w sposób najbardziej nudny i odstręczający. Rychło rozstałem się z Sokółem.

W gimnazjum otworzyły się przedemną interesujące możliwości sportowe i turystyczne, przede wszystkim dzięki harcerstwu. Już w pierwszej klasie należałem do istniejącej w szkole 21 drużyny która rychło została wchłonięta przez 1 lwowską, będącą pierwszą i najstarszą w Polsce, założoną jeszcze przez Małkowskiego. Byłem w zastępie Wilków, którym pozostałem wierny, nawet gdy jakiś czas prowadziłem drużynę w szkole Konarskiego. Miałem kilku zastępowych, szczególnie wspominam Romana Palestrę, który już wtedy lubił przygrywać na fortepianie. Po wojnie wyjechał do Francji i

r  
drużynę

tam pozostał, a zmarł w 1989 r.

Inne to było harcerstwo niż dzisiaj. Prawie całkowicie pozbawione nadymanego patriotyzmu, ale uczące przyzwoitego zachowania, dotrzymywania słowa, pomocy innym i zaradności. Turystyka nie była wówczas domeną nierobów i zmanierowanych bab, nie korzystała z żadnych ułatwień, a była wspaniałą przygodą. Zamiast autokarów były własne nogi, zamiast przewodników były stare austrijackie mapy wojskowe, zamiast hoteli rombowa płachty namiotowe pozostałe z wojny i stałe przeciekające, zamiast restauracji kociołek nad ogniskiem i ciężki plecak na ramionach. Za to świat był otwarty, pieniędzy nie trzeba było, a tylko chęć pięknych przeżyć. Zamiast wrzasku rokowej muzyki była prosta piosenka przy ognisku lub w marszu, za którą nogi szły same.

W 1921 r. zorganizowano obóz wędrowny w Gorgany i Czarnohorę. Wznowiono starą tradycję pierwszej lwowskiej, której pierwszą imprezą w jej historii, jeszcze przed wojną był obóz wędrowny na trasie Lwów-Rysy. Teraz pojechało nas 18 po kierownictwem drużynowego Stanisława Nowakowskiego, a członkami byli między innymi wspomniany już Palester, Grzegorzewski, późniejszy naczelny lekarz ONZ i inni z których niektórzy jeszcze żyją. Sytuacja w górach nie była bezpieczna, grasowały bandy dezertersów ~~poliackich~~ polskich i ukraińskich. Myśmy mieli ~~zł~~ <sup>do której</sup> jeden rewolwer. Start był z Osmołody, ~~skąd~~ trzeba było dojechać kolejką wązkotorow z Broszniowa. W Karpatach Wschodnich było kilka linii takich kolei wchodzących w długie i głębokie doliny, wśród starego lasu świerkowego, przekraczających bystre potoki górskie. Służyły do zwóski drewna. Podróż nimi na otwartych lorach była niezapomniana.

Nie było map turystycznych tylko trudne do odczytania wojskowe mapy austriackie w skali 1 : 75 000 jeszcze z 1882 r.,  
~~rysuwane...~~

pozbawione werstwic i rysowane metodą kreskowania. Nie było żadnych ścieżek turystycznych tylko pozostałości po działaniach wojenych w postaci resztek gaconych ścieżek z pni drzewnych, opuszczone ziemianki a w nich nierzadko zardzewiała broń, amunicja i czasem ludzkie kości. Wszystko trzeba było taszczyć na własnych plecach, płachtę namiotową, koc, śpiwory były nieznane, kociołki i jedzenie na które składało się jedynie stary chleb, słonina, mamałyga, cukier i suszone śliwki. Najgorszy był deszcz przed którym nie było ochrony. Nikt nie przyczynał że z czasem powstaną lekkie, nieprzemakalne odzienia z tworzyw sztucznych. Na mocy jakiegoś regulaminu kazano nam także nosić pastę i szczotki do butów. Często trzeba było się przedzierać przez lasy świerkowe i wysoką kosówkę, a kiedy wchodziło się na szerokie, otwarte połoniny z górującymi nad niem szczytami wówczas świat wydawał się wspaniały, ogromny i wolny od ludzkiej hałasty. Zauroczyły mnie i zauroczenie to pozostało do dni dzisiejszych kiedy patrzę z okna swego mieszkania na spaszty Giewontu.

Na trasie była chyba najniższa mi góra - Sywula /1836 m/, potem krzyż Legionów na Pantyr Pasie, Rafajłowa wstawiona walkami Legionów, Doboszanka z olbrzymim, wielokilometrowym osuwiskiem i wreszcie nastąpiła tragedia. Spaliły mi się buty przy ognisku i w pożyczonych sandałach musiałem z Jaremcza wrócić do Lwowa. Drugim przeżyciem był udział na pierwszym Zlocie Harcerskim w 1926 r. na Siekierkach w Warszawie. Wojsko dało nam namioty na 40 osób, które trzeba było ustawić, okopać, sienniki napchać słomą i ułożyć na ziemi. Dostarczono też kuchnie polowe. Jako umywalnia służyła Wisła, a zamiast toalety szło się z saperką w wikliny, wykopywano dołek i starannie go zasypywało. Nasza drużyna była pierwszą w Polsce która wystąpiła w <sup>u</sup>chustach na szyji i w kapeluszach. Na pokazach graliśmy

w piłkę ręczną, wówczas taka piłka miała średnicę pół metra, za-  
 tańczyliśmy zbójnickiego, przypatrywaliśmy się świetnie ubranym  
 gościom, skautom angielskim i mieliśmy zaszczyt gościć w namio-  
 cie prezydenta Wojciechowskiego. Pierwszy raz w życiu widziałem  
 Warszawę, która poza Zamkiem i Łazienkami nie zrobiła na mnie  
 większego wrażenia. Była bardzo prowincjonalna z tymi partero-  
 wymi budami krytymi papą, pośród kamienic Marszałkowskiej<sup>e</sup>, czy  
 też brudem i chaosem Nalewek i Starego Miasta.

Były i inne obozy, zwakle w szkołach na terenach górskich,  
 ale nic ciekawego nie mogę o nich powiedzieć. Zaczynała się już  
 rutyna obozowa, która panuje po dzień dzisiejszy. Zerwałem z ni-  
 mi i zaczęłam wędrować po górach z kilkoma kolegami, a częś<sup>a</sup> i  
 samotnie.

Równocześnie z przygodą z harcerstwem zaczęła się moja  
 przygoda z Pogonią. Zaczęło się od Łyżew. Na ślizgawkę chodziło  
 się na tor łyżwiarski przy ulicy Pełczyńskiej gdzie latem były  
 korty tenisowe. Grała tam wieczorami muzyka wojskowa. Na ~~niektórym~~  
 miejscu były garderoby i bufet. Karta wstępu na cały sezon ko-  
 sztowała 20 zł czyli 100 kg chleba. Zbierała się tam pod świa-  
 tłami lamp łukowych młodzież z lepszych szkół, tu zawierało się  
 znajomości i zaczynały niewinne flirty. Szybko łyżwy zostały  
 zdominowane przez narty. Nie wiele o nich wiedziano i nie było  
 ich w handlu. Moje pierwsze narty należały do żołnierza austry-  
 jackiego który walczył w Alpach. Wiązanie było metalowe, typu  
 Zdarskiego, kijki leszczynowe. Nie miał nas kto uczyć, sami  
 zdobywaliśmy wiedzę narciarską. Sprzyjały temu okolice Lwowa  
 które miały doskonałe tereny narciarskie. Także pomagał nar-  
 ciarzom klimat prawie kontynentalny. Naszą ambicją było być  
 w sezonie sto razy nartach.

Startowałem do biegu młodzików i za pierwsze miejsce dosta-  
 łem ... kijki leszczynowe. Wkrótce kupiłem nowoczesną więźbę

metalową typu Bilgeri, różniącą się od poprzedniej sprężyną ustawioną poprzecznie do narty. Ówczesna ~~jaz~~ technika jazdy była zupełnie inną. Królował zjazd na wprost, szusem, w postaci wyprostowanej, z jedną nogą do przodu. Kończyło się taki szus długim skrętem telemarka w którym dziób narty kładło się na but drugiej nogi, a noga zewnętrzna ustawiała się poprzecznie do sto-ku. Można było też zjeżdżać dużymi zakosami. Wykonując skręty kristiania, której były trzy rodzaje. Oczywiście nikomu nie śniły się wyciągi i długie mozolne podejścia były regułą.

Zacząłem jeździć na narty do odległego o 80 km Sławski i do Tuchli. Połączenia były doskonałe. Wyjeżdżało się w sobotę wieczorem i po godzinie było się w Sławsku. Tam nocleg i cały dzień na nartach. Wieczorem w niedzielę było już się w domu. Komunikację na tej trasie rozwiązywała "torpeda" czyli wagon motorowy z silnikiem na ropę. Był to jeden z pomysłów ministra Bobkowskiego, faktycznego twórcy narciarstwa w Polsce. Sławsko miało doskonałe warunki terenowe, odkryte, długie stoki, zawsze dobre warunki śnieżne i kilka schronisk które pozwalały ~~wchłonąć~~ wchłonąć przybyłych. Jak się wówczas budowało wystarczy wspomnieć że hotel Ligi Popierania Turystyki o 31 pokojach, dla 150 gości budowano 103 dni. Okoliczne szczyty jak Trościan /1235 m/, Ilza /1066 m/, Wełyki Werch /1245 m/ pozwalały na zjazdy o różnicy wysokości do 600 m. Dziś Sławsko jest centrum narciarskim wyposażonym w dziesiątki wyciągów i schronisk.

Częściej jeździłem do Tuchli, o jedną stację przed Sławskiem, gdzie Pogoń miała swoje schronisko. Była to duża izba z piętrowymi pryzkami wyposażonymi w sienniki i koce i paleniskow kacie. Ot ~~X~~ cały komfort. Okoliczne góry były zalesione i warunki narciarskie były trudniejsze. Często trzeba było zjeżdżać stromymi holwegami, czyli drogami do ściągnięcia pni



hamując kijkami na których siadało się w pozycji kucznej. Za to okoliczne szczyty jak Kindrat /1458 m/, Matachin, Daszkowiec dawały możliwość dłuższych zjazdów,

Wilki nie były ~~zadkim~~<sup>rzadkim</sup> gościem. Zdarzały się wypadki rozszarpania chłopów przy robotach leśnych, ale nie znam wypadku napadu na narciarza. Widocznie szybko sunąca postać z długimi nartami i kijami nie była notowana w ich pamięci dziedzicznej i wolały zejść z drogi. Ja także spotkałem się kilka razy z wilkami, raz nawet ze stadem, nie muszę dodawać że szybko się wycofywałem.

Byłem też świadkiem rzadkiego zjawiska atmosferycznego. Koło Skolego, wysoko w górach był domek myśliwski, do którego dostawało się klucze od gajowego. Takich domków było w Karpatach wiele, niektóre zawsze dostępne. Korzystając z nich trzeba było zostawić narębane drewno, porządek na pryczy i ewentualnie zbędne zapasy. Kiedy wstaliśmy rano, mocno zmarznięci bo na dworze było poniżej 30 stopni, zobaczyliśmy ... trzy słońca. Wyglądało to tak, jakby nakreślić wokół słońca koło o średnicy tarczy, wówczas na przecięciu z linią poziomą przechodzącą przez słońce powstały dwie rozmazane, świetliste plamy, wielkości tarczy słonecznej. Pręt wbity w śnieg nie dawał jednak trzech cieni. Zjawisko trwało około godziny, potem się rozmazało.

Latem zacząłem odwiedzać boisko Pogoni które mieściło się za rogatką Stryjską. Otoczone było drewnianym parkanem. Składało się z boiska piłki nożnej, mocno wydeptanego przed bramkami, na którym rolę kosiarki spełniały trzy kozy stróża. Drewniana trybuna posiadał na parterze zawilgocone ~~garderoby~~<sup>garderoby</sup> i magazyn sprzętu sportowego oraz tusze. Nie wiele było tego sprzętu, kule, dyski, stojaki, płotki i sztywne tyczki bambusowe. Przychodziło się kiedy się chciało, robiło co się chciało, a jak nie

się nie chciało, to opalać. Nie było instruktorów, trenerów, starsi koledzy uczyli młodszych. Najwięcej pomagał stary lekkoatleta nazwiskiem Marion. Potrafił on na drążku podciągnąć się na jednej ręce, skakać skokiem tygrysim, pokazywał zapomniane dyscypliny jak równoczesny skok w dal i wzwyż, czy klasyczny rzut dyskiem polegający na rzucie bez obrotu z prostokątnej podstawy, analogicznie jak dyskobol Myrona. Imponował nam Wacek Kuchar, którego rodzina była chyba jedyńm sponsorem naszego klubu. Kuchar był fenomenem sportowym, w każdej dyscyplinie sportowej, często bez żadnej zaprawy osiągał mistrzostwo. Tak było poza piłką nożną, w łyżwiarstwie szybkim, w narciarstwie i innych. Utkwił mi w pamięci Heczewski, który bronił bramki w pierwszej drużynie. Spotkałem go w czasie niemieckiej okupacji w więzieniu przy ulicy Łąckiego, ale o tym w innym rozdziale. Czasem na boisku rozgrywały się pojedynki, polegające na starcie dwu zawodników, z obu stron boiska. Bieg trwał tak długo dopóki jeden zawodnik dogonił drugiego. Najlepszym biegaczem na średnie dystanse był Sawaryn, którego spotkałem w czasie okupacji gdy przesłuchiwał ~~po~~ pewnym aresztowaniu, w Kryminalpolicej, która miała siedzibę w dawnym Banku Hipotecznym. Nie przyznał się do dawnej znajomości.

Po maturze moje zainteresowanie sportem uległy przewartościowaniu. Z harcerstwa wyrosłem i turystykę już uprawiałem indywidualnie. Porzuciłem ~~leką~~ lekkąatletykę jako ubogą w treści, zostałem wierny narciarstwu, wspinaczce, tenisowi i zawarłem znajomość z jachtingiem.

## Buczacz, rzecz o korzeniach

Równoległe z wyjazdami na obozy harcerskie, które trwały dwa do czterech tygodni, jeździłem z rodzicami, jak to się wówczas mawiało, na wakacje Termin wczasu nie był jeszcze znany. Wyskoczył on z jakiegoś konkursu gazetowego. Nie było nas stać na wyjazdy nad morze czy do jakiegoś pensjonatu jak to jeszcze czynił mój dziadek jeżdżąc do Karlsbadu, czy nad Adriatyk do Abazii. Trzeba było opierać się o rodzinę, o dziadka w Buczaczu i ciotek w Baryszu i o dalszą rodzinę w Solinie.

Świat dawnych miast i miasteczek na wschód od Lwowa łączył jakiś, już dawno zapomniany wspólny klimat, będący syntezą wielowiekowych wpływów kultury polskiej która ukształtowała podstawy gospodarki, organizację, ~~ku~~ obyczaj a nawet i krajobraz tego mieszanego społeczeństwa polsko-ukraińsko-~~żydowskiego~~-żydowsko-ormiańskiego. Wzajemne stosunki były oparte na tolerancji i na swoistym podziale ~~ról~~ ról, czego nie należy mylić z apartheidem. Wzajemne przenikanie kultur było zjawiskiem stałym i nie budzącym sprzeciwu. Kraj był bogaty w płody rolne, dobrze zagospodarowany, o wspaniałym krajobrazie-od czerwonych skał jarów Dniestru, Strypy, szypotów Prutu i Czeremoszu, po szczyty Czarnohory i Gorgan sięgające dwu tysięcy metrów i tonących w bezmiarze pralesów świerkowych. Skutkiem pierwszej wojny światowej ten kraj jakoś się oparł, ale druga wojna zdruzgotowała go na zawsze.

Przykładem takiego miasta był Buczacz. Było to stare polskie miasto, znane jeszcze w 1260 r. które w XVII wieku uzyskało prawa norymberskie. Jeszcze w XVI wieku istniała tam warownia z której pozostały ruiny. W 1750 r. był w posiadaniu Buczańskich, potem Potockich, których rodzina utrzymała się w swoim dworze aż do wybuchu wojny w 1939 r. Jeden z moich wujów, Bronisław Braiter napisał monografię Buczacza która niestety nie została wydana. Ogłosił tylko swoje

wspomnienia pt. "Z mojego podwórka" /nakładem wydawnictwa Leopolia, we Lwowie z 1938 r./ w których opisał swój pobyt w Buczaczu oraz w Baryszu gdzie zetknął się z rodziną Schneigertów i Korzeniowskich i z nimi się spowiadał. Książkę swoją, nie wiem z jakiego powodu zadedykował ~~Kornelowi~~ "Kornelowi Makuszyńskiemu miłośnikowi Lwowa". Braiter także napisał książkę pt. "Dawny Lwów" /także nakładem Leopoli z 1937 r./.

Buczacz liczył wówczas 9000 mieszkańców. Posiadał kościół założony jeszcze w XIII wieku. Po wojnie była tu siedziba któregoś z ~~biskupów~~ biskupów z zakordonu. Była cerkiew Bazylianów wybudowana w 1770 r. Łącznie z nią wybudowano klasztor i szkołę. Charakterystyczne dla ówczesnych stosunków jest że budowa została przeprowadzona przez Potockich i na zezwolenie króla Augusta III. Były jeszcze dwie cerkwie z XVIII wieku. Ozdobą miasta był rokokowy ratusz, również z XVIII wieku, zbudowany przez Niemca Bernharda Menderera, który był współtwórcą cerwi św. Jura we Lwowie. ~~Attykę~~ ~~Attykę~~ ozdabiają posągi dwunastu prac Herkulesa i Pilawa, herb Potockich, uznany także za herb miasta. Nad budynkiem wznosiła się piękna wieża, wysokości 42 m. W 1865 r. ratusz spłonął, ale został odbudowany. Jak słyszę stoi on nadal i stanowi ozdobę miasta.

W naszym kraju tak się przyjęło że wszędzie są jakieś lipy, dęby pod którymi siadywali królowie, co wykpiwał Boy. Buczacz ma też swoją lipę, która jeszcze stała za moich czasów. Pamiętała ona rok 1672 kiedy pod nią został zawarty haniebny traktat buczacki w którym król Michał Korybut Wiśniowiecki oddawał Mahometowi IV Kamieniec Podolski i Podole. Jednak Mahomet był gentlemanem bo kiedy oblegał zamek buczacki w którym broniła się pod nieobecność męża, Teresa Potocka, odstąpił od oblężenia, gdyż "nie <sup>walczy</sup> walczy z białogłową". Gdzie te czasy ! Potem przejął

zamek na swą siedzibę. Niedługo zabawił bo w cztery lata ~~zakończył~~ zamek spłonął i został odbudowany, ~~nie przed XIX wiekiem~~ ale w XIX wieku Potoccy sprzedali go na cegły. Miasto leży w głębokim wąwozie, o stromych ścianach z czerwonego piaskowca. Kolor tych skał mógł stanowić podstawę do nazwy Grodów Czerwińskich i Rusi Czerwonej. Skała ta dawała się łupać w postaci dużych płyt o powierzchni i kilku metrów, przy grubości kilku centymetrów. Stanowiła ona doskonały materiał do budowy domów, a także można było z niej robić blaty stołów i ław stojących na wolnym powietrzu. Na niektórych ulicach domy posiadały do frontu trzy kondygnacje, a od tyłu z drugiej ulicy, tylko parter. Wszystko tonęło w zieleni a w głębi wąwozów płynęła leniwie, głęboka Strypa.

społeczność  
spółeczeństwo polskie składało się z byłych urzędników austriackiej, zdeklasowanej szlachty, zwłaszcza duża grupa byłych właścicieli ziemskich z ziem za Zbruczem, którzy ciągle nie mogli się pogodzić z utratą swoich majątków. Polacy mieli swoje kasyno gdzie grano w bridża i "handel śniadankowy" gdzie po mszy omawiano miejscowe plotki. Młodzież miała swój klub sportowy Pilawa. Ukraińcy byli związani z klasztorem Byzyliańców gdzie grupowała się nacjonalistyczna inteligencja. Żydzi tworzyli zamknięte, chasydzkie społeczeństwo kupieckie z rozległymi powiązaniem handlowymi z całym światem. Stąd wywodzili się między innymi Zygmunt Freud i Wiesenthal. (Szymon)

W tym mieście osiadł mój dziad zakupując piękny dębowy dworek, który podobnie jak i inne domy, od frontu miał dwie kondygnacje <sup>o</sup>wsparte na dębowych słupach, a od tyłu był parterowy. Z pięknej werandy rozciągał się widok na leżące u stóp miasto i na przeciwległym zboczcu dwór Potockich. Oni to sprowadzili ongiś mego pradziada z Bawarii by im zbudował browar. Przyjechał, zbudował i pozostał. Wokół domu dziadka był kilku morgowy sad i drugi, nowy dom nad <sup>którym</sup> ~~czym~~ miała pieczę jego córka. Do dziadka

jako do pater familias/jeżdżała się cała dość liczna rodzina i na wakacje dla dzieci i dla akceptacji czy rozsądzenia różnych spraw rodzinnych.

W okolicy Buczacza było wiele atrakcji turystycznych. ~~Wokół~~ ~~kliszewice~~ Na Strypie była mała wysepka Podzameczek, własność Potockich, gdzie od wieków jedna rodzina tkala mękaty i pasy słuckie, ale do warsztatu nie wpuszczono obcych. Kilka kilometrów od miasta leżało miasteczko Jazłowiec. Był tu warownia jeszcze z XIII wieku, która prawa magdeburskie uzyskała wcześniej od Buczacza, bo w XV wieku. Zamek przetrwał liczne napady tatarskie, tureckie, ~~irakozyjskie~~ kozackie i rosyjskie. Ostatecznie upadł w XVII wieku. Miasto to musiało odgrywać dużą rolę gdyż miał tu siedzibę biskup ormiański. Za moich czasów pod ruinami zamku był klasztor Sióstr Niepokalanek gdzie nauki pobierały panienki z lepszych domów. Mężczyźni mieli tam wstęp wzbroniony i byłem bardzo dumny kiedy mnie z powodu jeszcze dzieciennego wieku wpuszczono razem z paniami do zwiedzenia klasztoru. W Jazłowcu znajdował się nagrobek polskiego kompozytora z XVI wieku, Mikołaja Gomółki.

Buczacz, Jazłowiec to przypadkiem wybrane zamczyska ze setki innych które bronią<sup>ły</sup> przez wieki Polskę przed najezdami ze wschodu były równocześnie ostoją kultury polskiej na wschodnich kresach. W świetle historii parcie na zachód okazało się znacznie silniejsze i skuteczniejsze niż osławione Drang nach Osten.

Barysz, o Nałęcz Korzeniowskich

W odległości 15 km od Buczacza jest miasteczko, a raczej ze względu na zajęcia mieszkańców duża wieś Barysz, licząca w owym czasie, 3000 Polaków i 2000 Ukraińców. Polacy pochodzili z Mazowsza skąd przybyli ~~jakichś kolonistów~~ przed stu laty jako koloniści. Wieś była własnością książąt Świdrigiełłów, którzy posiadali stary dwór, wrosły w ziemię. Wieś tworzyła kąt prosty, gdzie jedno ramię było polskie, a drugie kończące się dworem należało do Ukraińców. W miejscu przecięcia się ramion był duży plac, gdzie w zgodzie stały kościół, cerkiew, szkoła i karczmy żydowskie. W szkole rezydował mój dziad. Stosunki były bardzo sielskie, a atmosfera tak miła że mój krewniak <sup>Bronisław</sup> Emil Braiter tak sobie upodobał to miejsce że poświęcił mu książkę pt. "Z mojego podwórka" w której opisał i moją rodzinę, która zresztą stała się i jego rodziną. Autor maluje życie ówczesnej wsi czy miasteczka i życie jego mieszkańców jakby oderwane od rzeczywistości polskiej a nawet galicyjskiej, pozbawione trosk a pełne towarzyskich atrakcji, zabawy, a nawet urządzenie teatru w którym brała udział miejscowa inteligencja.

Wśród uczestników owego życia brały udział siostry Korzeniowski herbu Nałęcz. Posiadały one w Baryszu piękny dwór, znacznie ładniejszy od Świdrigiełłów, oczywiście z kolumnienkami i <sup>cour</sup> ~~kolistym~~ <sup>honour</sup> ~~podjazdem~~. Jedna z trzech tych pań została moją babką a ja jako chłopak często odwiedzałem dwie pozostałe. Jedna wyszła za ziemianina Słepowron Łopatyńskiego. Według Paprockiego herb ten pochodzi aż od Tarwiniuszów, nim pieczętuje się królewska rodzina Korwinów na Węgrzech. Kto chce niech wierzy, ale te herbowe opowieści mają swój urok. Szybko jednak owdowiała. Druga Leopoldyna miała krótszą nogę i została starą panną. Trudności w poruszaniu nie przeszkodziły jej być ~~skrzynką~~ almanachem wszelkich po-

krewniostw i powinowactw okolicznej szlachty. Inni ludzie dla niej nie istnieli. Zainteresowałem się swą ~~rodziną~~<sup>rodziną</sup> i ciotka była moją główną informatorką. Od niej otrzymałem całe drzewo genealogiczne rodziny Nałęcz Korzeniowskich. Według ~~Paprockiego~~ herbarza Paprockiego wydanego w 1584 r., herb Nałęcz przedstawiający białą chustę na czerwonym tle posiada dwie wersje swego pochodzenia. Według jednej król Mieczysław zawiązał chustę na szyji Dersikraja de Stopa który miał być hrabią jeszcze od 966 r., z chwilą przyjęcia przez niego chrztu Który to był <sup>król</sup> Mieczysław Paprocki nie podaje. Według drugiej wersji Bolesław Krzywousty po przegranej bitwie pod Haliczem wiązał białe chusty rycerzom którzy go nie opuścili. Mogę jeszcze dodać że są i inni Korzeniowscy innych herbów, oraz że nazwisko to figuruje także jako chłopskie i pochodzące od koczowania, czyli dawnego mieszkańca danej wsi.

Wracając do drzewa genealogicznego to otrzymałem go przed rokiem 1927, w czasie kiedy u nas jeszcze nie wiedziało się o Conradzie. Ciotka ani ja nie wiedzieliśmy nic o jego pisarstwie, ale ciotka miała go już w swoim almanachu. Wiedziała o Teodorze Korzeniowskim który jako porucznik szwoleżerów, potem awansowany do kapitana, brał udział w zdobyciu Moskwy ~~pod Napoleona~~ w 1918 r. Wiedziała o jego żonie Pienkowskiej ~~xx~~ i o synach, w tym o Apollu, który był ojcem Conrada. Apollo był żonaty z Bobrowską która jest opisana w pamiętnikach Tadeusza Bobrowskiego opublikowanych w 1979 r. Drugi syn Robert brał udział w powstaniu ale był karciarzem i pijakiem. Trzeci Hilary brał także udział w powstaniu, a po upadku powstania wyjechał do Szwajcarii gdzie zmarł bezpotomnie. Dotąd zgadza się z oficjalną biografią Conrada, ale pominięty jest syn Tadeusz. Nawet najpoważniejszy biograf Conrada, Gérard Jean-Augry w swojej "Vie de Conrad" nie wspomina o nim. Przyczyną tego zamilczenia był zawód czy fun-



kcja - był mandarjuszem, a więc urzędnikiem austriackim i do jego funkcji należał także nadzór nad majątkami ~~Swidrigiełków~~ polskimi, a więc także nad majątkiem Swidrigiełków. Tadeusz, starszy od Apolla o cztery lata brał również udział w powstaniu i po jego upadku udał się do Galicji, ~~gdzie został mandarjuszem~~. Musiał się dobrze zapisać w pamięci dziedziców, bo ciotka Leopoldyna była serdeczną przyjaciółką starej księżnej, no i niezła rezydentka pozostała jego własnością. Nasza literatura ~~pozostawiona~~ ~~grafii~~ zajmująca się osobą Conrada ma charakter hagiograficzny i robi z niego wielkiego Polaka. Wielkim był, ale Polakiem był niewielkim. Dziwnym się wydaje fakt że nigdy, niczego nie napisał po polsku, a jego korespondencja z Polakami jest prowadzona po francusku. Po powstaniu Polski nie znalazł czasu, ani ochoty do jej odwiedzin, ale mimo podagry znalazł czas na odwiedzinę Stanów Zjednoczonych i Korsyki. W Polsce owszem był ale tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej i zdołał odwiedzić Kraków i Zakopane w drodze do Wiednia. Synowie jego nie mówili po polsku i starszemu nie pozwolił wstąpić do wojska polskiego w czasie wojny w roku 1920. Conrad przyznaje że przez 50 lat nie miał okazji rozmawiania po polsku z wyjątkiem już wspomnianej wizyty w Polsce, która trwała tylko trzy miesiące.

Ciotka Leopoldyna nie mogąc pracować wzięła tak zwaną agencję pocztową którą prowadziła przez kilkanaście lat we własnym domu. Z tą jej funkcją wiąże się historia ilustrująca mentalność tej warstwy. Prowadzenie agencji nie dawało prawa do emerytury. Jednak ciotka napisała do cesarza i przyznali jej jakąś kwotę. Rząd polski uznał jej prawo do emerytury i coś tam jej wypłacał. Po zajęciu Małopolski Wschodniej przez armię radziecką, także otrzymywała jakąś kwotę, ale uznała że to za mało. Napisała, do kogożby, do Stalina, bo uważała że tylko głowa państwa

może być jej kontrahentem. O dziwo, z kancelarii Stalina przyszła odpowiedź, zresztą odmowna. Za okupacji niemieckiej sytuacja się powtarza, znowu ciotka dostaje emryturę i znowu uważa że dostaje za mało. Piszę więc, do kogo, oczywiście do Hitlera i o dziwo otrzymuje odpowiedź z kancelarii kanclerza, zresztą odmowną. Dla niej potomka karmazynowej szlachty nie ważne były wojny, zabory, uznawała tylko głowy państwa.

W czasie pierwszej wojny obie ciotki wyjechałyz nami do Austrii. Kiedy wróciły w 1916 r. zastały dwór zupełnie obrabowany przez okolicznych chłopów. ~~Zostały~~ Budynki gospodarskie spłonęły. Nawet fortepian który jakoś się odnalazł gdyż nie nadawał się do umeblowania chałupy, służył jako sedes. Odzyskały trochę mebli od chłopów. Wyremntowały kilka izb, reszta pozostała w stanie, jak to dziś się mówi, trwałej ruiny. Pola i sad trzeba było oddać w dzierżawę. Raz na rok ciotki zjeżdżały do Lwowa po jakieś skromne zakupy. Oczywiście trzecią klasą, bo na drugą nie było ich stać. Wychodziłem z ojcem po nie na dworzec by odwieść je do domu. Śmieszyły mnie zawsze ich waliski. Były plecione z wikliny, zamykane prętem stalowym na kłódkę i obleczone w pokrowce ~~z~~ z płótna konopnego, tak zwanej werety<sup>ale</sup> były obszyte czerwona wstążką i w rogach z tej wstążki był wyszyty duży monogram z wielką pięciopalkową koroną. Ojciec miał z nimi dalsze kłopoty. Ciotka Leop<sup>o</sup>ldyna uważała że w sklepach należy się targować tak jak u żydowskiego kupca na prowincji. Ojciec ponad jej głowę dawał subjektom nerwowe znaki że zapłaci w kasie co ~~trzeba~~ trzeba byleby się zgodził na cenę ciotki. Jeden ich przyjazd był szczególnie uroczysty, ich bratanek otrzymywał doktorat z prawa. Z tej przyczyną cała rodzina doktoranta i ciotki poszły do komunii u Bernadynów, bo inny kościół nie byłby odpowiedni.

Z Buczacza, od dziadka często chodziłem pieszo do Barysza,

ciotki były serdeczne, miały zawsze wiele do opowiedzenia o różnych rodzinach i skandalach ziemiańskich. Dziwił<sup>m)</sup> się jakimi kanałami informacji dysponowały, cóż księża dobrodzieje byli tam częstymi gośćmi, zwłaszcza że nigdzie na świecie nie było tak wspaniałych likierów jakie ~~ciotka Leopoldyna~~ robiła ciotka Leopoldyna. Dalsze ich losy były tragiczne, ~~xxxxxxxnaglxixixixkaxxi~~ w czasie drugiej aneksji tych terenów przez armię radziecką młodsza ciotka nagle umarła, a Leopoldyna stale leżąca w łóżku była zdana na łaskę i niełaskę byłych służących. Szybko umarła, była dla nowych właścicieli tylko zawadą.

Wracając do ich siostry, a mojej babki która wyszła za mego dziadka, to z tego rodzeństwa ~~xxxxx~~ było jeszcze dwu braci. Jeden Stanisław ożenił się z de Biberstein Błońską. O tej rodzinie pisał jeszcze Długosz. Potomków nie zostawił. Drugi brat Henryk był sędzią i był więziony w obozie w 1918 r. przez Ukraińców, nabwił się gruźlicy i rychło umarł. Na jego synie urwała się linia Korzeniowskich po mieczu.

Solina, Zatręplone wspomnienia

W pierwszych latach dwudziestych spędziliśmy kilka sezonów letnich we wsi Solina, leżącej u ujścia Solinki do Sanu. Była to duża wieś bo liczyła około tysiąca chat. Zamieszkała była ~~tylko~~ wyłącznie przez trzy rody - Terleckich, Podkaliskich i Orłowskich, posiadaczy nadań królewskich. Mówili po rusku, a zapytywani przez moją matkę dlaczego nie mówią po polsku i dlaczego chodzą do cerkwi odpowiadali że są Polakami, a ruska mowa to taka ich chłopska mowa, do cerkwi zaś chodzą bo we wsi niema kościoła. W latach trzydziestych powstał na tych terenach Związek Szlachty Zagrodowej. Miał on na celu zatrzymanie postępującej ukrainizacji wielu podobnych wsi polskich. Solina była wsią bogatą, gdyż wielu z ~~nich~~ <sup>mieszkańców</sup> emigrowało do Stanów Zjednoczonych i często po zdobyciu grosza wracali do swych domów. Niektórzy potrafili odbyć i kilka podróży. Wieś ta była ~~własnością~~ <sup>własnością</sup> poprzednią własnością Niemca von Kronenfelda, który zakupił ją w drugiej połowie ubiegłego wieku. Był to człowiek bogaty o ~~koneksjach~~ ~~wyraz~~ rozległych interesach i koneksjach. Widocznie posiadanie tej wsi o tysiąc<sup>u</sup> morgach posiadłości dworskiej nie bardzo mu się ołacała i chciał ją sprzedać. Najwięcej dawali mu Żydzi, ale on wolał sprzedać, ~~choć~~ choć za niższą cenę Polakowi. Wieś kupił szlachcic polski, niejaki Jankowski poto by w kilka miesięcy sprzedać ją Żydom, którzy w krótkim czasie doprowadzili ją do zupełnej ruiny. Dla jednej ze swoich córek, Olgi von Kronenfeld zostawił we wsi śliczą resztówkę. Znajdowała się ona na ~~górze~~ górze nad zakolem Sanu, poniżej starej cerkiewki. U stóp dworku rozciągał się piękny sad i wzorowo prowadzony ogród. Naprzeciw okien wznosiła się góra Jawor. Wilejskie chaty ciągnęły się malowniczo ~~wzdłuż~~ wzdłuż zakola Sanu i ujścia Solinki. Pani Olga była była starą panną, jej gospodarstwo prowadziła sprowadzona z Nie-

miec Frau Luisa. Fraülein von Kronenfeld, bo tak ją wszyscy nazywali, prowadziła agencję pocztową obsługującą kilka wsi w okolicy i opiekowała się dobroczynnie chorymi we wsi. Wysoka, prosto się trzymająca, zawsze z uśmiechem na twarzy chodziła po wsi z białą torbą pełną leków i z Alpenstockiem w ręce. Co drugi rok wyjeżdżała daleko w świat, zawsze do kogoś ze swego rodzeństwa. Sama zresztą urodziła się na statku płynącym z Kapstadtu. Jedna siostra był zakonnicą w Australii, w Stanach Zjednoczonych żyła zamężna siostra, w Indiach dwie siostry były zakonnicami, inna siostra wyszła za plantatora w Kongo i po jego zgonie sama prowadziła gospodarstwo. Opowiadano o niej że<sup>do</sup> (najbliższej stacji kolejowej musiała być przez miesiąc niesiona w lektyce. Druga zamężna siostra mieszkała w Niemczech gdzie wyszła za Waldecka. Wymieniam to nazwisko, gdyż jest ono w almanachu gotajskim. Pani Olga bywała częstym gościem u nas we Lwowie. W czasie wojny jako Niemka wyjechała na zachód i urwał się wszelki kontakt. Z rodziną tą było ze strony ojca dalekie pokrewiństwo i stąd nasze pobyty w Solinie.

W owym czasie nikt poza nami nie odwiedzał tego cudownego zakątka nad Sanem, do którego trzeba było ze stacji Ustianowa dojeżdżać furmanką. Był to kraj żyjący własnym życiem, swoimi problemami, nikt się nim nie interesował. Miejscowe potrzeby zaspokajały trzy sklepiki żydowskie i jednoizbowa szkoła. Do cerkwi pop przejeżdżał raz na miesiąc i można wówczas było słuchać piękne pieśni kościelne polskie i ukraińskie. Otaczające wsie były ukraińskie nienawidzące szlachty solińskiej. Za czasów UP~~A~~ mieszkańcy Soliny zostali wrznięci do szczętu.

W Sanie płynęła czysta woda, bogata w ryby które chłopcy łowili wypływając nocą w dżubankach, przed którymi na długim pręcie były umocowane kosze z żarzącymi się węglami. Podpływające ryby były nabijane na ostre ościenie. W otaczających lasach było mnó-

stwo grzybów i jagód. Pobyt urozmaicały kąpiele w rzece i odwiedziny w okolicznych dworach. W Zabrodziu, akurat w tym miejscu stoi obecna zapora, gospodarzył Czech, który zelektryfikował całe swoje gospodarstwo prądem z własnej elektrowni wodnej. Jakiś Czech miał skłonność do muzykowania, a nawet wszystkie drzewa w sadzie wymodelował na kształt instrumentów muzycznych. Były jeszcze dwory w Polańczyku, Myczkowie, Bóbrce, wszystkie te wsie razem ze Soliną spoczywają obecnie na dnie jeziora.

Byłem tam w czasie budowy zapory, nikt nie znał historii tych miejsc, nie było śladów wsi, gdyż spalili je i Ukraińcy i nasi żołnierze. Oprowadzał mnie po budowie inż. Józek Krzeptowski i opowiadał że był przy ekshumacji jakichś zwłok przy ~~zru-~~ pogorzeliisku cerkwi. Była to Niemka, gospodyni pani Olgi. Czy mogłem kiedyś przypuszczać, biegając po sadzie, spacerując z rodzicami, kąpiąc się w Sanie, że chodzę po dnie przyszłego jeziora. Byłem tam raz jeszcze, kiedy wody jeziora podniosły się do poziomu zapory. Stał tam nieczynny dźwig linowy angielskiej firmy BRECO. Poproszono mnie o ekspertyzę przydatności tego urządzenia. Żadnych śladów z czasów mojej młodości tam nie znalazłem, tylko Jawor wznosił się nad obcymi mu wodami, ~~smę-~~ zresztą jako "teren wojskowy" niedostępny dla obcych. Cywilizacja skutecznie wymazała jeszcze jeden wspaniały zakątek naszej ziemi, a ~~więcej~~ bratobójcza wojna zlikwidowała jego mieszkańców.

### Polibuda

Na studia na Wydziale Inżynierii lądowej, Politechniki Lwowskiej zdecydowałem się pójść nie z zamiłowania, bo prawdę mówiąc miałem tylko antyzamiłowania - wiedziałem że nie pójdę na studia medyczne, bo interesowały mnie losy społeczeństw a nie jednostek. Nie pójdę na prawo, bo niema ono wartości immanentnej a jest kreowane przez ludzi dla określonych sytuacji. Nie pójdę na studia handlu, bo ażeby w tej dziedzinie osiągnąć jakieś sukcesy trzeba przy starcie mieć duże pieniądze i szerokie stosunki. Nie interesowała mnie wojskowość ze względu na mizerny stan wyposażenia naszej armii która w żadnym układzie sił nie mogła liczyć na wygranie wojny, uważałem zresztą że w armii może być interesujące tylko stanowisko szefa sztabu, a na to liczyć nie mogłem. Humanistykę traktowałem poważnie ale tylko jako ozdobę życia. Pozostały więc tylko nauki techniczne, a w dobie kryzysu który w tych latach nękał ludzkość to na roboty inżynieryjne, budowlane była stosunkowo dobra koniunktura.

W Polsce istniały trzy Politechniki, lwowska założona jeszcze przez cesarza Franciszka Józefa w 1880 r. Akademia Górnicza w Krakowie i Politechnika Warszawska. Lwowska była najpoważniejsza wiekiem i od założenia wykłady były prowadzone w języku polskim. Ponadto miała doskonałe warunki lokalowe. Z wstąpieniem na nią nie było żadnych trudności, wprowadzie był jakiś egzamin wstępny, ale nie trzeba było żadnych lekcji, łapówek, limitów, list rektorskich i ograniczeń miejsc a funkcje sita zastępował w naturalny sposób odsiew po jednym lub dwu latach, kiedy trzeba było uzyskać półdyplom czyli Egzamin Ogólny, na który składały się egzaminy z matematyki, geometrii, fizyki, mechniki, petrografii i geologii, a który zdałem z postępem dobrym w 1933 r. Po przyjęciu V odbyła się uroczystość imatrykulacji w czasie której składało się ślubowanie na ręce rektora prof Zipsera.

V  
w 1929 r.

Chciałbym teraz opisać w kilku słowach system ówczesnego nauczania różniącego się w sposób zasadniczy od obecnego, uchodzącego za postępowy, choć wyniki tego nie potwierdzają. Przede wszystkim nie było rygorów dotyczących okresu studiów, ~~atym~~ samym żadnych urlopów dziekańskich i zwolnień chorobowych. Każdy student studiował jak długo chciał czy mógł, bo w czasie studiów mógł pracować, wyjeżdżać za granicę, zakładać rodzinę, Poszczególnych przedmiotów poza półdyplomem mógł słuchać i zdać kiedy chciał. Ponieważ i ja potrzebowałem zarabiać na studia i na własne potrzeby, studia przeciągnęły się do dziesięciu lat. Pierwszy rok studiów trwał jeden rok, drugi trzy lata, trzeci dwa lata, czwarty i piąty po roku i przerwa do dyplomu znowu dwa lata. Taki rozkład studiów nie był niczym nazwyczajnym. Prof Bartel podawał że statystyczny student potrzebował dziesięciu lat do ukończenia studiów, oraz że do dyplomu dochodzi tylko 10 % z zapisanych na pierwszy rok. Ten system pozwalał z jednej strony tak rozłożyć studia jak pozwalały warunki materialne, zdolności i zamiłowania. Uzyskanie dyplomów przez tak mały procent ~~cent~~ było dowodem naturalnej selekcji i dyplom otrzymywali już dojrzały i odpowiedzialni inżynierowie.

Z moich kolegów tylko pięciu ukończyło studia w pięć lat : jeden Niemiec, jedno Żyd trzech Polaków : Kazimierz Sokalski późniejszy rektor Politechniki krakowskiej, *Piotr* Zaremba słynny prezydent Szczecina i *Stanisław* Hückel rektor Politechniki Gdańskiej.

Profesorowie i ich metody nauczania były bardzo różne, nikt im nie narzucał programów, systemów, uczyli jak uważali najlepiej, a to że każdy miał inną metodę to różnorodność powodowała łatwiejsze przyswajanie sobie wiadomości. Na wykładach nie ~~notowano~~ nie notowano obecności a asystenci stanowili wyraźną kadrę na-



stępców na katedrach, co szeroko zostało potwierdzone w latach powojennych. Do dyspozycji studentów była obszerna biblioteka w osobnym gmachu.

W pierwszych latach studiów słuchałem wykładów prof. <sup>Antoniego</sup> Łomnickiego. Uczył on wyższej matematyki i bez trudu wprowadzał nas w tajniki równań różniczkowych i całek wyższego rzędu. Wydaje mi się jednak że program ten dla studentów inżynierii był zawyżony. W ciągu mego długiego życia zawodowego tylko raz przy pracy doktorskiej zetknąłem się z bardzo trudną całką którą po wielu próbach moich kolegów z uczelni, dopiero rozwiązał prof. Hugo Steihaus. Prof. Łomnicki zginął zamordowany przez Niemców na wzgórzach Wóleckich, niedaleko od swego mieszkania przy ulicy Kosynierskiej. Geometrii wykreslonej uczył prof. <sup>Barcel</sup>, był jednak wówczas premierem i zastępował prof. <sup>Plamitzer</sup>. Po wojnie był profesorem w Krakowie. Uczył spokojnie, dokładnie, był wymagający, ale do dziś nie wiem dlaczego przez cały rok uczona geometrii syntetycznej, będącej rodzajem filozofii geometrii do niczego w pracy zawodowej przydatnej. Fizyki uczył prof. <sup>Klemensiewich</sup>. Uczył niedbale i gdyby nie doskonali asystenci nie wiele byłoby z tego pożytku. Za to profesor był wspaniałym narciarzem, wspinaczem, znawcą gór i wieloletnim prezesem Karpackiego Towarzystwa Narciarzy. Był stałym bywalcem schronisk w Karpatach Wschodnich, nawet wybudował sobie willę w Sławsku. Nie był chętnie witany, gdyż miał sławę płanetnika. Jego przybycie wróżyło koniec dobrej pogody. Wspiął się także po Tatrach, ale tu naraził się na drwiny. Napisał w swoim podręczniku wspinaczki że młotek jest niepotrzebny bo zawsze znajdzie się jakiś kamień do przybicia haka. Wpadł w ręce NKWD próbując przekroczyć w grudniu 1939 r. granicę węgierską. Obserwował przez jakiś czas granicę na Czarnej Repie i będąc pewny że granicą jest tam niestrzeżona

✓ Kazimierz

✓ Antoni

✓ Zygmunt

zorganizował większą grupę narciarzy lwowskich. Wszyscy oni wpadli w ręce Straży Granicznej. Przeżył pobyt w wielu sowieckich obozach a w końcu trafił do armii Andersa z którą wrócił do Anglii. Po drodze jednak nie darował górą Afganistanu, Iranu, Iraku i Libanu a w końcu i Szkocji. Po wojnie odwiedził mnie Zakopanem, jeszcze jeździł na nartach ale skarżył się na wylew krwi w mózgu, który spowodował *potok wymowy*. Wkrótce potem umarł. Prof. *Aulich* uczył mechaniki, był osobą bezbarwną, przeciętnym wykładowcą. Nie znam jego dalszych losów. Petro rafii uczył prof. *Tokarski*, zawsze elegancko ubrany, uprzejmy, nie przynaował się swą funkcją. W czasie okupacji głośna była jego wyprawa, organizowana przez SS do źródeł Czeremoszu, do Szybenego i Burkutu w celu poszukiwania uranu. Opis wyprawy znalazł się w prasie codziennej, składała się z kolumny samochodów i jednego samolotu. Wyniki były niezadowolniające i żadnych prac nie kontynuowano. Po wojnie miał katedrę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Geologii uczył prof. *Teisseyre*, starszy pan, mało interesujący się wykładami, miał tylko tę zaletę że przy egzaminie był mało wymagający. Prof. *Obmiński* uczył budownictwa, raczej uczyli jego asystenci, każdy z nich po wojnie został profesorem. Zupełnie innej miary był prof. *Bogucki*. Uczył statyki i zasad budowli. Dziwak, obrażający i terroryzujący studentów. Mimo tego doskonały pedagog. Żaden z profesorów nie potrafił tak skutecznie <sup>wpoić</sup> (zasad konstrukcji, obliczeń budowli i wogóle myślenia technicznego. W czasie okupacji niemieckiej i po wojnie losy jego układały się tragicznie. Mimo braku urody był wielkim kobieciarzem. Jego trzecia żona, z pochodzenia Ukraińska, współpracowała z Gestapem <sup>EM</sup> i z wyroku AK została zastrzelona na schodach własnego mieszkania. Niedługo po tym fakcie profesor ~~odwiedził mnie w biurze~~ odwiedził mnie w jakiejś błahej sprawie i w rozmowie zaczął się skarżyć na los, na wypadek z żoną.

✓  
Witold

✓  
Julien

✓  
Wawrzyniec

✓  
Tadeusz

✓  
Jan

Ten twardy i brutalny mężczyzna płakał - czułem się niewymnie-  
 głupio, nasze stosunki nie wykroczyły nigdy poza stosunek studen-  
 ta do profesora. Po wojnie gdy starał się o profesurę we Wrocławiu  
 nie przyjęto go i w końcu dostał etat stolarza. Prof.  $\sqrt{\text{Stożek}}$   
 uczył geometrii analitycznej, prawie go nie pamiętam. Zginął jak  
 i inni profesorowie na wzgórzach Wóleckich. Bardzo barwna była  
 postać prof. a raczej docenta  $\sqrt{\text{Böttchera}}$ . Uczył matematyki stoso-  
 wanej i wiele z jego wykładów przydało się w pracy zawodowej.  
 Był on genialnym matematykiem, mówiono że przy egzaminie doktor-  
 skim rozwiązał zawiły problem matematyczny wpanięci i od razu na-  
 pisał wynik na tablicy. Nie udało mu się zrobić kariery naukowej  
 na którą w pełni zasługiwał. Przeszkodą był jego niechlujny wy-  
 gląd, twarz z zaniedbaną brodą z której wychylała się czerwona  
 warga. Böttcher w czasie wykładów wogóle nie zwracał uwagi na sa-  
 lę, nie dbał czy jest pełna ~~zk~~ czy tylko siedzi jeden ~~skuchacz~~  
 słuchacz, co się zresztą często zdarzało. Wchodząc do sali, już  
 od drzwi zaczynał wykład, podchodził do tablicy bez przerwy wykla-  
 dając i pisząc, używając zawsze kolorowej kredy. Podobnie wycho-  
 dził z sali. Nie przeprowadzał egzaminów tylko żądał przedkłoże-  
 nia wykresu jednej, skomplikowanej funkcji na długim zwoju papie-  
 ru milimitrowego. Niestety jego syn za skromną opłatą sprzedawał  
 stare tematy na których tylko zmieniano nazwisko. Był to jeden  
 z powodów że  $\sqrt{\text{po}}$  pozostał wiecznym docentem. Również i on zginął na  
 wzgórzach Wóleckich.

Na drugim roku pojawili się nowi profesorzy. Wytrzymałości  
 materiałów uczył prof.  $\sqrt{\text{Burzyński}}$ . Był on typem nowoczesnego nau-  
 kowca który temat potrafił pogłębić i uogólnić. Los i dla niego  
 nie był łaskawy. W 1946 r. wywieziono go na Sybir. Po powrocie  
 z zesłania osiadł w Katowicach gdzie po przejściu grypy dostał  
 porażenia mózgu. Przestał mówić, ~~niewskazywany~~, nie było

$\sqrt{\text{Włodzimierz}}$

$\sqrt{\text{Johann}}$   
 $\sqrt{\text{Luciano}}$

$\sqrt{\text{dla którego}}$

$\sqrt{\text{Włodzimierz}}$

można nawiązać z nim kontaktu a została mu tylko fenomenalna zdolność gry w szachy, Prof. <sup>✓</sup>Wojtan, a raczej jego asystenci uczyli miernictwa, dziś to się nazywa geodezja, Potrafili z nas zrobić rutynowanych mierniczych co bardzo przydawała się w życiu zawodowym. Szczególnie interesujące były kilkutygodniowe ćwiczenia z pomiarów na Kaiserwaldzie. Na terenie Lwowa profesor prowadził takie pomiary przez kilka lat i w sumie złożyły się one na generalną mapę miasta, podobno bardzo korzystnie sprzedaną magistratowi. Prof. <sup>✓</sup>Weigel uczył zawiłej teorii błędu ~~która~~ prawie nieprzydatnej w naszej praktyce. Był on filistrem mojej korporacji Leopolii. Razem ze synem zginął na wzgórzach Wóleckich. Uczyli jeszcze hydrauliki prof. <sup>✓</sup>Fuchs, <sup>✓</sup>Jost chemii, <sup>✓</sup>Wereszczyński encyklopedii prawa i ekonomii, ale jakoś niczem nie utkwili w mojej pamięci. Na trzecim roku ~~zawz~~ teoretyków zastąpili praktycy i nauka nabrała pełnych cech nauki zawodu. Prof. <sup>✓</sup>Bratro uczył budowy dróg, nie bardzo wybiegał <sup>p</sup>wrząd i podstawowym pojazdem była dla niego furmanka na nawierzchni tłuczniowej. Miałem z nim niemiłe zajście. Na egzaminie nie potrafiłem obliczyć łuku drogi dla furmanki dwukonnej. Uważałem zresztą tego rodzaju pytanie za zupełnie nie na miejscu. Profesor zaczął walić moją teczką w biurku i krzyczeć "że takiego durnia nie miał jeszcze na egzaminie". No cóż różniliśmy się w poglądach zwłaszcza że już wtedy byłem autorem artykułu o autostradach niemieckich i włoskich. Prof. <sup>✓</sup>Kuryłko uczył żelbetu. Był to wtedy nowa wiedza z wielką przyszłością. Opieraliśmy się na jego książce, pięknie wydanej na kredowym papierze. Podane wiadomości wystarczały by później móc nadążać za jej szybkim rozwojem. Niestety jemu zawdzięczam oblanie pierwszego egzaminu dyplomowego. Jak mi potem powiedział zawsze rano spotykał mnie w parku na spacerze z moimi psami i nabrał przekonania że lekceważę sobie naukę. On jedyny

<sup>✓</sup>  
Władysław

<sup>✓</sup>  
Kasper

<sup>✓</sup>  
Zygmunt

<sup>✓</sup>  
Antoni

<sup>✓</sup>  
Emit Stefan

<sup>✓</sup>  
Rudolf

<sup>✓</sup>  
Adam

z profesorów pozostał we Lwowie. Kaprysem losu ani Niemcy, ani Rosjanie nie aresztowali go i nawet pozostawili mu jego willę przy ulicy Herburtów. Nawiązałem z nim kontakt, przysyłał mi swoje prace z żelbetu a ja mu swoje. W 1974 r. odwiedziłem go we Lwowie. Był już na emryturze ale jeszcze prowadził prace doktorskie na Politechnice. Kiedy byłem we Lwowie w roku 1989 przypadkiem natknąłem się na jego tablicę nagrobną, zmarł w 1980 r. I tak pożegnałem mego ostatniego z profesorów.

Prof. <sup>✓</sup>Bryła był inżynierem o światowej sławie, on pierwszy na świecie zbudował most spawany na rzece Słupia koło Łowicza. W 1932 r. zbudował <sup>✓</sup>pierwszy polski wieżowiec liczący 16 pięter, tak zwany Prudencjał, obecnie hotel Warszawa, gdzie zastosował współpracę żelbetu ze stalą. Dom ten wytrzymał bombardowania w czasie drugiej wojny i służy do dziś. W czasie okupacji działał w sztabie AK i został rozstrzelany w publicznej egzekucji w ~~1943~~ 1943 r. Profesorem nie był nadzwyczajnym. Na wykładach bywał rzadko, ciągle gdzieś jeździł w sprawach zawodowych. Wykłady prowadził niechlujnie ado tego stale pluł i trzeba było siadać daleko od niego. Był ułomny, miał garb i kulał, ale poruszał się bardzo szybko. Całą pracę pedagogiczną przejęli jego asystenci. Tu wymienić muszę jego asystenta Augusta Spyry. Był głównym redaktorem "Podręcznika Inżynierskiego", pomnikowego dzieła autorstwa 60 najlepszych profesorów, zawierający 3000 stro i 4000 rysunków. Cztery ~~tomu~~ tomy tego dzieła ukazywały się kolejno w latach 1927, 1928, 1932 i 1936. <sup>✓</sup>Pan Spyra w drodze wyjątku otrzymał dyplom inżyniera w 1938 r. bez zdawania egzaminu. Prof. <sup>✓</sup>Brzozowski był przemiłym panem i przyjacielem studentów. Uczył teorii i konstrukcji mostów. Po wojnie był profesorem na Politechnice Śląskiej i tu go spotkało, że tak powiem nieszczęście zawodowe. Mianowicie zatwierdził projekt mostu nad torami ~~kolejowymi~~ kolejowymi

<sup>✓</sup> Stanisław

o rozpiętości 26m  
wyskokuje 20%  
oszczędności stali

<sup>✓</sup> Stefan

<sup>✓</sup> w 1931 r.

dodać tu można następującą ciekawostkę że w tomie IV wydawca podaje wykaz książek technicznych posiadanych na składzie, jest ich 2400.

w Zabrze. Most ten był w postaci belki ciągłej opartej na dwuprzegubowych słupach. Wszystko było zgodne z teorią, zasadami budowy i przepisami. Pech chciał że na moście znalazł się ~~dźwig budowlany~~ ~~ny~~ niezgodnie z przepisami drogowymi, dźwig budowlany i zaczepił o przewody tramwajowe. Kierowca aby go wypłatać to go cofał, to posuwał do przodu. W ten sposób rozhuśtał most<sup>co</sup> spowodowało wahanie belek mostowych, wyknucie się ich z łożysk podpierających słupy i most runął zabijając kilkanaście osób. Profesor tak się przejął tym wypadkiem a zwłaszcza politycznymi konsekwencjami tego wypadku, bo to były czasy że zawsze ktoś musiał być winien, ~~że~~ nie wytrzymał i zmarł na zawał. Prof. Kazimierz Zipser uczył podstaw ruchu pojazdów kolejowych. Po wojnie uczył na Politechnice Wrocławskiej i był łaskaw wystąpić jako opiniodawca mojej książki "Napowietrzne kole linowe" z ~~roku 1955~~ 1957 r. Prof. <sup>Wróbel</sup> uczył budowy miast, po wojnie był profesorem na Politechnice Wrocławskiej.

↙  
Tadeusz

Na czwartym roku najpoważniejszym profesorem był prof. Maksymilian Matakiewicz, który uczył budownictwa wodnego. Jego wykłady były poprostu ~~idealne~~ idealne. Zawsze świetnie przygotowany, wymagał dokładnych notatek, na każdy wykład przynosił dla każdego studenta serię rycin związaną z ~~wykładem~~ treścią aktualnego wykładu, które należało wklejać do notatki, ażeby nie tracić czasu na niedokładne rysunki. Był on nie tylko światowej sławy uczonym, ale poprzednio pełnił funkcje ministra robót publicznych. Był to człowiek który pierwszy zwrócił nam <sup>na</sup> potrzebę ochrony środowiska. Mówił że projekt osuszenia bagien Polesia co chcieli niektórzy, pociągnie za sobą stepizację Podola i trudne do przewidzenia konsekwencje. Obecnie odczuły to na sobie władze radzieckie które chciały realizować podobny projekt. Prof. Karol Wątarek uczył budowy kolei, tj. torów, stacji, zaplecza i ruchu pociągów. Były to dobrze przy-  
~~gotowane wykłady~~

↙  
uwaga

gotowane wykłady choć nie wybiegające w przyszłość, nawet nie dotyczyły elektryfikacji. Po wojnie jego syn, ale już Wątorski był rektorem Politechniki Krakowskiej. Prof. Otto Nadolski uczył kanalizacji i wodociągów, ale bardziej interesowała go Krynica gdzie był Komisarzem Rządowym. Muszę mu przyznać odwagę wypowiedzi, gdy po długim wykładzie o sposobach poszukiwania źródeł dodał, że jeżeli wszystko zawiedzi to można się udać do ródźdzkarza.

Na piątym roku wykłady kontynuowali dotychczasowi profesoro-  
wie. Muszę jednak jeszcze wspomnieć o prof. Maksymilianie Thulliem, konstruktorem i te<sup>e</sup>or<sup>e</sup>tykiem nauk o budowie mostów, autora ponad 200 prac ~~maximilianie~~ w kilku językach, ~~na te tematy~~. Jego postać aktywnego działacza politycznego i katolickiego była powszechnie znana. Zdobiała go długa, siwa broda i siwe długie włosy. W jego gabinecie na biurku stał wysoki krzyż drewniany. Pewien student w czasie egzaminu przypadkiem strącił go na ziemię. Podniósł, pocałował i postawił na biurku. Z miejsca dostał ~~xxxxx~~ notę bardzo dobrą. Po nim kilku innych studentów próbowało tego samego chwytu, ale profesor rychło się połapał. Na mój egzamin dyplomowy potrafił ~~przyjść~~ przyjść, mimo że był już dawno na emeryturze i zadał mi bardzo nowoczesne pytanie "W ~~jakim~~ jaki sposób jest uzależniona konstrukcja mostu od nalotu bombowego". Byłem zaskoczony, ale pobierałem stypendium Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej i to stało się dla mnie okazją do zabłyśnięcia wiadomościami.

Można sobie teraz zadać pytanie czy taki demokratyczny sposób ~~xxx~~ nauki był właściwy. Odpowiedzieć by można że wyniki potwierdzają teorię. Po wojnie wszystkie politechniki polskie miały wielu profesorów i rektorów, dawnych asystentów czy inżynierów z Politechniki Lwowskiej. Sprawa jednak ma zasięg szerszy, ta politechnika kształciła inżynierów politechników, a nie spe-

ważkich specjalistów. Takich co wiedzą wszystko o niczym, bezradnych jak natkną się na nieco inną problematykę jak się uczyli. Mając szerokie podstawowe wiadomości i znając metodę naukową, można było bez trudu zdobywać wiedzę w każdej dziedzinie techniki. Wystarczy przedstawić przebieg egzaminu dyplomowego. Do niego trzeba było być przygotowanym z sześciu grup przedmiotów, a to : z miernictwa, budowy dróg, budowy mostów, budowy kolei, budownictwa i konstrukcji, oraz z budownictwa wodnego. Na dwa tygodnie przed egzaminem pisemnym dowiadywano się z jakich dwu grup będą tematy. Praca pisemna trwała sześć dni w zamkniętej sali, ale ze sobą można było przynosić dowolną literaturę i notaki. Po krótkiej przerwie, znowu na dwa tygodnie przed egzaminem ustnym, dowiadywano się z jakich dwu <sup>grup,</sup> przedmiotów będzie egzamin. Zatem student musiał być do dyplomu przygotowany z całego materiału. Dziś taki dyplom starczyłby za sześć dyplomów.



W slumsach Zamarstynowa

Nadeszły wakacje 1930 roku, trzeba było się zatroszczyć o zarobki. Rzeczpospolita Polska nie była tak naiwnie szczerobliwa w stypendia jak Polska Republika Ludowa. Tym razem poszedłem do Magistratu gdzie mnie skierowali do Biura Urbanistycznego Miasta, którym kierował prof. Politechniki Ignacy Drexler. Sam profesor był rzadkim gościem w biurze, zdając całą pracę na swoich dwu asystentów, z których jeden w kilka lat potem odrodził się w postaci Szczepka z Lwowskiej Fali. Mnie powierzono korekcję map katastralnych Zamarstynowa. Praca nie była ciężka, bo polegała na spacerach po ciekawej dzielnicy, będącej siedzibą niezliczonej ilości różnych małych warsztatów, wytwórni, magazynów, melin, gdzie królowało całe lwowskie podziemie. Różnie mnie tam przyjmowano, były i rozmówki, i częstowanie winem domowym, i odchylony judasz w wysokim i szczelnym parkanie z mało zachęcającym pytaniem "Czego?" i repliki na moje wyjaśnienie "A idź do cholery!". Pogoda była piękna - na południu stał wysoki ponad 100 metrów wał Kaiserwaldu z Pieskową Skałą i Kopcem. Można było zauważyć jak zakosami z dworca Podzamcze piął się do dworca Łyczakowskiego pociąg, który na pokonanie odległości trzech kilometrów musiał przejechać zakosami aż 7 kilometrów. Z końcem ubiegłego wieku kiedy wybudowano linię kolejową do Złoczowa, na tym odcinku jeździł specjalny pociąg turystyczny. Z północnej strony wznosił się łagodnie pas wzgórz Hołoska z lasami ciągnącymi się do Brzychowic - ulubione tereny wycieczek i ćwiczeń harcerskich. Dzisiaj stoją tam pudła zuniformowanych bloków mieszkalnych. Środkiem płynęła królowa naszych rzek - Pełtew.

Nad całą dzielnicą unosił się zapach, po prostu smród zakładów przerabiających odpady z istniejącej tu nowoczesnej

Kazimierz  
Wajda

rzeźni, co nie przeszkadzało na własną odpowiedzialność wonieć niezliczonym kwiatom w przydomowych ogródkach. Zdarzały się też niespodziewane odkrycia - otóż w korycie Pełtwi jacyś ubrudzeni mężczyźni budowali niskie zapory z błota. Okazało się, że to są "poszukiwacze złota". Mówili mi, że padające deszcze potrafią zmyć z chodników zagubione monety, a nawet pierścionki i zegarki i woda toczy je daleko poza wylot kanału. Nie wiele to daje, ale zawsze przedsmak przygody. Ciekawą rozmowę miałem u hycła, którego bogate i obszerne domostwo mieściło się koło rzeźni. Była tam także obszerna zagroda dla psów, w której przechowywano psy do czasu zgłoszenia się właściciela, a bezpieczne rasowe psy sprzedawał. Po terenie oprowadzała mnie jego córka, młoda, ładna i dobrze ubrana. Skarżyła się, że wprowadzie im się bardzo dobrze powodzi, mają nawet powóz, ale żaden chłopak z nią nie chce chodzić, a w szkole żadna dziewczyna nie chciała siedzieć z nią w jednej ławce. Pytałem jak przedstawia się możliwość wyjścia za mąż. Odrzekła, że wszystkie hyclowskie rodziny w Polsce, a nawet poza krajem, znają się nawzajem i zawierają związki między sobą, bo zawód ten od wieków jest dziedziczny. Przemilczeliśmy, że zawód ten dawniej kojarzył się z funkcją kata. I wielkim przerzutem myśli znalazłem się w Londynie, gdzie mieszkałem u mego przyjaciela przy ulicy Pierrepont. Zapytałem co oznacza nazwa tej ulicy:

- to nazwisko ostathiego kata Wielkiej Brytanii, zresztą pochodzenia francuskiego -

Dziwnymi drogami chadza poczucie humoru Anglików.

Na drugi roku znowu los związał mnie z Zamarstynowym. Tym razem dostałem pracę jako technik na terenie budowy przyszłego cmentarza. Były to prace finansowane przez Fundusz Bezrobocia. W owym czasie bezrobotny otrzymywał przez trzy miesiące zasiłek

równy mniej więcej połowie normalnego zarobku i jeżeli do tego czasu nie otrzymał pracy musiał albo pójść do prac prowadzonych przez Fundusz Bezrobocia, były to prace przy robotach ziemnych, albo zostawał pozbawiony zasiłku. Na tych robotach stawka dzienna wynosiła 4 zł oraz przydziały węgla i ziemniaków. Entuzjazm pracy był bardzo umiarkowany i uprzedzono mnie, że mój poprzednik wyjechał na taczkach. Na terenie budowy sнуło się około 150 robotników, rzadko kiedy widziało się kogoś przy łopacie. Pochodziłem, pogadałem, pokazałem, ale postęp pracy był nijaki. Jednego dnia przychodzę a w moim baraku siedzi ogromny mężczyzna w średnim wieku z bliznami na twarzy. Mój majster tymczasem zdążył mi powiedzieć kto to jest

- Panie inżynierzy, ta to król nożowników ze Zamarstynowa, wyszedł po trzecim morderstwie i dostał tu przydział z kryminału. Ta niech pan uważa. Te blizny na pyszczysku to od noża.

Wszedłem do baraku i zwróciłem się do niego:

- To pan tu nowy -

- A nowy -

- Widzi pan mam tu wielki kłopot, ludzie nie chcą nic robić, a ja za młody, aby mnie słuchali. Może pan mi pomoże, Przecież panu nie dam łopaty do ręki -

- Ta pewni ży ni - zgodził się

- A może pan by poszedł, oś tylko pokazał się, coś powiedział -

I mój król nożowników wstał dość ochoczo i poszedł między ludzi. Cud się stał, łopaty poszły w ruch. Mój majster był bardzo zadowolony i mówił mi, że król bał się, że mogę dać go do łopaty, a jego godność na to nie pozwalała. Od tego czasu prace rozwijały się normalnie. Prawie zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. Był to człowiek inteligentny i pełen jakiejś godności

własnej. W pewnej mojej sprawie, ale chyba o niej nie napiszę,  
zachował się nie tylko jak gentleman, ale jak przyjaciel.

### Pałacowe życie

Rodzina mojej narzeczonej zaprosiła mnie na wakacje do Strzelca, miejscowości położonej pomiędzy Radomskiem a Przedborzem. Pojechałem tam autobusem z Radomska i prosiłem kierowcę <sup>Żyde</sup> (który był równocześnie właścicielem by stanął przed dworem.

- Pan do pani Lisickiej? Oj co to była za wielka pani, a teraz, szkoda gadać - i machnął ręką.

Niezły wstęp, choć wiedziałem że tam się nie przelewa. Jej magnacka fortuna dawno już przeminęła, ale nie myślałem że zastanę tam zupełną degrengoladę. Autobus stanął przed dworem, ale to nie był dwór tylko mocno zniszczony pałac. Za ogromnymi drzewami rozstaczał się obszerny cour honneur, w pośrodku którego stała spora agawa. Fronton dwukondygnacyjnego budynku tworzyły cztery kolumny, zaś na narożach wznosiły się dwie niskie, okrągłe baszty o płaskich dachach. Budynek był zaniedbany, otoczenie zapuszczone i zarośnięte. Przyjęła mnie pani Lisicka, ciotka mojej narzeczonej. Była to pani w poważnym już wieku, ubrana pretensjonalnie według mody z końca ubiegłego wieku. Zawsze występowała w powłóczystych sukniach, szalikach, woalkach, w kapeluszach o szerokich rondach i koniecznie w długich rękawiczkach.

Wnętrze domu sprawiało tragiczne wrażenie. Część pokoi bez mebli, pełne ich połamanych resztek, rozpruty kanap, ram bez obrazów, narzędzi ogrodniczych, skrzynek, worków i resztem trudnych do odgadnięcia. W jadalni ogromny stół i bateria różnych pouszkodzonych krzeseł. Na ścianach trochę portretów wśród których królował portret jakiegoś angielskiego przodka, szokujący sześcioma palcami u jednej dłoni. Brakło dla mnie łóżka i spałem na podłodze, na sienniku, a swoje rzeczy trzymałem w walizce.

Byłem kilka razy w pokoju właścicielki. Królowały tam dwa sprzęty - ogromna, gdańska szafa, która służyła za łóżko. Pani

spała w szafie, uważała że tylko szafa daje spokój, ciszę, ciemność i ciepło. Zaszokowało to mnie, uważałem to za bardzo oryginalny pomysł. Z czasem zobaczyłem w skansenie sztokholmskim że szwedzcy chłopcy dawno już to wymyślili. Na środku stał ogromny stół ciasno zastawiony setkami, jeśli nie tysiącami buteleczek i pudełeczek po lekarstwach, gdyż pani uważała za właściwe chorować na każdą chorobę o której gdzieś zasłyszała. Pani spała do obiadu i pokazywała się zawsze w innej i bardzo dziwnej toalecie. Do obiadu zasiadał także jakiś leciwy Niemiec, w bardzo zaniedbanym stroju, będący zawsze przedmiotem ostrych przymówek, ~~pani~~. Był on ostatnim reliktem ongiś bujnego życia pani. Obecnie zarządzał ~~małym~~ majątkiem, a raczej jego resztkami. Na przełomie wieku i za życia jej męża, dom słynął z gościnności i z przyjęć. Pani często ~~wymyślała~~ wspominała głośne ongiś nazwiska, zwłaszcza literatów, wśród których szczególnie ciepło mówiła o Żeromskim który tu także pisał. Pani słynęła z urody i z flirtów. Potem przyszedł krach. Umarł mąż, żonek, nie było dzieci, pani nie umiała i nie chciała gospodarować i zaczęła się wyprzedzać wszystkiego, aż zostało kilkanaście morgów pola i ogrodu tak że chłopskie działki podpełzły aż pod ściany pałacu. Tym wszystkim zarządzał ów Niemiec, niegdyś jej bogaty adorator, teraz zrujnowany wojną, trzymający się swej byłej bogdanki jakąś resztką uczucia i przywiązania. Pani go lekceważyła i wyśmiewała, a co najgorsze nie pozwalała mu grać na skrzypcach. Wieczorem kiedy pani zamknęła się w swojej szafie, Niemiec wychodził do klatki schodowej i długo w noc grał stare, romantyczne utwory. Wyglądało że ów bankrut życiowy doczeka swego kresu w tym umierającym pałacu, gdy tymczasem po zajęciu kraju przez Niemców przyjechali do Strzelec oficerowie SS i ów Niemiec ogolony i elegancko ubrany, wsiadł do samochodu by wylądować na fotelu dyrektora Reichsbanku w Poznaniu.

Moja rola polegała na jeżdżeniu co parę dni do Przedborza po różne zakupy. We dworze nie było nic do roboty, wszystko było w upadku. Łazikiem po tym smutnym obejściu i znalazłem dwa ciekawe obiekty. Jednym z nich był duży staw; dzierżawiony przez Żyda, <sup>staw</sup> ~~któ-~~ ry ~~całymi~~ w wielkiej tajemnicy był odwiedzany przez poszukiwaczy skarbów, bo jak głosiła wieść w nim uchodzące wojska napoleońskie zatopiły jakieś skrzynie. Drugim obiektem były dwa, autentyczne czworaki. Termin ten jest często używany dla obrzydzenia dawnej epoki, ignorowany przez encyklopedie i podręczniki budowlane. Okazały się one idealnym rozwiązaniem przy założeniu minimum zużycia materiałów i minimum kosztów przy zapewnieniu najprymitywniejszych warunków życia dla mieszkańców. Czworak był budowany na planie kwadratu w którego środku wznosił się murowany komin. Kwadrat był podzielony na cztery równe ćwiartki. Każda z nich była izbą dla innej rodziny i posiadała jedne drzwi i jedno okno. Jako podłoga służyło klepisko. W rogu każdej izby było palenisko z dmuchaniem do wspólnego komina. Dach był czterospadowy, kryty gontem. Przypomniał mi się Gomółka który mówiąc o tanim budownictwie powoływał się na czworaki - wątpię czy je kiedy w życiu widział.

Nudne było to pałacowe życie, żadnych ksiązek, pism, żadnych spacerów bo i gdzie, do rachitycznego lasu i po miedzach. Żadnych wizyt, bo pani uważała sąsiadów za hołotę, księdza ignorowała, a lekarz był traktowany jak cyrulik. Pani często wspominała dawne życie, mówiło się o różnych bliższych i dalszych członkach rodziny. O generale Szyszko-Bohuszu, komendancie KOP'u, późniejszym bohaterze z Narwiku, o pułkowniku Wenda który zastrzelił gen. Zagórskiego kiedy ten spoliczkował Marszałka Piłsudskiego, o przyjęciach w domu pod Gigantami przy Alejach Ujazdowskich, gdzie rodzina Strzałeckich, pracujących ~~w~~ w dyplomacji urządzała przyjęcia na które jechało się windą ~~która~~ <sup>ujęca</sup> obsługiwała tylko ich mieszkanie.

Gorzko było patrzeć na ten upadek rodziny i to w czasie <sup>sie</sup> ~~iee~~ jednego pokolenia, na roztrwonienie majątku, na zaprzepaszczenie wiekowego dorobku kulturalnego. Z przerażeniem myślałem że moja narzeczona i jej brat byli jedynymi spadkobiercami. Przyszła wojna, jakaś bomba uszkodziła pałac, pani umarła, umarł i dyrektor banku, zniknęli i dalsi członkowie rodziny, a po wojnie, w pałacu zainstalowała się szkoła. Sic transit.



Cum ave fraterno !

~~Naboznia~~ ~~organizmami~~

Na pierwszym roku studiów wstąpiłem do korporacji Leopoli. Wówczas poglądy na ich temat, ich oblicze ideologiczne i polityczne były podzielone. Przeciwnicy zarzucali że gromadzi się w nich Młodzież Wszechpolska czyli Narodowej Demokracji i że stanowią grupę ekstremalną, zwłaszcza jeżeli chodzi o antysemityzm. Prawdą jest że Młodzież Wszechpolska stanowiła w nich większość ale jej sosunek procentowy odpowiadał sytuacji wśród młodzieży akademickiej. Nigdy nie podzielałem poglądów Narodowej Demokracji, mój ojciec był piśsudczykiem umiarkowanym. Nikomu w korporacji nie przeszkadzało że są koledzy o innych poglądach. Podobnie było z antysemityzmem. Był on powszechny wśród młodzieży akademickiej, ale nie miał charakteru rasistowskiego. W Polsce miał on charakter walki klasowej. Kapitał wyraźnie gromadził się w rękach żydowskich, zwłaszcza w postaci handlu hurtowego i nieruchomości. Sytuacja ta utrudniała start młodzieży wywodzącej się ze sfer inteligentnych, a nawet chłopskich nie posiadających dostępu do kapitału. Szczególnie trudna była sytuacja młodzieży z małych miast i miasteczek wśród których antysemityzm był najsilniejszy. ~~Sytuacja~~ Sytuację pogłębiał fakt że niektóre kierunki studiów ~~były~~ jak prawo i częściowo medycyna były zdominowane przez młodzież żydowską. Te fakty spowodowały powstanie problemu getta Ławkowego. Samo getto w praktyce nie było takie groźne i tak studenci zawsze się grupowali w ławkach według miast, okolic wspólnego pochodzenia czy szkół z których wyszli. Żydzi zawsze stanowili osobną grupę i nikt z tego powodu nie szczywał konfliktu. Znalezli się prowokatorzy którzy zainicjowali cały proces. Nasza korporacja nigdy nie brała udziału w wystąpieniach antysemickich, natomiast brała udział w akcjach mających na celu walkę o autonomię uczelni przeciw staroście ~~Kotzowi~~ Klotzowi ~~razem z Ukraińcami~~

naszej

rach z Ukraińcami. Pewne sfery rzuciły anatemę na korporacje i podbudowane brakiem informacji <sup>co</sup> pokutuje do dziś. Jako kontrargument można podać chociaż tylko niektóre osoby o wysokim autorytecie moralnym które były aktywnymi członkami korporacji jak gen. Sikorski, europejskiej sławy antropolog prof. Jan Czekanowski, syn malarza Siemiradzkiego, profesor paleontologii, prof. prawa międzynarodowego Stanisław Starzyński, rektor Politechniki lwowskiej Kasper Weigel, prof. Bruchnalski. Każda z korporacji miała wśród swych filistrów różne sławy naukowe. Na ten temat wypowiedział się szeroko prof. Jan Ernst w swoich pamiętnikach.

Także na temat zwyczajów korporacyjnych krążyły różne bajdy. Tymczasem zwyczaje te miały wiele uroku i były oparte na starych tradycjach europejskich, a w Polsce na tradycjach pierwszych polskich korporacji z Dorpatu gdzie skupiali się wygnani z Rosji carskiej polscy studenci. W Polsce istniały dwa piony korporacyjne : Polski Związek Korporacji i Związek Chrześcijańskich Korporacji. Różnica polegała na odrzuceniu przez drugi związek pojedynku. Z tymi pojedynkami to także jest wiele nieporozumień. Obowiązywał kodeks ~~honorowy~~ honorowy Bozewicza przewidujący w zasadzie pojedynki, ale według niego obowiązkiem sekundantów jest dążenie do jego uniknięcia. Jeżeli strony koniecznie domagały się pojedynku to sekundanci mogli zrezygnować ze swoich funkcji. Za moich czasów korporacyjnych był tylko jeden pojedynek pomiędzy synem prof. Weigla, który zginął potem razem z ojcem na wzgórzach Wóleckich, z Nowakowskim. Pojedynek na szable, rozegrany pod Czartowską Skałą skończył się szramą na policzku Weigla.

były też korporacje ukraińskie i żydowskie.

Członkowie korporacji dzielili się na fuksów, komilitonów i filistrów, byli też filistrzy honorowi. Fuks czyli aspirant musiał czekać conajmniej rok na ewentualne przyjęcie na podstawie ~~większości~~

wie balotażu. Komilitoni byli pełnoprawnymi członkami korporacji i z pośród siebie wybierali prezydium i fuksmajora, czyli zwierzchnika i nauczyciela fuksów.

Wewnątrz korporacyj też istaniały podziały, np. między dwoma ~~podziami~~ <sup>wymienionymi grupami</sup> nie było żadnych stosunków, także nie było stosunków z korporacjami innych narodowości. We Lwowie wśród "polskich korporacji" wyodrębniła się grupa starszych korporacji. Najstarszą była Lutico-Wenedia, założona jeszcze w Dorpacie, grupująca tylko studentów weterynarii. Leopolia była najstarszą lwowską i bardzo się cenila, zwłaszcza że w niej <sup>2</sup>grupowało się <sup>3</sup>wielu prezesów różnych organizacji akademickich. Rzadko kiedy <sup>1</sup>"Leopolici" nosili dekle, ale zawsze występowali uroczyście na defoladzie z okazji święta 3-Maja.

Strojem korporanta był dekiel, czyli okrągła czapeczka w kolorach korporacji, w mojej Leopolii barwami były barwy lwowskie - czerwona i niebieska, przegrodzone złotą tasmą. Fuksy nie mieli prawa do złota. Przez pierś przechodziła banda czyli wstęga o barwach korporacji. Jestem chyba jedynym posiadaczem dekla i bandy korporacji. Sądzę jednak że stary zwyczaj dekorowania trumny dekiem w moim przypadku nie będzie już respektowany.

Wiele uroku miały stare obyczaje korporacyjne, zwłaszcza komersy i sobótki. Komersy odbywały się mniej więcej dwa razy do roku i nie były uzależnione od żadnych terminów. Tradycyjnie odbywały się w tylnej sali hotelu Krakowskiego. Sobótki odbywały się zwykle raz w miesiącu u Naftuły czy w innych podobnych lokalach. W komersach obowiązkowo brali udział komilitoni i fuksy, filistrzy byli zapraszeni, mogli być zaproszeni i inni goście ze świata akademickiego. Unikano zapraszania członków korporacji "chrześcijańskich" i działaczy politycznych. Komersy zaczynały się o ósmej wieczór i trwały około czterech godzin.

Stoły były ustawione w podkowę, u czoła zasiadał prezes, a po jego stronach filistrzy i zaproszeni goście. Od strony wewnętrznej stoły były niezajęte. Prawe ramię stołu było zajęte obustronnie przez komilitonów, a u jego końca siedział wiceprezes, lewe ramię zajmowali fuksy, a u czoła siedział fuksmajor. Wszyscy byli w deklach na głowach, również filistrzy i goście z innych korporacji, fuksmajor miał dekiel z przypiętym lisim ogonem. Prezes, wiceprezes i fuksmajor mieli rapiery w ręku. Komers otwierał prezes, witał gości i członków po łacinie, kończąc formułą "cum ave fraterno". i uderzał rapierem w stół. Na jego uderzenie odpowiadali uderzeniami wiceprezes i fuksmajor. Następnie odśpiewano "Gaudemus" i hymn Leopoldii której refren zaczynał się od słów "Lwa nosimy w herbie serca ...". Na tym kończyła się część oficjalna. W części nieoficjalnej wszyscy pozostawali na swoich miejscach i podawano piwo. Obecni zabawiali się rozmowami a fuksy były ostro kontrolowane przez fuksmajora. W każdej chwili fuks mógł być ukarany wypieiem "ekse" tj. literatki piwa z solą, pieprzem i popiołem z papierosów. Komilitoni mogli się wzywać na pojedynki piwne. Stawali wówczas przed prezydium, dostawali po kuflu piwa, nadany znak wypijali go i zwyciężał ten który pierwszy postawił pusty kufel. W czasie picia wszyscy śpiewali "Wypił, wypił i nic nie zostawił, a bodajże go Pan Bóg błogosławił". Komilitoni i filistrzy, a fuksy tylko między sobą, mogli wypijać "Bruderschaft". Wypijano go lampką wina pitą przez wzajemnie przeplecione ramiona. Usta <sup>wzajemnie</sup> wycierano sobie dekle. Sala śpiewała wówczas "Bratiale, bratiale, pijemy z jednej szklanicy" i da capo aż do skończenia Bruderschaftu. W czasie komersu fuksmajor chodził po sali z rapierem i wszyscy obecni napijali swoje dekle na rapier. Następnie dekle były zdejmowane i gościom podawano skrawek bandy którym zaszywano ~~potem~~

potem powstała dziura. Dziury<sup>u</sup> we własnych deklach zostawały nie zaszyte.

Na fuksów za złe zachowanie mogły być nakładane kary w postaci wchodzenia pod stół. Mogło to dotyczyć jednego lub wszystkich fuksów, w żadnym wypadku nie mogło dotyczyć komilitona.

W części nieoficjalnej podawano na indywidualne zamówienia kolację, którą z reguły były parówki. Przy stole prezydialnym podawano wino. Wódki nie podawano. Koszta lokalu, piwa i wina były pokrywane w równych częściach przez członków korporacji. Z części nieoficjalnej można było wyjść każdej chwili, meldując się u wiceprezesa, względnie fuksmajora. Przestrzegano by nikt się nie upił. Komers kończył się chóralnymi śpiewami, w których królował "Alfabet" Tuwima.

Korporacji wiele zawdzięczałem - tam zadzierżgnąłem pierwsze poważne przyjaźnie które trwały całe życie. Tu poznałem ludzi ~~którzy~~ którzy w czasie wojny i konspiracji pokazali co warte jest wychowanie w patriotyzmie i poczuciu honoru. Takich którzy oddali życie za ojczyznę i takich którzy po wojnie w kraju i na emigracji zajęli wysokie stanowiska.

### Zamiast dyskoteki

Ludzie młodzi uważają ~~że~~ taniec za konieczność życiową, związaną z wejściem w czas prokreacji. Jest on jakąś sublimacją erotycznych zabiegów, ale także potrafił stać się sztuką, również elementem kultury i składnikiem życia towarzyskiego. Te słowa brzmią dość dziwnie w czasie kiedy taniec powrócił do burszu z którego ongiś wyszedł. Dyskoteka wyzwala elementarną <sup>tar</sup> potrzebę ruchu, manifestację prymitywnych odruchów, często pogłębioną narkotykami i alkoholem. Monotonia powtarzających się poruszeń wprowadza w stany psychodeliczne. Trudno rzec dlaczego doszło do takiej degradacji tańca, może to jest zemsta rasy czarnej za lata niewoli.

Z moim życiem akademickim wiązała się także potrzeba tańca. Warunkiem jej urzeczywistnienia było nauka tańca. Trzeba było ją pobierać w szkołach tańca na tak zwanych kompletach u Wieczystego czy u Brysiowej, ~~to~~ <sup>u</sup> której jako młodego gimnazjalistę zapisała mnie matka. Jej szkoła znajdowała się w gmachu Starego Teatru, na drugim piętrze, wprost nad holem kina Lew. Na kompletach przeważała młodzież akademicka i trochę młodej inteligencji pracującej. Ja należałem do najmłodszych, miałem 16 lat a ponieważ nie znałem tam żadnej panny dostawałem jakąś "odpadową" dziewczynę o znikomej urodzie. Patrzyliśmy na siebie z wzajemną niechęcią.

Uczono nas, czegoś co brzmi jak historia : lansiera, kadryla walca, walca angielskiego, bostona, fokstrota, polki, mazura i krakowiaka. Urzekła mnie <sup>e</sup> elegancja lansiera i kadryla, których figury pani Brysiowa zapowiadała po francusku. Walc <sup>był to</sup> Jedyne tańcie którego nigdy nie zapomniałem i zawsze tańczyłem z przyjemnością. Tango uważałem za pretensjonalny pokaz rzekomych chłopska umiejętności. Raziła mnie prymitywność krakowiaka i mazura.

Dansingi nie były w modzie akademickiego świata. Tańczyło<sup>sic</sup> czasami na zebraniach towarzyskich, zaś w karnawale na różnych balach organizowanych przez najróżniejsze stowarzyszenia. Dla większości takim ośrodkiem życia towarzyskiego było Kasyno Literackie przy ulicy Akademickiej. Z literaturą nie wiele ono miało wspólnego - czasem odbywały się tu jakieś odczyty i spotkania literackie. Było to miejsce spotkań miejscowej inteligencji przy bridżu i przy bufecie. W czasie karnawału w każdą sobotę odbywały się tańce. Akademicy musieli znaleźć dwu wprowadzających członków Kasyna i wtedy otrzymywało się kartę wstępu. Te sobotnie tańce miały swój rytuał - panowie przy bufecie, panie na krzesłach wogół ogromnej sali, sama panienka, bez opieki nie miała prawa tam się zjawić, młodź męska tłoczyła gdzie się dało. Atmosfera była bardzo różna od dzisiejszych. Można było tańczyć w swoim towarzystwie, albo tylko ze swoją damą, można też było prosić panienkę z sali wprzód przedstawiając się jej opiekunce i prosząc o zezwolenie.

Uczelnie miały także swoje reprezentacyjne bale. Były bale medyków, studentów architektury na czas którego wszystkie sale Politechniki przystrajano na niewiarygodne wnętrza. Były także bale korporacji. Na bale przychodzono tylko za zaproszeniami i poza organizatorami gromadziły ich rodziny, przyjaciół i zaproszonych gości. Na bale nie chodziłem bo nie miałem ani fraka, ani smokinga. Kiedy doszedłem do fraka poszedłem w nim po raz pierwszy w 1938 r. na bal Leopoli. Bal ten liczył się wysoko w hierarchii lwowskich zabaw. Odbywał się w malinowej sali hotelu Georga. Salę zdobiła wielka plansza naszego herbowego lwa z dekletem i rapierem, pędzla naszego komilitona Staszka Terleckiego. Bal otworzyli profesorowie Starzyński i Weigel wraz z małżonkami. Wszyscy byli we frakach, których gorse były przepasane

~~czterema~~ 'czerwono-złoto-niebieskimi bandami'. Krótki był żywot mego fraka. Kiedy armia radziecka uwolniła nas od ucisku panów, uwolniła także od wielu innych rzeczy. Możliwości życiowe mieszkańców malały z dnia na dzień i głód zaczynał zaglądać w oczy. Mój frak, gors, lakierki, muszka skorzystały z oferty Teatru Wielkiego ~~go~~ <sup>ż</sup> go, który zdołał już zmienić swoje imię na teatr Lesi Ukrainki i wzbogacił jego garderobę. Tak na marginesie tej sprawy, byliśmy ciekawi co to za postać ta Lesia, która dostała tak śliczny gmach na swoją cześć. Okazało się w końcu że to był pseudonim poetki ludowej, żyjącej w latach od 1871 do 1913 r. imieniem Larisy Petrówny Kwitka z domu Kozacz. Drugi frak już nie zdążył się pokazać na moich ramionach.



### Trzeci nurt

✓  
Mieczysław

Jeszcze w gimnazjum odczułem w sobie chęć pisania. Namówiłem swego profesora Różyckiego, polonistę, na wyrażenie zgody na wydawanie pismka szkolnego. Nadałem mu tytuł "Żak". Razem z kilkoma kolegami napisaliśmy i wydaliśmy trzy numery pisma w nakładzie po 100 egzemplarzy. W czasie redagowania mieliśmy pyszną zabawę, bo nie traktowaliśmy swej pracy poważnie. Nie przypuszczałem że w dalszym życiu pisarstwo stanie się dla mnie ważnym, a rzecz można drugim zawodem.

Na naszej Politechnice wychodziło poważne pismo, choć redagowane przez studentów i asystentów pt. "Życie Techniczne". Do współpracy zwerbował mnie mój starszy kolega, asystent prof. Wątor, Jan Grubecki. ~~Ja~~ Była to postać o niezwykłych zdolnościach i pracy, a jego dalsze koleje życia w pełni to potwierdziły. Zachowałem z nim kontakt aż do jego zgonu w 1987 r. Niecodzienny był jego życiorys. Jego praca zawodowa zaczęła się od asystentury, a równocześnie poza pracą redakcyjną działał w "Bratniaku" który był ~~najważniejszą~~ najpoważniejszą organizacją na uczelni. W jego gestii leżała wszechstronna pomoc młodzieży przez organizację bufetu, ~~or~~ stołówek, domów akademickich i td. Należała do <sup>Bratniaka</sup> ~~niego~~ przede wszystkim młodzież z prowincji, organizacja nie była wolna od walk politycznych pomiędzy endecką Młodzieżą Wszechpolską w organizacjami pro-rządowymi jak Legionem Młodych, Młodzieżą Demokratyczną i innymi. Ukraińcy i Żydzi mieli własne podobne organizacje. Grubecki w pewnym okresie stał na czele tej organizacji. W czasie jego kadencji uchwalono paragraf aryjski. Była to raczej demonstracja gdyż i tak do Bratniaka należeli tylko Polacy. Po studiach Grubecki pracował na kolei w Bydgoszczy, a po wybuchu wojny znalazł się w Stanisławowie gdzie pracował na kolei ta-

ch  
 kże za czasów radzieckich, Po najeździe Niemców na Związek Radziecki, Grubecki znalazł się w Stalingradzie. Tu przeżył całe oblężenie, tu jego żona urodziła dziecko. ~~xxx~~ Nie przerywał swojej pracy, próbował rozwiązać problem dostaw sprzętu wojennego i rezerw przez Wołgę. Rzeka ta jak wszystkie rzeki płynące południkowo posiada wysoki prawy brzeg i niski lewy brzeg. Pozwalał to gromadzić Rosjanom swoje rezerwy w artyleryjskim cieniu prawego brzegu. Dostawy były dowożone nocami, gdyż w dzień lotnictwo niemieckie niszczyło mosty. Grubecki zaprojektował mosty z nawierzchnią o pół metra poniżej lustra wody, co nie przeszkadzało w transportach a dawało poważne zabezpieczenie przed ~~zniszczeniem~~ zniszczeniem mostów przez bomby.

Kiedy powstał Związek Patriotów Grubecki znalazł się w jego składzie. Opowiadał mi między innymi o rozmowach ze Stalinem jakie prowadził w towarzystwie Drobnera~~x~~ w których poruszono sprawę Lwowa. Stalin miał odpowiedzieć że dałby Polsce Lwów, ale "Ukraincy" nie dałoby mu żyć. Rola Stalina i stosunki zarówno w ZSRR, jak i w naszych władzach były dobrze znane i szkoda że nie jest wiadomem czy nie pozostały jakieś jego notatki.

✓  
 po Grubeckim

W powstałym rządzie został ministrem komunikacji. I tu spotkałem się z jego osobą w niezwykłych okolicznościach. W zimie 1944 r. pracowałem w okolicach Krakowa i tam w nocy radziecki samolot rozrzucił ulotki na których był przedstawiony skład polskiego rządu. Wśród innych ministrów był wymieniony Grubecki jako minister z podaniem życiorysu i fotografii. Ministrem nie był długo. Dostał polecenie włączenia polskiego taboru kolejowego do kolei radzieckich. Kiedy odmówił przestał być ministrem. Na jego miejsce wszedł płk. inż. Jan Rabanowski. Tabor jednak został przy Polsce. Powierzono mu prezesurę Naczelnego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego.

Po wojnie spotkałem go w Zakopanem gdzie spacerował pod  
 obstawą dwu funkcjonariusze z ~~Ob~~chro~~n~~y Rządu, co nie przeszkadzało nam w rozmowach. Jego osobiste losy były tragiczne. Jego żona, Żydówka, po tragicznych przejściach wojennych, przyjęła chrzest i ~~wstąpiła do klasztoru~~ ukryła się w klasztorze. Grubecki szukał przy pomocy władz bezpieczeństwa i duchowieństwa w celu uzyskania rozwodu. Przez kilkanaście lat przerzucano ją z klasztoru do klasztoru. Wreszcie uzyskał rozwód i ożenił się z dzielną obrończynią Warszawy, która w czasie walk straciła nogę. Przeszedł wreszcie do swej pracy zawodowej i został kierownikiem katedry kolei żelaznych na Politechnice Warszawskiej.

Odbiegłem od "Życia Technicznego" ale tak to jest ze wspomnieniami. Jedno wspomnienie, wyzwala inne, a człowiek w ich gęstwinie zapomina ~~którym~~ śladem podążać. Zacząłem pisywać do "Życia Technicznego", nie muszę dodawać że pojęcie honorarium tam nie istniało. Przez dwa lata 1936 i 1937 zamieściłem kilkanaście artykułów, od recenzji teatralnych do budowy węzła komunikacyjnego w Sztokholmie. Najwięcej cenilem sobie moje prace związane z problemem nadciągającej wojny. Udało mi się otrzymać stypendium Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwigazowej, która rocznie rozprawadzała 20 stypendiów, po 110 zł, z których 19 było przeznaczonych dla konstruktprów lotniczych a jedno, ~~które~~ którym się nikt nie interesował na bier<sup>n</sup>ą obronę przeciwlotniczą. Do swej pracy zabrałem się solidnie i jej rezultatem był cykl artykułów na temat przystosowania miast do ~~warunków~~ warunków przyszłej wojny. Uważałem że brak jest inżynierów którzyby byli rprzygotowani do takiej pracy. W 1936 r. wystąpiłem do władz Ligi z obszernym memoriałem o utworzenie uzupełniającego studium budownictwa wojskowego. Oczywiście poparli, Rektor oczy-

wiecie poparł i na tym się skończyło. W czasie wojny miałem jednak pewną sadyfakcję bo postulowałem zaniechanie wydatków na obronę przeciwgazową gdyż 1 kg bomby zapalającej powodował pięć razy więcej ofiar jak 1 kg gazowej. do tego bomba zapalająca jest cztery razy tańsza w produkcji. Byłoby idiotyzmem wyposażać samoloty w bomby gazowe. I tak się też stało. Maski gazowe wyrzucano do rowów, a w torach noszono chleb. I druga sprawa, pisałem że niema sensu budować w Lwowie schronów przeciwgazowych, gdyż wnieście są strome wzgórza lesowe i wystarczy drążyć w nich tunele. Schronów i tak nikt nie wybudował, zato Niemcy w czasie odwrotu planowali takie tunele, ale nie zdążyli je wykonać.

Równocześnie zacząłem pisać do popularnego lwowskiego dziennika "Kurjera Polskiego" gdzie zamieściłem kilka ~~raportów~~ reportaży z moich wędrówek po Europie. Pisywałem też do "Morza", "Podchorążego", "Zrywu" i wogółem gdzie się dało.

Po wojnie pracowałem w dziedzinie kolei linowych o czym piszę osobno, gdyż stały się moim podstawowym zawodem. Była to wdzięczna dziedzina techniczna, gdyż w Polsce nikt się nią nie interesował, a na świecie otaczała ten problem pewna dyskrecja spowodowana polityką firm produkcyjnych, działających w myśl zasady "chcesz kolej linową, to kup ją u nas". Ta sytuacja zmusiła mnie do przestudiowania wszystkiego co się dało z literatury przedmiotu w innych językach i szerokich kontaktów z ludźmi tej branży, zwłaszcza że już budowałem moje koleje linowe w kraju.

~~W 1955~~ W 1957 r. napisałem książkę "Koleje linowe napowietrzne", których pięknie oprawne egzemplarze wręczyłem uczestnikom kongresu kolei linowych OITAF w Rzymie, w Innymi poważnymi pracami były wydane w Paryżu ~~książki~~ w 1964 r. księ-

żka pt. "Téléphériques et transporteurs aériens" licząca blisko 600 stron i w 1966 r. pt. "Aerial Tramways and Funicular Railways" wydana w Oxfordzie. Jako ciekawostkę mogę podać że Polska jako jedyna z państwa socjalistycznych nie zakupiła ani jednego egzemplarza. Ostatnia książka poszła w dużym nakładzie do Japonii i ze słownikiem angielsko-amerykańskim do Stanów Zjednoczonych. Także była reklamowana jako mikrofilm i jako odbitka ksero. ~~Napisałem z tej branży~~ Byłem <sup>także</sup> współpracownikiem "Internationale Seilbahn Rundschau" gdzie zamieściłem wiele prac i "Rope-way Review" w Londynie. Ponieważ problem budowy kolei linowych wiąże się z problemami zagospodarowania ziem górskich i z tej dziedziny opublikowałem ze 40 artykułów.

W  
oraz "Acero y  
Energia" w Bar-  
celonie

Kiedy polityka przewodniczącego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki pana Reczka zastopowała wszelkie inwestycje górskie, zrezygnowałem z pracy w tej branży i zacząłem pracować w Centralnym Ośrodku Badań i Rozwoju Techniki Kolejowej i w Ośrodku Badań Ekonomii Transportu, a także w zespołach PAN. Zająłem się kolejami niekonwencjonalnymi i w 1971 r. napisałem książkę pt. "Koleje niekonwencjonalne". Różnych innych prac mam za sobą około 40, wśród nich projekt wstępny komunikacji jednoszynowej, podwieszanej, dla terenu Podtatrze, połączonej z siecią kolejową Polski i Słowacji. Projekt ten ~~wykonanie~~ któremu poświęciłem wraz z moim biurem dwa lata był zlecony przez ministra Komunikacji. Zyskał on pochlebne opinie różnych instytucji, był też publikowany w prasie i poszedł spokojnie na półki.

Zawsze interesowały mnie problemy techniczne związane z wojną, gdyż uważałem że wojna, a więc walka o życie i o przetrwanie wyzwała najgenialniejsze pomysły naukowe i rozwiązania techniczne. Przeszedłszy na emeryturę zacząłem studiować problemy <sup>z</sup> związane z rozpadem i fuzją atomów, a więc i z bronią

nuklearną. Dzięki przyjaciółom za granicą mogłem zaopatrywać się w możliwie pełną literaturę przydmiotu. Po opublikowaniu kilkunastu artykułów z tego tematu na łanach "Tygodnika Demokratycznego" porwałem się na pisanie książki. Pierwszą z nich była wydana w 1983 r. praca pt. "Broń i strategia nuklearna". Miała dwa wydania i otrzymałem ~~grax~~ pisemne gratulacje od gen. Jaruzelskiego. Drugą była wydana w 1987 ~~ix~~ r. pt. "Zagrożenie z kosmosu". Podpisałem umowę na trzecią pracę pt. "W cieniu trzeciej wojny" w której na 430 stronach maszynopisu przeprowadziłem analizę <sup>u</sup>uzbrojenia konwencjonalnego i niekonwencjonalnego czyli nuklearnego wielkich mocarstw i ich trabantów. Wydawnictwo zapłaciło mi najniższą stawkę autorską i ~~xxx~~ odstąpiło od druku, gdyż dzięki reformom ministra Krawczuka książki o nakładzie poniżej 50 000 egzemplarzy przestały się opłacać, a moja książka miała mieć nakład tylko 10 000. Na jej miejsce weszła o dużym nakładzie książka pt. "Sekshoroskopy". Płakać czy śmiać się ?

Poza tą literaturą fachową pisywałem artykuły na różne tematy, polityczne, społeczne, wspomnienia a nawet napisałem trzy prospekty. Zgromadziło się tego po różnych pismach około ~~55xxxx~~ pięćdziesięciu.

Zastanawiam się czy człowiek piszący na tak różne tematy jest pisarzem czy <sup>u</sup>wrobnikiem pisarskim. Gdybym pisał fraszki, jakieś wiersze lub durne kryminały, byłbym pisarzem, a tak nie wiem jak siebie określić, chyba tylko jako "człowieka piszącego".

~~WAZA~~ PAZZM-Liga

Na drugim roku studiów, kolega z gimnazjum Aleksander Mezeń namówił mnie do zapisania się do ~~o~~ Polskiego Związku Zbliżenia Międzynarodowego Liga. Była to jedyna organizacja akademicka o charakterze międzynarodowym. Powstała ona z inicjatywy Ministerstwa Spraw Międzynarodowych, a w szczególności dyr. Departamentu Personalnego Wiktora Drymmera. Miała ona na celu rozwijania zainteresowań innymi krajami przez pracę popularyzacyjną w obrębie sekcji ~~xxx~~ narodowościowych i przez organizację wycieczek, praktyk, stypendiów zagranicznych. Równocześnie chodziło o nawiązywanie kontaktów z młodzieżą podobnych organizacji za granicą. Liga przygotowywała także kadry do służby w ministerstwie i w instytucjach o zasięgu międzynarodowym. Dzielila się na dwa pionry, wewnętrzny składający z oddziałów w miastach uniwersyteckich i z referatów współpracujących z zagranicą. W oddziałach były sekcje przyjazni z różnymi narodami, ale z wyjątkiem ZSRR, Litwy, Hiszpanii i Portugalii.

Administracja była prowadzona społecznie przez członków. Opiekę i ukierunkowanie prac zależało od kuratora z MSZ. Politycznych nacisków nie było. Rozwijanie stosunków z zagranicą zależało wyłącznie od inicjatywy członków. Po roku przynależności zostałem prezesem Oddziału we Lwowie. Mieliśmy sekcje francuską, włoską, jugosłowiańską, niemiecką i rumuńską, oraz referaty studiów zagranicznych, praktyk zagranicznych, turystyczny, paszportowy, prasowy i sportowy. W 1937 r. zostałem przewodniczącym Zarządu Głównego z zakresem obowiązków wewnątrz krajowych i jako jedyny dostałem stypendium MSZ. Za okres swej pracy zredagowałem sprawozdanie w formie książki o 100 stronicach, która stała się wogóle moją pierwszą książką.

Pierwszym prezesem Zarządu Głównego był znany potem jako

pisarz dr Wacław Korabiewicz, który w tym czasie wsławił się przepłynięciem na kajaku Dniestrem, przez Morze Czarne i dalej do Indii. W czasie wojny przebywał w Afryce i jest autorem wielu książek podróżniczych. Po nim prezesurę objął Jan ~~Szaxigh~~ Scazighino, który jako porucznik zginął pod Monte Casino i o którym wspomina Melchior Wankowicz. Następnym był Henryk Słowikowski który przepadł bez śladu w Kijowie po wybuchu wojny. Ostatnim był Jerzy Przeździecki, po wojnie wieloletni prezas PTTK. Jeszcze parę słów dla zobrazowania stopnia działalności tej organizacji podaję wyniki ~~jej~~ tylko za rok 1937. Zagranicznych praktyk 518, wycieczek zagranicznych 28, przyjęto zagranicznych wycieczek 14. Dodać należy że w tamtych czasach nie istniało pojęcie wyjazdów dla zarobku czy jakichś handlów a były to wyjazdy wyłącznie wynikające z zainteresowań nauko-  
~~wych~~ wych, zawodowych czy poznawczych.

W Zarządzie Głównym Ligi pracowałem dwa lata i żudziłem się przyszłą pracą w Ministerstwie. Zorjentowałem się rychło że droga do odpowiedzialnych stanowisk jest uwarunkowana albo posiadaniem dużych pieniędzy, arystokratycznych koligacji lub powiązaniem z tak zwanymi pułkownikami, dawnymi legionistami którzy rządzą krajem. Nie spełniałem żadnego z tych wymogów i pewnego dnia zerwałem z rojeniami, wróciłem do Lwowa, zdałem zaległe egzaminy i zrobiłem dyplom.

Lidze wiele zawdzięczam gdyż poza zaznajomieniem się z techniką prac społecznych, nauczyłem się kontaktów z zagranicznymi stowarzyszeniami, organizacją praktyk i wycieczek. Jednak przede wszystkim Liga otworzyła mi wrota za granicę. Odbyłem praktyki zagraniczne w Estonii, Rumunii, Jugosławii. Zorganizowałem wycieczki na Bliski Wschód i do Egiptu, przez kilka krajów Europy na Światową Wystawę w Paryżu, w Alpy transylwiańskie,



ba, nawet zorganizowałem wyprawę na Kilimandżaro, która niestety z powodu wybuchu wojny nie zdążyła wyjechać.

Liga dobrze spełniła swoje zadania. Wielu członkom ułatwiła stosunki i poruszanie się za granicą w czasie wojny. Wielu jej członków odegrało poważną rolę służąc sprawom polskim na całym świecie. Niestety brak mi szczegółowych wiadomości. Przypuszczę tylko losy Jana Kozińskiego, obecne jego nazwisko Kar-ski. W czasie wojny był łącznikiem rządu londyńskiego z krajem gdzie kilka razy lądował na spadochronie. Po zdobyciu informacji ~~kilka razy rozmawiał dotychczas o losach żydów~~ i fotografii dotyczących losów żydów, wracał samolotem do Anglii gdzie rozmawiał z Churchill'em, a potem i z Rooseveltem, pytał ich co ma odpowiedzieć Żydom kiedy ponownie wylądują w Polsce, ale żadnej odpowiedzi nie otrzymał. O ile ~~nie wiem~~ wiem jest żonaty z córką byłego ambasadora Meksyku w USA i tam pozostał.

Budapeszt

W 1934 r. pojechałem w sprawie praktyk wakacyjnych do Budapesztu. <sup>wywarły</sup> Ówczesne Węgry ~~zrobiły~~ na mnie duże wrażenie przez tragiczne podobieństwo losów naszych ojczyzn. Po pierwszej wojnie, w której Węgry brały udział nie z własnej woli po stronie państw centralnych, zapłaciły ~~xxxxxx~~ <sup>za</sup> utratą 67 % swych ziem i 58 % ludności. Układ w Trianon z 1920 r. <sup>przynął</sup> stracono na rzecz Czechosłowacji całą Słowację, Wojewodinę zabrała Jugosławia, Siedmiogród Rumunia a nawet ~~xxxxxx~~ i Austria zabrała część terytorium. Na centralnym placu 1000-lecia Węgiek znajdowała się wielka mapa z kwiatów, na której kwiatami zakresłono terytoria stracone. ~~Na najwyższym maszcie opuszczono na wieki~~ ~~xxxxxxx~~ Na maszcie, flaga opuszczona do połowy na wieczną żałobę. W niszach kolumnady ostatnie miejsce zajm<sup>uje</sup> cesarz Franciszek Józef. Po wojnie już go nie zastałem. Druga wojna jeszcze bardziej skomplikowała sytuację Węgiek, znowu znalazły się po nieodpowiedniej stronie i znowu ciężko za to zapłaciły.

Było nas w Budapeszcie dwu, kolega prezes był nie w humorze po oblanym egzaminie dyplomatycznym, ale studenci węgierscy byli tak serdeczni że przez cztery dni poili nas w "Kiosku" na górze św. Gelerta i mego prezesa w żadne<sup>n</sup> sposób nie ~~mogłem~~ <sup>dało się</sup> zbudzić rano do pociągu. Nie wiel<sup>e</sup> mogłem wówczas zwiedzić ale za to wiele nasłuchiwałem się o ich sytuacji politycznej o rozbiorach, a najwięcej o ukochanej cesarzowej Elżbiecie. Była to kobieta wyjątkowej urody co potwierdzają liczne jej portrety. Córka księcia bawarskiego wyszła młodo za nigdy niekochanego Franciszka Józefa. Łączyła wybitny intelekt z filmową pięknnością. Jako królowa Węgiek była bałwochwalczo czczona przez całą ludność. Mała, owalna twarzyczka, bujne blond włosy, głębokie wejście sarnich oczu rozchylone usta w wyrazie ja-  
~~kiś poświadczenia sprawiał że szajeli za nią magnaci węgierscy,~~  
~~a która zwracała uwagę na jej gorącą sympatię~~

kiegoś zdziwienia sprawiał że szaleli za nią i lud i magnaci węgierscy, a hrabia Juliusz Andrassy cieszył się jej sympatią. Elżbieta unikała Wiednia, dużo podróżowała i ~~xx~~ często przebywała na zanku w Budapeszcie. W czasie jednej z podróży została zamordowana przez Luigi Luccheniego, włoskiego anarchystę. Pilnik którym została ugodzona ugodził w serce Węgier.

✓  
w Genewie

Zupełnie już inny Budapeszt odwiedzałem po wojnie. Nie było już pojedynczych, drewnianych wagonów najstarszego europejskiego metra, brakło kilku pomników, pozmiały się nazwy ulic. Nie było nikogo ze starych przyjaciół. Na górze Gelerta stał pomnik wyzwobodzicieli - armii radzieckiej. Nawet Dunaj stęrcił swoją modrą barwę i toczył brudne wody.

Wiadomość o Światowej Wystawie otwartej w Paryżu bardzo mnie podekscytowała. Paryż, stolica świata, wówczas Ameryka nie była taka modna. To Paryż organizował powojenną Europę, Ligę Narodów, to francuski był językiem ówczesnego świata, angielski stał się nim dopiero po drugiej wojnie. Do dziś pozostał jako relikwium językiem Międzynarodowym Unii Poczt i EWG. Do tego wszystkiego znałem język, a mój profesor Dąbrowski cały rok nauki poświęcił na przestudiowanie wszystkich aspektów Paryża. O indywidualnym wyjeździe nie było mowy. Wpadło mi na myśl zorganizowanie wycieczki ligowej w której objąłbym kierownictwo. Zarząd zaakceptował i zabrałem się do organizacji - ustaliłem trasę tak jaknajbardziej odpowiadała moim zainteresowaniom - Warszawa, Berlin, Frankfurt, Verdun, Paryż, Fontainebleau, Akwizgran, Marsylia, Nicea, Monte Carlo, Mentona, Genua, Mediolan, jezioro Garda, przez Brenner do Innsbrucku, Norymberga, Monachium do Warszawy. Nie było biur podróży któreby mogły pomóc w kontaktach zagranicznych. Trzeba było samemu szukać kontaktów, informacji i prowadzić obszerną korespondencję. Ustaliłem noclegi w domach wycieczkowych i obiady w przydrożnych restauracjach, natomiast śniadania i kolacje we własnym zakresie, na ognisku herbata, chleb i do niego zakupiłem na Wileńszczyźnie suszone wędliny. Wynająłem dwa autobusy marki Sauer na ropę, które mimo fatalnych nawierzchni nie miały ani jednego defektu. Miejsc było 72 i dwu szoferów, administracja i przewodnik ja jeden.

Miałem poważne obawy czy mi się to uda, wprawdzie znałem języki, ale nigdy w tych krajach nie byłem, nie byli też kierowcy więc dodatkowo musiałem być pilotem, chyba niezłym bo ani razu zabłądziłem. Tylko w Niemczech towarzyszył nam i pomagał delegat ~~xxHitlerjugendxx~~ z Hitler Jugend.

V  
Aleksander

Muszę tu przypomnieć że były to czasy kiedy samochód był trudno dostępny i szosy były względnie puste. Niemcy właśnie wypuściły model Volkswagen za 990 Marek, który miał być samochodem dla mas. Na wszystkich drogach za to spotykało się tysiące młodzieży ~~maximalnie~~ zwiedzających swoją ojczyznę na rowerach. W każdej szkole były tak zwane Jugendheim gdzie za grosze dostawało się nocleg i bardzo obfite śniadania. My także korzystaliśmy z takich kwater.

Na mojej wycieczce najtrudniejsze okazało się wprowadzenie dyscypliny i punktualności odjazdów i wydawania posiłków. Zwłaszcza że wśród uczestników było wielu starszych odemnie i dość zarozumiałych warszawiaków. W Paryżu musiałem z wycieczki usunąć pewnego złotego młodzieńca co spowodowało interwencję konsulatu ale się nie ugnąłem, facet pojechał pociągiem do Warszawy a ja zyskałem autorytet. Podobny incydent miałem nad jeziorem Garda, musiałem się zatrzymywać przed kolejnymi restauracjami gdzie pytałem o możliwość otrzymania tak dużej ilości obiadów, a uczestnikom poleciłem nie wysiadać z wozów. Pewien wesoły malarz nie wytrzymał i wskoczył do jeziora. Odjechałem i po wielu kilometrach kiedy jedliśmy obiad, ów malarz bardzo zadowolony i w mokrych majtkach dogonił nas przygodnym motocyklem. Po wojnie odwiedził mnie w Zakopanem, był znanym autorem wielu pomników, niestety nazwisko zapomniałem.

Przy tak długiej trasie opis wszystkich atrakcji zająłby cały tom, ale ponieważ <sup>one</sup> ~~te trasy~~ są już powszechnie znane ograniczę się do kilku wspomnień o specyficznym charakterze.

W Niemczech widziałem Hitlera. Przechodziłem przez rynek w Bayreuth i zobaczyłem że SS-Mani tworzą szpaler wzdłuż którego gromadzą się ludzie. Zapytałem SS-Mana co tu będzie, odrzekł mi że będzie przejeżdżał Hitler który tu przebywa na festiwalu sztuk Wagnera i zapytał mnie kto jestem i czy chcę go zobaczyć. Gdy po-

twierdziłem wpuścił mnie przed siebie abym mógł dobrze widzieć. Po chwili nadjechał Hitler, jechał powoli otwartym samochodem, głośno witany "Heil Hitler" i podniesionymi rękami. Przejechał obok mnie w odległości nie większej jak trzy metry. Nie zauważyłem niczego szczególnego, był taki sam jak w kinie czy na fotografiach, tak samo uśmiechał się do dzieci i kobiet wręczających mu kwiaty. Któż mógł wówczas przypuszczać jak dalej potoczą się jego losy i jak drogo ludzkość za to zapłaci.

Wówczas wystawy światowe nie miały takiego charakteru jak dzisiaj. Były znacznie skromniejsze i państwa nie dbały o zadziwienia widza swoją potęgą i rolą na świecie, Tylko ZSRR i Niemcy ze względów propagandowych budowały największe pawilony wypełnione treścią typową propagandową. Mnie interesował przed wszystkim pawilon polski. Wystawiono go obok pawilonu niemieckiego, był to dość skromny pawilon w kształcie walca, ozdobiony na szczycie posągiem Polonia Restituta, dłuta Stanisława Kaniaka. Z rzeźbą spotkałem się po wojnie jako dyrektor Państwowych Kolei Linowych w Zakopanem. Zdobiała ona taras przed restauracją na Gubałówce. W czasie okupacji pracownicy kolei ukryli ją, a zaraz po uzyskaniu niepodległości ponownie zajęła swoje miejsce. Drugim elementem z pawilonu polskiego który znalazł się w restauracji na Gubałówce był fresk Kubickiego o temacie "Uzdrowiska polskie". Niestety w czasie transportu z Paryża przepadła dolna część fresku na której były przedstawione Tatry i Zakopane, zachowały się Pieńiny. Pokazana na nim <sup>jest</sup> była cała wschodnia i północna część Polski z Wilnem i Niemnem. Ponieważ malarsko jest dość nieczytelny jakoś fresk uniknął ingerencji powojennych władz kultury. ~~Trzecim elementem był maszt sztandarowy, autorstwa prof. Hempla. Maszt ten o przekroju trójkątnym był wykinany z wysokegetankowej stali i spoczywał na trzech punktach podstawy. Stał się prototypem~~

✓  
Jana

Trzecim elementem był trzydziestometrowy maszt stalowy. Projektował go prof. Hempel. Maszt był zbieżny ku górze, o trójkątnym przekroju, wykonany z wysokowartościowej stali. Na jego wierzchołek, tylko wysokości 70 m był wykonany także przez prof. Hempela maszt na Wystawie Ziemi Odzyskanych we Wrocławiu w 1948 r. Maszt ten ustawiono obok restauracji na Gubałówce. W czasie wojny podczas wiatru halnego maszt runął i złamał się na trzy części. Powodem zawalenia był wadliwie skonstruowany fundament. W 1946 r. projektowałem ustawienie go i przygotowałem odpowiednią dokumentację. Niestety w 1950 r. musiałem opuścić swoje stanowisko, ~~znajdź~~ następcę, zresztą z zawodu tak zwany "weichowy", ale dobry członek partii przeznaczył maszt na złom. Czwartym elementem z pawilonu polskiego była boazeria z czarnego dębu wydobytego z dna Wisły, na której gwoździe rysują znaki zodiaku. Ozdobiła wschodnią ścianę sali restauracyjnej.

Pomijam atrakcje Paryża które są dobrze znane z niezliczonych przewodników, prospektów czy opisów. Chciałbym wspomnieć tylko o jednym, o "Folie Berger". W czasie wystawy był to lokal o sławie pierwszego na świecie. Dzisiaj miejsce to zajęło "Lido" Jego przedstawienia miały sławę zdarzeń z pogranicza sztuki, kabaretu i pewnej pornografii. W tym czasie lokal był własnością Josephiny Backer. Była to kobieta o węzowej budowie i oryginalnej budowie, rodem z afrykańskiego buszu, o czym świadczyła lekka steatopigia. Jej taniec i jej gra była pełna ekspresji i z miejsca porywała publiczność. Programy cechowała piękna oprawa plastyczna i kostiumowa, były jednak ~~konstruktoryjne~~ tak inscenizowane że ona, jedyna niearyjka zachowywała dla siebie centralną rolę, a cały ensemble składał jej hołdy. Nie podobało się to francuskim studentom i kilka razy obrzucili ją pomidorami i jajkami. Program był dwujęzyczny francusko-angielski. Jak wieść

niesie to ona wymyśliła numer polegający na zgadywaniu co przedstawiają jej ruchy i gesty. Teatr ten fascynował mnie i jeszcze kilka razy po wojnie odwiedziłem go zawsze znajdując doskonały program. Jednego razu gdy siedziałem na tanim miejscu, na ~~Klasi~~ Klapsitzu zauważyłem że jacyś znudzeni Amerykanie opuścili miejsca w pierwszym rzędzie i przesiadłem się na ich miejsca. ~~Txxx~~ Tu nastąpiło rozczarowanie, zobaczyłem brudne pięty tancerek, zdeptane pantofle i znudzone miny. Na piękne kobiety trzeba patrzeć z pewnego oddalenia.



### Verdun i Monachium

We Francji zwiedzikiem Verdun i przede wszystkim ~~fort~~ fort Doumont, najsłynniejsze i najtragiczniejsze pobojuwisko drugiej wojny światowej. Ktoby pomyślał że za parę lat skala takich pomników wojny zwielokrotni.

Verdun leży wśród łagodnych wzgórz doliny Marny. Na wzgórzach tych kryło się 21 fortów broniących drogi do Paryża. Część z nich już zburzono, część służyła jako magazyny. Fort Doumont znikł już z powierzchni ziemi. W mieście wiele czerwonych fezów Marokańczyków i niebieskich mundurów Francuzów. Stanowią oni odwody dla linii Maginota, którą niedawno przejechałem podziwiając różę pnące się na bunkrach i opalających się obrońców. W mieście prawdziwa droga krzyżowa cmentarzy i pomników poległych w pierwszej wojnie, naliczyłem ich dwanaście. Miasto zresztą eksploatuje nachalnie swą tragiczną przeszłość, sprzedając różne nalepki, dając odpowiednie nazwy bistro, ulicom, ozdabiając afiszami i trzema gwiazdkami w Baedekerze.

Właściwy pomnik znajduje się o 8 km na półmocy na miejscu gdzie był fort Doumont. Do lutego 1916 r. fort był w rękach francuskich i był nie do zdobycia. Sklepienia grubości dwu metrów, stalowe wieże działowni, szerokie fosy o pionowych ścianach pod ostrzałem karabinów maszynowych broniły się skutecznie przez dwa lata. Wreszcie dnia 21 lutego 1916 r. Niemcy zdobyli fort bez jednego wystrzału w warunkach doprawdy groteskowych. Załoga francuska została złowiona i odmaszerowała pospiesznie do Belleville, a dwie dywizje które objęły ten odcinek frontu, jedna na wschód, a druga na zachód od fortu, będąc wzajemnie przekonane że sąsiad jest w forcie. Zostało tam 20 kanonierów którzy bez przerwy podtrzymywali ogień, wreszcie pospali się. Niemcy bardzo zdziwieni weszli spokojnie do fortu. Gdyby sztab

✓  
Robert

niemiecki zorientował się w porę mógłby przez tą dziurę pchnąć swe dywizje na Paryż. Do rąk niemieckich dostały się niezmiernie zapasy amunicji i prowiant. Szczęście im jednak nie dopisywało, wybuch amunicji spowodował śmierć 3000 żołnierzy a wśród reszty wywołał panikę. W maju gen. <sup>✓</sup>Nivelle, znany z wynalazku "zapory ogniowej", zdobywa zpowrotem fort. Później znowu zdobyli go Niemcy, ale nie byli go w stanie utrzymać. Stały i huragawy ogień z francuskich dział wywoływał u obrońców częste przydatki oblężenia i wreszcie 24 listopada fort dostał się w ręce Francuzów.

✓  
André

Jadę autobusem w górę do miejsca gdzie przedtem stał fort. Wokół ni<sup>e</sup>uprawne <sup>pole</sup> pełne wyrw po pociskach, śladów rowów strzeleckich, wszystko pokryte gęstwiną krzyków i drzewek nie wyższych jak dwa, trzy metry. Wzdłuż drogi tabliczki "Wstęp na pola grozi śmiercią". Mijam pomnik największego żołnierza Francji nie tylko wzrostem, bo liczył dwa metry, ale i późniejszego generała, twórcy niertunnej ~~linii~~ linii jego imienia, ~~gen~~ <sup>✓</sup>Maginota. Mijam rzucone na płycie brązowe zwłoki lwa brytyjskiego. W dali wznosi największy pomnik poległych Żydów. Zajeżdżam przed mauzoleum, które jak napis głosi zbudowali amerykańscy żołnierze kolegom francuskim. W wieży o obłych kształtach i krwawych witrażach stoi kamienna postać z palcem na ustach, a sarkofagi wydają się ociekać krwią, z zewnątrz stoją w ordynku tysiące krzyży do ostatniego apelu. Wogóle w bojach o Verdun zginęło około miliona ludzi. Gdyby ich zwłoki położyć koło siebie utworzyłyby wał od Tatr do morza. Na innych odcinkach frontu zginęło jeszcze trzy miliony ludzi.

~~Na~~ Paręset metrów poza mauzoleum znajduje się wstrząsający pomnik "Tranchée des Baionnettes". Oddział piechoty francuskiej na rozkaz "do ataku" ujął karabiny w ręce i był gotów do wybie-

gnięcia gdy przed nimi ~~wybuch~~ eksplodował jakiś pocisk dużego kalibru i przesunął wał ziemi który ich zgniótkł i przysypał, a nad szarą gliną wykwitła grządka bagnatów. Pamięć pokryła ją ciężkim sklepieniem i otoczyła siatką gdyż ciekawscy próbowali sprawdzać czy bagnety nie są tylko włożone do ziemi. Tu właśnie na froncie pod Verdun i wogóle na frontach ~~drugiej wojny światowej~~ pierwszej wojny światowej trzeba szukać przyczyn niezdolności do podjęcia walk w czasie drugiej wojny światowej. Tu narodziło się przeświadczenie o bezmyślnym okrucieństwie wojny która niczego nie rozwiązuje. Tu rodziła się idea Ligi Narodów, praw człowieka i powszechnego rozbrojenia. Na przeszkodzie stanął faszyzm, faszyzm który narodził się w Monachium. Odwiedziłem i to miasto.

Ówczesne Monachium było siedzibą Hitlera i jego zwolenników. Tu narodził się nazizm, Jako datę ~~roku~~ powstania ruchu narodowo-socjalistycznego uważają Niemcy dzień <sup>listopada</sup> 9 ~~lutego~~ 1923 r. kiedy od salwy policji w czasie manifestacji ~~hitlerowców~~ zginęło na Odeonplatz, koło ~~Feldernhalle~~ <sup>osiemnastu</sup> ~~Feldernhalle~~ <sup>sześciu</sup> ~~sześciu~~ <sup>manifestacji</sup> ~~manifestacji~~ hitlerowców. Zostali pochowani na centralnym placu Koenigsplatz na którym wybudowano z białego marmuru dwa zadaszenia na kolumnach, pomiędzy którymi we wgłębieniu leżą brązowe sarkofagi. Na nich są wryte słowa "Der letzte Appell!" oraz imiona i nazwiska ofiar. Ich nazwiska są także ogłoszone w "Mein Kampf" Hitlera. Ciekawe jest zestawienie zawodów ~~7~~ rzemieślników - 5, urzędników - 4, kupców - 4, inżynierów - 2 i student - 1. Dwu ma przedrostek von. Skala wieku od 19 do 50 lat. Doskonale pamiętam że na jednej płycie było nazwisko Sikorski <sup>√</sup> ale w "Mein Kampf" ~~wydziany~~ <sup>√</sup> egzemplarzu z 1941 r. takiego nazwiska niema. Czy moja pamięć zawodna, czy korekta nazwiska? Inne nazwiska

Γ  
i von Papen

jakie zanotowałem zgadzają się. ~~xx~~ Co u licha, ja zapisałem 18 nazwisk a Hitler podaje 16. Co u licha ! Ja nazwiska zapisałem i ta kartka została mi po dzisiejszy dzień. Szukam w literaturze i w książce "Deutsche Zeitwende" z 1934 r. pióra Maxa Krebsa znajduję potwierdzenie swej notatki. Istotnie było ich 18. Zatem Hitler przemilczał udział tych dwu: Sikorskiego i von Papena. Sądzę że u pierwszego nie pasowało mu polskie brzmienie nazwiska a u drugiego fakt że to samo nazwisko nosi ~~wicekanceler~~ wicekanceler <sup>von</sup> Papen, którego Hitler nie darzył sympatią dla jego przynależności do arystokracji i dla ultra katolickich przekonań. Papen zresztą w 1938 r. wyjechał do Turcji. "Mein Kampf" podaje rocznik wydania 1941 r. Było dość czasu by skorygować historię. Hitler skłamał przemilczając dwie osoby z ofiar zajęcia na Odeonplatz.

√  
Franz

Na Odeonplatz znajduje się dekoracyjne zadaszenie tak zwane ~~na~~ na Felderrhalle pod którym wisi rząd okrągłych ~~na~~ wieńców owiniętych wstęgami o barwach Francji, Danii i Polski a pod nimi nazwy ziem straconych po pierwszej wojnie światowej a to: Alsass, Lothringen, Pfalz, Rhein Ruhr, Saar, Eupen, Malmedy, Posen, Schlesien. Nad nimi napis "Herr macht uns Frei", dziwnie podobny do późniejszych napisach przy wejściach do obozów "Arbeit macht Frei".

W marcu 1937 r. w pobliżu sarkofagów, Hitler dokonał otwarcia muzeum "Entartete Kunst". Naprzeciw wejścia widniał obraz Picassa. Z wnętrza zapamiętałem obrazy Chagalla, Kokoszkii, Kandiskiego, w sumie znajdowało się tam 6246 dzieł z "oczyszczonych" dziewięciu niemieckich galerii.

Byłem po wojnie w Monachium - wszystkie pamiątki z epoki Hitlera zniknęły, ale czy zniknęły z uwsków ?

## Moje góry

Góry zawsze mnie fascynowały od czasu kiedy jako dziecko patrzyłem na odległe Alpy z góry Maria Taferl wznoszącej się nad Marbachem. Bezpośrednio zetknąłem się z górami i to dość wysokimi w 1921 r. na harcerskim obozie wędrownym z Osmołody przez Gorgany aż na Howerlę. Dla mnie ta wycieczka skończyła się wcześniej bo w Jaremczu. Mimo że warunki wycieczki były bardzo trudne, bo i obciążenie, spanie pod gołym niebem, jedzenie z ogniska, bezdroża i deszcze nic nie podważyło mego zauroczenia. Dalsze życie i całe życie zawodowe związane było z górami. Po opuszczeniu Lwowa, oczywiście nie z własnej woli, znalazłem się w Zakopanem jako dytektor kolei linowych. Dalsze życie zawodowe to budowa kolei linowych czy wyciągów na Szyndzielnię, Skrzyżne, Małą Kopę, Szrenicę, Czantorię, setki prac, publikacji, praca zagranicą też było związanych z górami.

Góry były też czasami dla mnie niełaskawe, wprowadzie parę razy udało mi się wyjść cało i z życiem z jakichś krytycznych sytuacji, ale po dwu ciężkich wypadkach górskich zostałem inwalidą sportowym chociaż z wojen jakoś się <sup>cało</sup> wymigałem.

Dla mnie świat musi mieć trzy wymiary, równina, morza to światy płaskie, dwu wymiarowe. Dopiero góry dają ten trzeci wymiar i świat nabiera plastyki.

Pierwsze moje góry to Karpaty Wschodnie, zwłaszcza Gorgany, Czarnohora i dalej Karpaty Marmarowskie. Oczywiście zszedłem i zjechałem na nartach i pobliskie góry w Skolem, Ławocznem, Bliźnicę i Świdowięci wiele innych. Przed maturą odkryłem Tatry polskie i słowackie, a potem wiele gór Europy i Azji, ale sentyment do Karpat Wschodnich pozostał. Urok ich polegał na prawie całkowitej pustce ludzkiej i cywilizacyjnej, na odległościach które trzeba było pokonywać własnymi nogami, godzinami ba dniami marszu, na swobodzie życia, kiedy do mnie zależał wybór miejsca do spania, jedzenia, ścieżki czy zjazdu. Tam można się

było czuć wolnym od wszelkich ograniczeń płynących z cywilizowanego świata. Spojrzenia ze szczytów ~~na~~ nie napotykały na żaden ślad ludzkiego pobytu, tylko na morze wierzchołków, rozciągających dokoła horyzontu, nie tak jak w Tatrach gdzie nie można oderwać oczu od widoków miast, wsi, fabryk czy linii kolejowych.

Pora roku była dla mnie obojętna - zima, to znaczyło konieczność brania nart. Na nartach jeździłem od 1920 roku, kiedy to po raz pierwszy dostałem od znajomego narty żołnierza z frontu włoskiego. Były to narty jesionowe, bez rowka, z odwrotnym wygięciem i stalową więźbą typu Zdarskiego. Była to płytka stalowa przytwierdzana rzemieniami do buta i przyciągana do deski ~~na~~ sprężyną stalową ukrytą w wyżłobieniu narty. Później kupiłem sobie bardziej nowoczesną Bilgeriego, ze sprężyną umieszczoną w poprzek narty. Technika jazdy na nartach była całkowicie inna niż obecnie. Nie można było jeździć śmigami, bo narty nie miały kantów i jeździło się prawie wyłącznie po głębokim śniegu. Jeździło się szusem, czyli na wprost, albo bardzo szerokimi zakosami ze zwrotem albo <sup>K</sup>Christianią, których było trzy rodzaje: oporowa, równoległa i nożycowa, albo Jacobsenem z dostawianiem narty. W bardzo głębokim śniegu wykonywała się długie łuki na szeroko rozstawionych nogach. Zjazd kończył się Telemarkiem, był szeroki łuk powstający z ukośnego poprowadzenia jednaj narty i oparcie jej dzioba na bucie drugiej. Zawsze i wszędzie musiała istnieć swoboda podchodzenia do góry, stąd wiązanie musiała umożliwiać podnoszenie pięty. W dolnych partiach gór zwykle brak było polan dla swobodnego zjazdu <sup>trzeba</sup> było zjeżdżać stromymi holwegami, to jest wązkimi szlakami którymi ściągano pnie drzew używający jako hamulca uwiązane świerka za saniami. Zjazd takim holwegiem był możliwy tylko ze stosowaniem jako ha-

mulca skrzyżowanych kijków między nogami.

Narciarstwo we Lwowie pojawiło się wcześniej. Wprawdzie Barabas w Zakopanem użył <sup>n</sup> ~~w~~arty już w 1888 r. ale znane wyjście szczytowe w Tatrach notuje się w 1905 r. Howerla została zdobyta po raz pierwszy w 1897 r. przez ~~pr~~ przez leśnika z Tatarowa. We Lwowie można <sup>było</sup> (dobrze pojeździć na nartach, długie zimy, dobre ośnieżenie i korzystne<sup>2</sup> warunki terenowe, temu<sup>2</sup> sprzyjały<sup>1</sup>. Na przygłych do miasta terenach Połhulanki, Czartowskiej Skały, Miodowej Groty, Kaiserwaldu, Francówki a także <sup>na</sup> <sup>ach</sup> terenach<sup>3</sup> parków Stryjskiego i Żelaznej Wody, różnice wysokości sięgały stu metrów i stwarzały możliwości różnych zjazdów. Były też i skocznie - pierwsza w Parku Stryjskim zbudowana w 1920 r. umożliwiała skoki do 15 m. Potem zbudowano skocznnię terenową na Żelaznej Wodzie i ze sztucznym rozbiegiem na Kaiserwaldzie gdzie skakano 50 m, wreszcie w Brzuchowicach o długości skoków 55 m. Była też skocznia w ~~Ska~~ Sławsku. Próbowałem na niej skakać ale zniosło mnie poza zeskok i skończyło się złamaniem nosa i palca, co zakończyło moją "karterę" skoczka.

Sławsko jako El Dorado narciarskie odkrył dla Lwowa prof. Zygmunt Klemensiewicz (w 1907 r.). W 1910 r. było w Sławsku pierwsze schronisko o 44 łózkach. Po pożarze w 1917 r. Karpackie Towarzystwo Narciarzy założone jeszcze w latach 1904-6 dobudowało je w 1921 r. KTN liczył wówczas 317 członków. Sławsko służyło Lwowianom jako teren niedzielnych wypadów.

Poważniejsze były wędrówki w Gorgany i w Czarnohorę. Tereny te nie były wolne od niebezpieczeństw, zwłaszcza zimą. Można było spotkać ~~ix~~ i wilki i niedźwiedzie. Tych ostatnich naliczono ponad 250. Tylko raz spotkałem się z niedźwiedziem. W 1929 r. byłem po raz w Czarnohorze z kolegą <sup>√</sup> Rodzyńkiewiczem /zginął jako pilot w obronie Anglii/. Na terenie tak zwanego Ogrodu Botani-

Ryśkiem

cznego stała koliba, tu trzeba zaznaczyć że na wsch<sup>o</sup>dzie kolibą nazywano okrągły szałas z ~~desk~~ desek wspartych na środku na ramie z okrągłaków. W środku pali się ognisko, a użytkownicy leżą w koło z nogami zwróconymi do ognia. Z jednej strony były drzwi, Wokół koliby spostrzeżliśmy niedźwiedzie ślady. Ry<sup>siek</sup>~~sk~~ chciał wejść do środka ale mu odradziłem. ~~Odeszliśmy~~ Odeszliśmy jakieś sto metrów i opalaliśmy się. Widzimy jak z kol<sup>o</sup>iby wychodzi niedźwiedź, wacha nasze ślady, poczem wznosi się na tylne łapy i zabawnie wahając przednimi łapami, szybko odchodzi do lasu.

Inne ciekawe zdarzenie miałem z dużą mniejszą zwierzyną. W okresie ~~Wielkiej~~ Nocy wracając z Poba Iwana wjechałem na podnóże kotła pod Spyciami i zobaczyłem że cały śnieg był pokryty tysiącami ropuch które podążały z lasu w górę do kotła, wiele z nich kopulowało. Było ich tak dużo że musiałem przez wiele z nich przejeżdżać nartami. Podobne zdarzenie miałem wiele lat później w 1960 r. kiedy wracałem z samotni Vincenza z La Combe de Lancey do Grenoble. Wtedy również tysiące żab przechodziło w poprzek drogi i samochód niebezpiecznie się ślizgał na ich działach. ~~xi~~ Co łączy te dwa pochody żab trudno dociec. Aby już skończyć z żabami to pamiętam spacer z Puchalskim do doliny Chochołowskiej kiedy nakręcał film o żabach. Był on tak rozwirowany w swoich aktorach że w kieszeni nosił główną aktorkę która cierpliwie znosiła wszystkie wymagania reżysera. Jego entuzjazm do żab szedł tak daleko że ich ikrę uważał za przysmak.

Na terenach zalesionych wilki były w zimie realnym niebezpieczeństwem. Rozszarpywanie chłopów i ich pożarcie w czasie prac leśnych nie było rzadkością, ale nie zdarzyło się pożarcie narciarza. Widać narty i kijki ich genetyczna pamięć nie umiała zdefiniować. Z wilkami spotkałem się kilka razy o czym piszę gdzie indziej.

Włódkiem



Karpaty Wschodnie zawsze miały większe opady niż Tatry, a ośnieżenie trwało znacznie dłużej. Był to wpływ klimatu kontynentalnego, sięgający aż po Lwów. Górne partie gór stanowiły ogromne kotły polodowcowe, o gładkich zboczach, wystromiających się ku obłym kopułom grani. Całe zbocza pokryte były trawą. Wnętrza kotłów zawsze groziły lawinami. Nierzadki ginęli i narciarze. Mnie także zdarzyła się poważna przygoda z lawiną.

Na Wielkanoc w 1931 r. wyjechałem do Worochty i tu wysiadając z pociągu spotkałem swego przyjaciela dr. Stefana Jarosza, słynnego podróżnika po Alasce. Do schroniska na Zaroślaku dotarliśmy w południe, a że pogoda była śliczna poszliśmy od razu na Howerlę. Podchodzi się na nią trawersując zbocze ogromnego kotła pod Breskulem, <sup>wchodzi</sup> aby wejść do górnego kotła już pod szczytem skąd można wejść bezpiecznym ramieniem na grani szczytową. Żleb Breskula był przecięty głębokim śladem kilkunastu narciarzy którzy wyszli ze schroniska jeszcze rano, kiedy śnieg był zmrożony i poszli na szczyt. Poszliśmy tym śladem w odstępach co 20 m. Przed nami był jakiś przygodny narciarz, a pochód zamykała moja ówczesna narzeczona /zginęła w czasie wojny/. Kiedy byłem o jakie 200 m powyżej dna kotła raptem usłyszałem głęboki huk-westchnienie i wokół ~~razniekły~~ błyskawicznie rozbiegły się rysy pęknięć śnieżnej deski. Zdołałem obrócić narty w kierunku stoku, ale już razem ze śniegiem zsuwałem się w dół. Kątem oka widzę że Jarosz jest w tej samej sytuacji, na wprost widzę jak na dole z czoła lawiny wysuwa się biały język i dopędza próbującą uciekać moją znajomą, asyntenkę prof. Klemensiewicza, Zofię Balówną /po wojnia profesora we Wrocławiu/. Śnieg ją dopada i narciarka znika pod nim. Mówi się że w takich ekstremalnych chwilach całe życie staje przed oczym. Nic mi nie stawało. Wpierw próbowałem wyrwać narty z pod śniegu ale i one i jedna ręka z kijem były niejako wsysane w głąb. Zdawałem so-

bie doskonale sprawę z sytuacji w jakiej się znajduję. Wiedziałem że za plecami jest kilkusetmetrowy żleb Breskula, czyli tysiące ton śniegu. Wiedziałem że śmierć zwykle następuje przez uduszenie, a ja nawet czapki nie miałem by ją zsunąć na twarz. Wiedziałem że jak się czoło lawiny zatrzyma to kolejne warstwy nasuwają się z różną prędkością i człowiek pomiędzy dwiema warstwami będzie miał zgruchotane kości, no i te tysiące ton śniegu. To wszystko było dobrze znane z opisów alpejskich ~~lawin~~ lawin. Czy się bałem? Nie pamiętam. Już tylko wystawał<sup>a</sup> mi ze śniegu głowa i jedna ręka, gdy o dziwo lawina zwalnia i gdy moja warstwa wtacza się na szczyt czoła lawiny, staje. Wygrzebuje się ze śniegu, nart nie straciłem, gdyż miałem wiązanie fińskie, zwane Langriemen którego żadna siła nie mogła rozerwać. Przede wszystkim patrzę w tył co się dzieje ze żlebem Breskula. Otóż deska z którą zjechałem urwał<sup>a</sup> się jakie dwadzieścia metrów powyżej mnie i temu zawdzięczam życie. Widzę że Jarosz też się wygrzebał i że moja narzeczona stoi wysoko, tuż przed pionową krawędzią deski, musiała mieć wspaniały widok jak <sup>się</sup> całe przedstawienie rozegrało się jej przed oczyma. Jadę do miejsca gdzie zniknęła Balówna i dość szybko ją odnajduję, całą choć skręconą w niewiarygodny węzeł. Jarosz woła do mnie że ten czwarty gdzieś zniknął i że bym jechał po pomoc do schroniska. Okazało się potem że tuż przed lawiną wlaźł do górnego kotła i tak się wystarszył że się nie pokazał. Jadę po niepotrzebną pomoc. W schronisko wesoło, ludzie się opalają. Mówię o lawinie, jakieś ironiczne uśmiechy, nikt się nie rusza. Zresztą niema sond, łopat ani noszy. Wracam z powrotem.

Krakowski IKC w numerzy z 15<sup>kwietnia</sup> zamieszcza notatkę "Wyrwali się z objęć białej śmierci". Myśmy się wyrwali, ale przed nami, a potem i po<sup>nas</sup> w tym samym miejscu zginęło kilku

narciarzy, wśród nich towarzyszył lat dziecinnych Leszek Chlipalski.

Oglądałem sobie lawinę. Jej wysokość wynosiła 200 do 300 m, szerokość sięgała 1500 m, gdyż "moja" lawina spowodowała obsunięcie się śniegu również z dalszych stoków kotła. Czoło lawiny spiętrzyło się powyżej 20 m. Lawina powstała dlatego, że na gładką powierzchnię szreni spadło około metra świeżego, mokrego śniegu, który nie związał się z podłożem. Pierwsi narciarze przeszli po zamarzniętym jeszcze śniegu. W południe nagrzało słońce, śnieg rozmiękł i taki to śnieg został przez nas obciążony. Od tego czasu muszę przyznać, że pozostała mi trochę przesadna bojaźń przed lawinami.

Za młodu pożerałem literaturę górską, czytywałem Wierchy, Tatarnika, chodziłem na filmy Trenkera, Leni Riefensthal, ale literatura ta szybko zaczęła mnie nudzić. Kontakt z górami znajduje odbicie przede wszystkim w sferze emocjonalnej człowieka, a gama tych przeżyć jest niewielka, choć ich głębia może być duża i poruszać najszlachetniejsze struny duszy. Literatura górską często zawęża się do opisu przeżyć i zdarzeń alpinistów operujących powyżej pewnej granicy nad poziomem morza i umiejętności wspinaczkowych. Powoduje to ubożenie tematyczne aż do granic przewodnika czy podręcznika, jak np. u Gastona Rébuffata. Jedynie Luis Trenker potrafił swe książki wzbogacić swoją ogromną wiedzą o górach. Ze współczesnych Jerzy Hajdukiewicz, mój tragiczny przyjaciel, potrafił tematykę górską pogłębić analizą psychologiczną i szeroką refleksją. Ostatnio literatura górską wzbogaca się o kolorowe zdjęcia i filmy i dopiero one oddają piękno i bogactwo kolorów, kształtów świata gór, skał, śniegów i lodowców.

Dla mnie góry to nie tylko wycieczki, wspinaczka czy zjazd

narciarski, ale rozległa skala przeżyć wiążących z różnymi aspektami życia. Z niemi związałem swą pracę zawodową budując koleje linowe, <sup>dla</sup> ~~cał~~ nich zamieszkałem w Zakopanem rezygnując z różnych korzystnych propozycji związanych z przeniesieniem się do centrali. Działalem w Goprze, Klubie Wysokogórskim, byłem nawet członkiem Zarządu Głównego PTT dopóki pan minister Wolski de domo Piwo-warczyk, jednym słowem, nie licząc się ze statutem zawiadomił nas że od dziś niema już ani PTT, ani PTK, a jest tylko Polskie Towarzystwo Tatrzańskie i Krajoznawcze. Tak zniknęło <sup>PTT</sup> ~~Towarzystwo~~ ~~Polskie Towarzystwo Tatrzańskie~~ z swoją przebogata działalnością i zasługami. W jego miejsce powstało właściwie przedsiębiorstwo turystyczne, ~~ixdxixgga~~.

Uprawiałem wspinaczkę letnią i zimową, mam nawet pierwsze wejście. Ze Stefanem Zwolińskim miałem<sup>m)</sup> przez jakiś czas rekord długości przejścia w jaskini. Zwiedzałem góry samochodem, autobusem, pociągiem, kolejami linowymi, latałem Peiperem nad lodowcami alpejskimi i pod ścianami kolosów, nie obce były mi loty helikopterowe. Jedną lot był mało przyjemny kiedy helikopter zabrał mnie pokonanego z pod szczytu Świnicy. Staralem się zwiedzić jaknajwięcej gór Europy i co się dało Azji.

Wracam jednak do kolebki moich górskich przeżyć - do Karpat Wschodnich, Gorgan, Czarnohory i Karpat Marmarowskich, które tworzą granicę pomiędzy Rumunią i Czechosłowacją. Zaczynają się szczytem Stogu na którym zbiegają się trzy granice - Polski, Rumunii i Czechosłowacji. Szczyty Marmarowskich sięgają dwu tysięcy metrów<sup>f</sup>, ale doliny, jak np. dolina Tisy mają tylko 400 m nad poziomem morza. Pasmo to było rzadko odwiedzane i to tylko przez turystów polskich. Zaleta Marmarowskich kryła się w pikietulach czyli małych chatkach rumuńskiej straży granicznej, ustawianych na samej grani i czynnych tylko w lecie. W zimie można

było spokojnie w nich biwakować. Wprawdzie blat od kuchni był gdzieś ukryty i nie było żadnych sprzętów prócz stojaków na karabiny ale można było zanoćować i znaleźć coś na opał. Za to w dzień miało się cudne, dziewicze ternity narciarskie. Taki Pop Iwan Marmarowski /1940 m/, skalisty Farcaul /1961 m/, Michajle- kul /1920 m/, Neniska /1820 m i Mezpotoki /1716 m/ tworzyły prawdziwy raj narciarski. Oczywiście do tych gór trzeba było jakoś się dostać, ~~z~~ <sup>na nartach</sup> Worochty do schroniska KTN na Mariszewskiej, stąd granią Czarnohory do Popa Iwana, zejść z niej na długą, za- lesioną grani i nią do Stogu i już po czterech dniach marszu było się na miejscu. Powrót był łatwiejszy, można było zjechać przez Mezipotoki do czeskiego Rahova i stąd koleją do Worochty. Z dru- giej strony doliny Tisy czyli po polsku Cisy wznosiła się samotna grupa Bliźnicy /1863 m/ z której biegł najdłuższy zjazd w Kar- patach Wschodnich, ze stałą prędkością, bez jednego skrętu z twa- rzą zwróconą ku słońcu.

Często odwiedzałem zimą grupę Durnego i Bratkowskiej /1792 m/. Pasma to interesowało nas gdyż wysiadając w Nadwórnej, poter- wązkotorówką do Rafajłowej a stąd przez te <sup>cy</sup> szczyty dochodziło się w Czarnohorę, dawało to oszczędność na bilecie i dodatkowe prze- życia górskie.

W górach można było też odkryć ~~nie~~ uroki kilometrowych prze- jazdów niekończącymi się dolinami na otwartych lorach kolejek wązkotorowych. Takich jak np. z Broszniowa do Osmołody <sup>miata</sup> 36 km, z Nadwórnej do Rafajłowej 34 km czy z Worochty do Foryszczenki w pobliże schroniska na Zaroślaku 14 km. Można tu do- pędzić że Osmo- łoda położona w gęstych lasach i głębokiej dolinie była nazywa- na "Państwem Szeptyckiego" arcybiskupa grecko-katolickiego we Lwowie, głowy nacjonalistów ukraińskich. Tu szkolili się przy- szli bojownicy ukraińscy. Wiedziano u nas o tym, ale państwo nie ~~inżynierów~~

nic do gudsnia

interweniowało. Swoista była także atmosfera schronisk górskich budowanych stosunkowo wysoko, na granicy lasów ~~jak np.~~ jak np. Zaroślak <sup>a)</sup> PTT pod Howerlą czy Mariszewska KTN w których wszyscy bywalcy znali się dobrze, <sup>ich</sup> często uczestniczyli w budowie. W takich inicjatywach nie mieli <sup>jak</sup> to jest dzisiaj, arogancy i nie-douczeni projektanci z biur projektowych, bo ich nie było. Takie czterokondygnacyjne schronisko na Mariszewskiej zbudowane było kosztem 35 000 zł, posiadało 54 miejsc noclegowych i doskonałą kuchnię gdzie potrawy kosztowały grosze, a jak ktoś ~~nie~~ chciał to mógł swoją menażkę dostawić na kuchni. Takie schroniska prowadzili nie urzędnicy czy kombinatorzy ale wytrawni turyści. Na przykład takie schronisko w kotle pod Popem Iwanem /2026 m/które znajdowało się powyżej granicy lasów na wysokości 1800 m, miało 125 miejsc. Prowadził go stary alpinista i narciarz inż. Ludwik Zięblic /po wojnie pracował długie lata jako kierownik restauracji na Kasprowym Wierchu/. Musiał on dbać o wszystko i o dostarczenie drewna z lasu znajdującego się dwieście metrów poniżej i żywności, nierzadko aż z Worochty, które trzeba było nieść na plecach granią Czarnohory. Gdy raz po wojnie wspomniałem mu że w "Żołnierzu Wolności" była notatka o pierwszym zdobyciu przez alpinistów radzieckich grani Czarnohory, mruknął "a ja tamtędy nosiłem po półtorej kopie jaj w plecaku".

Uroczę były domki myśliwskie, były to jednoizbowe chatki z kuchenką, do których albo dostawało się za darmo klucz, albo wogóle były otwarte i kluczek wisiał pod okapem. Urządzenie było skromne, prycza ze sianem, kuchenka, lampa naftowa i ...żywność pozostawiona przez poprzedników jak i porębane drewno. Jakież to porównanie z Tatrami z tłumami turystów na ścieżkach, przepelnionymi schroniskami gdzie śpi się i na podłodze, gdzie proste potrawy kosztują jak w drogiej restauracji, gdzie idiotyczn

gospodarka TPN wypędze turystów na kilka ~~ty~~ ścieżek by tam tłoczyli się i gdzie czają się "łapacze" by ściągać mandaty za oddalenie się kilka metrów na boki.

O górach mógłbym bez końca ale widzę że i tak nic oryginalnego nie powiem. Ponieważ jednak góry związały się z całym moim życiem i w tych wspomnieniach góry będą przejawiać ~~w~~ prawie w każdym rozdziale.

### Kilimandżaro

Marzeniem moim były wysokie góry, mało odwiedzane, zresztą góry zawsze kojarzyły mi się z pustką, swobodą i wolnością. Później życie <sup>o</sup> pokazało mi że i w Alpach i na Kasprowym mogę się zkojarzyć z ~~nie~~ natłokiem, brudem i chamstwem. Himalaje wówczas były prawie nieosiągalne. Wybierał<sup>a</sup> się tam pierwsza wyprawa Klubu Wysokogórskiego w składzie której był mój towarzysz niektórych wybieczek karpackich, Jakób ~~Bujak~~ Bujak. O Bujaku mogę dodać że po wybuchu wojny udał się z Himalaj<sup>i</sup> do Wielkiej Brytanii gdzie do końca wojny pracował w przemyśle lotniczym. Był on dobrym konstruktorem i jeszcze na Politechnice lwowskiej, razem z inż. Wiśnińskim opatentowali dwutłokowy, bezuderzeniowy silnik spalinowy pod nazwą WIBU. W Anglii również był właścicielem kilku patentów. Zaraz po zakończeniu wojny Bujak chciał wrócić do kraju, do żony i córek które mieszkały w Zakopanem. Anglicy nie kwapili się wypuszczać za żelazną kurtynę człowieka który dobrze znał przemysł lotniczy. Aż nagle w prasie angielskiej ukazał się <sup>o</sup> lakoniczny komunikat że Bujak wraz z towarzyszką uległ wypadkowi w czasie wspinaczki na nadmorskich skałkach w Szkocji. Ciało nie znaleziono. Przypomniało mi to sprawę Singapuru, kiedy to Anglicy stworzyli z niego niezdobytą twierdzę od morza, ale zapomnieli ufortyfikować od strony lądu, co pozwoliło Japończykom zająć go bez trudu i wziąć do niewoli cały sztab angielski Wojsk Dalekiego Wschodu. Potem przehandlowano generałów angielskich za japońskich i Anglicy udali się samolotem do Londynu. Na jednym z lotnisk w obsłudze naziemnej pełnił służbę Tadeusz Radkiewicz z Zakopanego. Pracował on ze mną po wojnie przy budowie kolei linowej na Szyndzielnię. Otrzymałem na lotnisku rozkaz że nad kanałem leci niemiecki samolot ze znakami brytyjskim i że należy go strącić. Poleciały trzy myśliwce i



straciły. Obyło się więc bez kłopotliwego procesu i chyba o to chodziło. Wypadek ten dziwnie kojarzy się z samolotowym wypadkiem gen. Sikorskiego w Gibraltarze.

Wracam do Kilimandżaro. Góra ta a raczej krater dawnego wulkanu ~~wznosi~~ wznosi się do wysokości 6010 m i jest najwyższą górą Afryki. Położona jest prawie na równiku, krater jest pokryty lodowcem, szczyt <sup>u</sup> jest poniżej otoczony tropikalną roślinnością i do owego czasu tylko raz była odwiedzona przez Polaka prof. Antoniego Jakubowskiego, który zresztą nie był na szczycie a tylko na przełęczy krawędzi krateru, która liczy 7 km długości. Wyjście opublikował Jakubowski w broszurze i w artykule w Tatarniku w 1910 r. Przystudiowałem dzieło Hansa Meyera pt. "Kilimandżaro" z 1900 r. i sporządzone przez niego mapy, pamiętałem o wszystkich szczegółach jakie to obszerne dzieło zawierało. Marzyłem też o jakimś wypadzie na sąsiedni szczyt Mowenzi /5355 m/.

Z przypadkowych rozmów z kilkakrotnym towarzyszem wycieczek narciarskich, prof. Andrzejem Klisieckim, kierownikiem Zakładu Fizjologii Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie narodziła się myśl organizacji wyprawy naukowo-alpinistycznej na Kilimandżaro. Jako wiceprezes PAM Ligi mogłem posłużyć się zafirmowaniem wyprawy jako wyprawy akademickiej i zyskać aprobatę MSZ. Profesor zaś zorganizowałby stronę naukową. Klisiecki chciał badać przystosowanie organizmu do ekstremalnych warunków, a takie można było znaleźć w kraterze Kibo, a więc wysokości ponad 5000 m, dziennych wahań temperatury od -10 do +70 °C. Badania miały obejmować adaptację organizmu do niskich ciśnień tlenowych, badania składu powietrza pęcherzykowego płuc, wielkości klatki piersiowej, wagi ciała, gospodarki wodnej organizmu i adaptacji skóry. Uczestnicy wyprawy mieli

służyć jako ekwiwalent świnek morskich. Wyprawa była planowana na dwa i pół miesiąca, od 1 lipca do 15 września 1937 r. Kosztorys wyprawy opiewał na 10 000 zł, w sumie tej ekwipunek 1300 zł i koszt pobytu w Afryce 3000 zł. Dziś te ~~sumy~~ liczby poprostu śmieszają.

Po różnych przysmarkach ustalono skład wyprawy, poza profesorem jako kierownikiem ja byłem kierownikiem organizacyjnym, doc. Zdzisław Bieliński asystent profesora /został w lutym 1945 r. zastrzelony z wyroku AK jako agent NKWD/, Stefan Schabenbeck jako operator i fotograf PAT /zginął w Oświęcimiu/. Czwartym członkiem miał być początkowo inż. Ziemblic /późniejszy wieloletni dzierżawca restauracji na Kasprowym, alpinista i narciarz/ który zrezygnował i czwarty kandydat nie był ustalony.

Zarząd Ligi zgodził się na firmowanie wyprawy, MSZ akceptowało, poparło Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Fundusz Kultury Narodowej, Bank Polski, Polskie Towarzystwo Wypraw Badawczych której prezesem był znany literat i podróżnik <sup>✓</sup> Lepecki. Tylko Polska Akademia Umiejętności nie uznała jej za naukową. Pomoc finansową udzieliły ministerstwa Spraw Zagranicznych, Komunikacji, Liga Morska i Kolonialna, Bank Gospodarstwa Krajowego, PKO, Instytut Współpracy z Zagranicą. Poważna pomoc przyszła ze strony firm, Kera dała namioty, śpiwory i materace, Wedel obiecała różne swoje wyroby w lutowanych pojemnikach, Towarzystwo Okrętowe WORMS dało nam 25% <sup>zniżki</sup> na rejsie do Mombasy. Nawiązałem korespondencję z Czechem panem <sup>✓</sup> Lany który miał w Moshi u stóp Kilimandżaro hotel Marangu. Sam był przewodnikiem i organizował wyprawy na szczyt, angażując tragarzy. Odjazd został wyznaczony na 28 czerwca 1938 r. Profesor nie otrzymał na czas potrzebnych instrumentów i musiał przesunąć termin wyprawy na 1. maja 1939 r. Trudno było jednak w atmosferze oczekiwania

✓  
Mieczysław

✓  
Martin

na nadciągającą wojnę, kiedy społeczeństwo składało się na zakup uzbrojenia, wyjeżdżać sobie do Afryki. Wyprawa nie doszła do skutku. Mnie pozostał paszport, namiot który służył mi w Tatrach dopóki jakieś gryzonie w dolinie Kaczej nie skonsumowały go ~~xxx~~ zostawiając tylko okucia, podwójny  $\lambda$  puchowy śpiwor dawno już zamieniony w strzępy i piękne nieziszczone marzenie. Tak to jest najczęściej z ~~marzeniami~~ *nimi*.

~~Besti~~~~xx xxx~~ Przejazd Kavalere - Heczwowych

Dostałem praktykę w Tallinnie. Moja pierwsza zagraniczna podróż trochę mnie niepokoi, ale żeby przewyciężyć nieśmiałość jadę sam a nie z innym kolegami którzy również tam dostali zajęcie. Jadę do miasta w którego herbie znajdują się ~~xxxxxxjakiś~~ ~~pokrewieństwoxxxxrodzinnyxlwxxxx~~ trzy lwy, jakieś pokrewieństwo z lwem mojego Lwowa. Inna sprawa że wszystkie północne kraje mają jakąś predylekcję do lwów, skąd się tam wziął? Po drodze zwiedziłem Rygę i pojechałem tramwajem za miasto by ~~poraz~~ pierwszy w życiu zobaczyć morze. Nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia i nigdy potem w życiu nie polubiłem tego dwuwymiarowego świata.

Do Estonii, jak zresztą na każdą studencką praktykę zagraniczną MSZ podrzuca jednego rzekomego studenta, oficera dwójki. Jeszcze przedemną przyjechał do Talina porucznik legionowy Sediwi. Do niego zgłosiłem się po przyjeździe i od niego dostałem skierowane do Miejskich Zakładów Drogowych, czyli do Talinna Linnavalitsus gdzie wystawiono mi legitymację jako üliõpilane, czyli studentowi na praktyce, ~~spodpisane~~ podpisane przez urzędnika kadr co po estońsku się nazywa się kaubandustoimkonna juhataja. Umyślnie przytaczam te skomplikowane słowa aby pokazać że o nauce języka nie było mowy. Nauczyłem się mówić tylko dzieńdobry i dozwidzenia czyli hijatajga i tere homikut. Na więcej nie starczyło mi siły - wprawdzie ten język niema rodzajników, ale niestety ma 21 przypadków, których i Estończycy nie bardzo znają.

Tallinn jest pięknym miastem. Już po wyjściu z dworca zaskakuje bajkową scenerią. Na szarej skale, ponad zielonością skarp, szare mury zamku kryte czerwoną dachówką. Na wysokim walcu wieży niebiesko-czarno-biała flaga, siedziba rządu. Miasto założone jeszcze w 1219 r. przez księcia duńskiego Waldemara zachowało

wiel zabytków architektury gotyckiej i nordycznej. Kamieniczki są ściśnięte murami obronnymi z pośród których wystrzelają niezmiernie ostre ~~chełmy~~ wieże kościołów i ratusza, nad którymi góguje wieża kościoła św. Olafa. Z jej szczytu widać wieże kościołów Helsinek. Dachy kryte czerwoną dachówką mają zawsze kalenicę i naroża wiązane białą zaprawą <sup>a</sup>wypięną wzbogacając<sup>ich</sup> kolorystykę. Kamienna i ceglana faktura ścian nadaje uliczkom jakiś bajkowy charakter.

Mieszkanie otrzymałem w ... szpitalu miejskim, dużą salę z jednym łóżkiem i widokiem na cmentarz, a pełne wyżywienie w stołówce dla lekarzy. Musiałem tam jeść dwa razy dziennie ryby, dla urozmaicenia na zmianę morskie i z jeziora. Wspólne obiady pozwoliły mi poznać Estończyków, nasłuchać się o ich historii bardzo przypominającej naszą, ciągłą<sup>ych</sup> (wojen, najazdów i długiej okupacji rosyjskiej).

Już w pierwszych dniach wybuchł skandal z panem Sediwi. Spił się w tamtejszym reprezentacyjnym lokalu i wymachując rewolwerem krzyczał że jest oficerem polskiego wywiadu. Na drugi dzień był już w Warszawie. Została po nim dziura w informacji, wobec czego konsul wezwał nas kilku ~~raz~~ do siebie i niezręcznie kołując zażądał abyśmy zbierali informacje polityczne bo tu się gotuje przewrót polityczny. Wojsko chce usunąć obecny rząd demokratyczny a Polskę jest tym bardzo zainteresowana. Od dawna minister Beck, a raczej szara eminencja MSZ dyr. Drymmer montują, a raczej chcą zmontować wał dzielący ZSRR o Niemców i w ten sposób zapobiec wojnie. Rolę tego wału odegrałyby Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa nie wchodziła w rachubę gdyż z nią byliśmy formalnie w stanie wojny, Łotwa, Polska, Czechosłowacja, Jugosławia, Rumunia, odpadają germanofilskie Węgry. Teoretycznie koncepcja ciekawa, ale jak okazało się w chwili pró-

by wogóle nie dała się zauważyć. Konsul dodał że Estonia jest jedynym na świecie krajem korporacyjnym, nie w znaczeniu systemu włoskiego ale etablissement składa się z grup ludzi związanych ze sobą przynależnością do odpowiednich korporacji akademickich z czasów studiów. To mnie zainteresowało bo sam byłem korporantem. Moja przynależność do korporacji umożliwiła mi serdeczne przyjęcie wpraw przez lekarzy a potem i innych ludzi z inteligencji. Mówiliśmy dużo o polityce i już wkrótce mogłem donieść konsulowi że były carski generał Laidoner, sympatyk Piłsudskiego szykuje się do objęcia władzy, a rząd ma objąć adwokat Sirka. Zamach był przewidziany na jesień bieżącego roku. Znałem także nazwę korporacji z której będą formowane władze. Moje informacje okazały się prawdziwe i dokładne. Ten nowy rząd powstał w jesieni i sprawował władzę do wybuchu wojny. Po najeździe radzieckim wielu Estończyków uciekło do Finlandii i do Szwecji, wśród nich gen. Laidoner i premier Sirka, a 150 000 ludzi wywieziono na Sybir.

Od jednego z przyjaciół estońskich ~~na~~ nie wiem czy to był dr Harry Busch czy dr Richard Roots otrzymałem plik fotografii z wizyty prezydenta Mościckiego w Talinnie. Kiedy <sup>w</sup> wiele lat później mówiłem o tym w Genewie z min. Bobkowskim był on tym bardzo zainteresowany gdyż w swoich bogatych zbiorach obejmujących okres władzy jego teścia Mościckiego nie posiadał materiałów z Estonii. Fotografie wzbogaciły jego zbiory.

Praca zawodowa była dość ciekawa. Estonia niema ropy ale ma bogate złoża łupków bitumicznych. Można z nich otrzymać ropę ale jest zabieg bardzo kosztowny, zresztą wówczas samochód nie był jeszcze cezurą cywilizacji i przeżywał swe młodzieńcze lata. Łupki te podgrzewano i mieszano z grysem granitowym ~~który~~ ~~XXXXXXXXXX~~ i używano jako dywaniki na stare bruki z kocich łbów.

Zabawne było że granit do tłuczarek przywozili ... rybacy. Głazy narzutowe, ongiś obfite na polach, zostały dokładnie wyzbierane, nowe głazy trzeba było wyciągać z pł<sup>y</sup>czn morskich.

Były i inne uroki, o osiem kilometrów od miasta była przystań Jacht-Clubu i tu u ujścia rzeki Piryty rozpocząłem swe pierwsze rejsy żeglarskie. Niezdarne to były początki - z przystani trzeba było płynąć wązkim farwaterem, często pod wiatr. z jednej strony był mulisty brzeg, z drugiej strony kamienne molo. Jeżeli zwrot się nie udał trzeba było skakać do wody i rękoma łódź odpychać na wolną wodę. Poza żaglami były kajaki ze szczelnie zabudowanymi komorami. Zabawa polegała na konieczności szybkiego obrotu między dwiema wysokimi falami. Ktoby się wówczas spodziewał że tu w Pirycie odbędzie się w 1980 r. żeglarska Olimpiada. Był<sup>a)</sup> tu też piękna ~~px~~ plaża i bardzo zimne morze. Podziwiałem piękne Estonki moczące się w zimnej wodzie. Poznałem tam śliczną Irmę ~~F~~<sup>n</sup>eldman o pięknych smukłych dłoniach i stopach która na żagle nie dała się namówić ale chętnie pływała na kajaku. Często płynęliśmy daleko w morze aż za wystające z wody bulaste, granitowe ~~sz~~ szkery. Irma doskonale grała w tenisa a w Tallinie łatwy był dostęp do kortów. Chodziliśmy do kina ale ta przyjemność natrafiała na pewne trudności. Filmy były zwykle angielskie, więc na ekranie pojawiał się napis estoński a pod nim niemiecki, tak że aktorom często tylko czubki głów wysterczały ponad napisy. Nie wiem jakie losy zgotowała wojna pięknej Irmie, jej ojciec był działaczem socjalistycznym nie lubianym przez ówczesne władze tak że musiał wrócić do swego dawnego zawodu murarza. Ani sowieci, ani Niemcy nie ~~xx~~ lubili socjalistów, za to się drogo płaciło.

Historię Estonii kształtowały trudne warunki. Ten naród pochodzenia fińsko-mongolskiego pojawia się w historii jeszcze

w 1346 r. kiedy władzę nad nim sprawował duński książę Waldemar IV. Sprzedał on te ziemie germańskim Kawalerom Mieczowym. Tallin zaś należał do miast hanzeatyckich już od 1300 r. Potem kolejno władcy się zmieniali. W 1561 r. byli nimi Polacy, a od 1621 r. Szwedzi. W sto lat później krajem zawładnęli Rosjanie i władzę dzierżyli do 1918 r. kiedy to kraj zyskał niepodległość. Takie dzieje spowodowały<sup>w</sup> nawarstwienie się różnych kultur widziane w każdym szczególe. Każdy Est włada językiem ~~szwedzkim~~ ~~rosyjskim~~ rosyjskim i niemieckim, a często i szwedzkim. Feudalismo i arystokracja były zawsze pochodzenia obcego i stąd płyniła stała niechęć do sąsiadów. Jest to naród chłopski o ogromnej ambicji w dziedzinie kultury i nauki. Na przeszkodzi stoi bardzo niski poziom materialny, zwłaszcza że kraj jest pozbawiony surowców. Sytuacja ta jest najdotkliwsza dla inteligencji która za niedorozwój gospodarczy obwinia ~~rzad~~ demokratyczny rząd i dąży do zmiany konstytucji i władz na rzecz faszystowskiej partii byłych bojowników o niepodległość widząc w ich programie dla państwa i dla siebie lepszą przyszłość.

Życie kulturalne jest bogate, w Tallinnie są cztery teatry a cały naród bierze udział w chóralnych śpiewach swoich ludowych pieśni. Raz do roku jest zlot chórów i w śpiewie uczestniczy tysiące <sup>w</sup>śpiewaków naraz. Wiele chórów występuje w ludowych strojach. Są to prawdziwe święta całego narodu, wyzwolonego z niewoli i radującego się swoją niepodległością. Niestety lata niewoli się nie skończyły i chyba teraz znowu świta lepsza przyszłość.



### Za Koło polarne

Z wieży św. Olafa w Tallinnie widać daleki brzeg, a właściwie szare domy Helsinek. Trzeba było tam popłynąć. W ówczesnych czasach kraje północy były rzadko odwiedzane, ale Finlandię, tę krainę jezior i lasów gdzieś na krańcu Europy rozślawił Paave Nurmi przez swe zwycięstwa we wszystkich biegach na długich dystansach olimpiad. Helsinki na pierwszy rzut oka nie zachwycały, banalne budownictwo z ogromną cerkwią na centralnym placu. Widomy dowód minionego panowania Rosji nad księstwem Karelii. W szarzyźnie ulic dwa budynki już zdołały uzyskać światową sławę: dworzec kolejowy z 1914 r. projektu Eliela Saarinen'a i gmach parlamentu. Saarinen i jego syn Eero stworzyli całą szkołę architektów, którzy w późniejszych latach tworzyli światową klasę architektury nowoczesnej. Na ulicach było już widać realizację nowego podejścia do małej urbanistyki. Dużo zieleni, ciekawe że tu kosówka znana nam z Tatr zwisiała swe gałęzie nad brzegiem morza, i wiele posągów. Na cokółkach nie było widać ani wodzów, ani panów w tużurkach tylko nagie kobiety ze słynnymi dziewicami z Espandaketu, równie nagich kowali kujących nową przyszłość dla kraju i bezpretensjonalne figury zwierząt.

Zwiedzając dworzec zabłądziłem w zespolonym z nim budynku dyrekcji kolei. Oglądając trójjęzyczne napisy fińsko-szwedzko-niemieckie na drzwiach pokoi zauważyłem jakieś biuro biletowe. Wszedłem, przedstawiłem się jako polski student i zapytałem czy mogę dostać jakąś zniżkę na bilet. Uprzejmy urzędnik zapytał gdzie chciałbym pojechać - ja wiedziałem - chciałem zobaczyć Morze Arktyczne, a więc do Petsamo. Od razu dał mi bezpłatny bilet sypialny do Rowaniemi, gdzie kończyła się linia kolejowa i bilet autobusowy na dalszą trasę.

Wędrując po porcie natknąłem się na scenę miłą memu

sercu. Spotkałem tam ~~całe~~ tłumy skautów z charakterystycznymi pę-  
kami wrzosów z puszt węgierskich, zwanych sierocymi własnami i bę-  
dącymi odznaką ostatniego zlotu Jambore w Budapeszcie. Tłum wiva-  
~~lował~~ tuje i jest podniecony. Szpalerem świetnie ubranych mor-  
skich skautów idzie starszy pan, średniego wzrostu z dobrotliwym  
uśmiechem na ~~kwadrat~~ pociągłej twarzy. Angielskie wojskowe ubranie,  
długie spodnie i okrągła czapka ~~nie~~ pozwoliły mi w pierwszej  
chwili poznać generała Roberta Baden-Powella. Idzie wolno, prowa-  
dzony pod rękę. Zbyt wiele lat przesiedział w siodle walcząc z  
Burami, zbyt wiele przemaszerował po tropikalnych krajach Afryki.  
Dziś wraca z Gödölio w Budapeszcie gdzie odbierał paradę 40 000  
skautów z całego świata prezentujących swą miłość do twórcy ska-  
tingu i swą wielką radość życia. Pierwszy skaut świata wsiada do  
motorówki i odpływa na angielski okręt wojenny którym odbywa po-  
dróż inspekcyjną po krajach bałtyckich.

Odwiedziłem <sup>m)</sup> jeszcze cmentarz ciał po kremacji. Tańsze we wiel-  
kich wspólnych grobach z różnymi tabliczkami, ~~po~~ pochowanych. ~~krótsze~~  
droższe w urnach, na wielu półkach dużej kaplicy. Następnym dniem  
zastaje mnie jak wsiadam do makuuraunu czyli do sypialnego pocią-  
gu aby odwiedzić po drodze Abo które słynie z wyrobu noży fińskich  
i sklepu Nurmi, który po olimpijskich sukcesach i po rozwodzie  
założył <sup>tu)</sup> sklep z przyborami sportowymi. Zwycięstwa na olimpiadach  
nie dały mu majątku - dzisiaj miałby miliony, wtedy musiał praco-  
wać.

~~Ważną podróż~~ ~~niekonieczną~~ ~~się~~ ~~las~~ ~~jeziora~~ ~~których~~ ~~jest~~  
~~40~~ ~~50~~ ~~tysięcy~~ W Rowaniemi przsiadam się do autobusu i ~~ja~~  
jadę nim 480 km przez niekńcące się lasy, nad jeziorami których  
w tym kraju jest 40 czy 50 tysięcy. Lasy przechodzą w tundrę, spo-  
tyka się z rzadka fermy i pastwiska renów, czasem na drodze leżą  
jakieś paczki, listy, pieniądze przyciśnięte kamieniem które za-

biera kierowca. Po drodze stacje obsługi, bufety. Wreszcie mijamy postument oznaczający przekroczenie ~~Koła polarnego~~ <sup>polarnego</sup> ~~biegunowego~~ a nieformalnej granicy Laponii.

Laponia stanowi dla Polski ziemię w pewnym znaczeniu bliższą, a to przez rogatywki tutejszych chłopów, ~~Krój kabatów~~ <sup>Krój kabatów</sup> hafty i unikowane barwy niebiesko-czerwono-białe, takie same jak u chłopów krakowskich. Prof. Czekanowski widział w ~~tych~~ ~~dobieństwach~~ ~~tych~~ tym podobieństwie dowód że przed najazdem ludów północy na nasze ziemie, obszary te zamieszkiwał rasy laponoidalnej, którą ~~w~~ <sup>y</sup> częściowo ~~został wyparty~~ <sup>został wyparty</sup> na daleką północ, a częściowo zlał z przybyszami co dało nam rasę subnordyczną czyli sarmacką. Kto chce niech wierzy.

Wreszcie Petsamo. Osiedle drewnianych domków rybaków, zrzadka rozmieszczonych na obłych głazach, porośniętych rzadkimi krzakami, na skałach tyczki z chochołami znaczące ścieżki, w porcie ubogie łodzie rybackie. Szare morze, szary horyzont, do tego deszcz i zimno. Wróciłem tym samym autobusem. Po wojnie fińsko-rosyjskiej w ~~tych~~ latach 1939/40, Petsamo zostało zabrane przez ZSRR i nazywa się teraz Peczenga. Jest tam port dla łodzi podwodnych a w skałach odkryto rudy uranu. Tak zmieniają się czasy.

~~W trzy korony~~ Do kraju trzech koron

W niemieckojęzycznym piśmie estońskim przeczytałem że w Sztokholmie odbędzie się światowy Kongres Esperancki, oraz że Bałtyckie Linie Okrętowe uczestnikom kongresu dają 50 % zniżki. Namówiłem dwu innych praktykantów i zaryzykowaliśmy odwiedzić w biurze okrętowym gdzie z miejsca dostaliśmy bilety w obie strony na statek Kalewipoek. Nie muszę dodawać że nie znaleźliśmy ani jednego słowa po esperancku.

Statek odpływał o świcie, ale gdy znalazłem się w porcie szalał wiatr i wysoka fala. Rejs odłożono, wpierw na dobę, potem na dwie. Kongres się rozpoczął ale nie sądzę by zauważono moją nieobecność. Wreszcie statek <sup>t)</sup> kłyszac się jak wściekły na szalejących falach odpłynął do Sztokholmu. Kiedy odpływałem przypomniła mi się wprost anekdotyczna sprawa wojennej floty estońskiej. Po wojnie zostały w porcie Tallinna trzy stare torpedowce ~~rosyjskie~~. Ich załogi nigdy nie wypływały na pełne morze obawiając się katastrofy. Na jednym urządzono kasyno oficerskie. Aż pewnego razu przyjechali <sup>h)</sup> delegaci z Chile i kupili te okręciki. Z trudem dopłynęli do Londynu gdzie okręty przeszły generalny remont i podążyły przez Atlantyk. Zawiodły maszyny i okręty trzeba było holować. Kilka razy je zgubiono i wreszcie doholowano do Valpariso. Wątpię czy przyniosły wiele radości flocie wojennej Chile.

Na drugi dzień wpływamy w piędziesięć kilometrowy farwater ciągnący się zygzakiem pomiędzy szkerami. Na licznych wysepkach stoją domki weekendowe Szwedów i zawsze na wysokim maszcie państwowa flaga, żółty krzyż na niebieskim tle.

Wreszcie otwiera się widok portu i miasta leżącego na ~~xxx~~ trzech wyspach. Kontakt miasta z morzem manifestuje się kożuchem śmiecia, papierów wśród których białe mewy szukają żeru. Na ~~moju~~ przyjemnie zakawuje

Na molo mile zaskakuje wyrosły wprost z bruku posągi Trytona i Syreny. Znałem skądś adres schroniska akademickiego i tam skierowałem swe kroki. Znalazłem, było bardzo skromne, łóżka wielkości trumnieki w trzech kondygnacjach. Jeszcze dziwniejsze toalety z podwójnym odprowadzeniem z pod sedesu<sup>n</sup> x płynów i ciał stałych. Nie zrozumiałem tej idei i nie znałem takiego rozwiązania z literatury fachowej. Zdziwienie moje spotęgował widok licznych rur różnej średnicy które z naszego osiedla położonego na litej skale biegły przewodami naziemnymi. Piękne to nie było ale jak tu wkuwać się w litą skałę. Za nocleg płaciłem 20 ~~krók~~ órów, czyli około 20 groszy polskich. Z wyżywieniem nie było kłopotu gdyż wszędzie można było spotkać zawieszane szafki z automatycznym podaniem dowolnej kanapki czy ciasta a z kurka mleka czy kawy. Wszystko także po 20 órów.

Po ustaleniu podstaw bytu materialnego był czas na turystykę. Sztokholm pretenduje do nazwy Wenecji Północy. Może, ale tak niezupełnie, jest istotnie trochę kanałów, wiele mostów i tramwajów wodnych. Na ulicach duży ruch, śmiesznie jest powiedzieć że to było tylko <sup>na</sup> 600 000 mieszkańców, 20 000 samochodów, ~~200 000~~ 200 000 rowerów i 2 zaprzęgi konne co skrupulatnie podaje statystyka. W środku miasta spostrzegłem wielki plac budowy rozciągający się na przesmyku gdzie łączą się dwie największe wyspy miasta. W tym miejscu krzyżowało się 6 ~~linii~~ torów kolejowych biegnących do dworca towarowego, dwutorowa linia kolei miejskiej dalekobieżnej, kanał żeglugowy i siedem ulic. Problem ~~ten~~ ten byłby nie do rozwiązania gdyby nie szczególne położenie obu części miasta z których jedna położona jest na wysokiej górze granitowej i ulice biegną stromo w górę, co daje możliwość przekroczenia kanału mostem o 9 metrowym prześwicie, zamiast dawnego mostu zwodzonego, pozwala dalej przeprowadzenie na różnych poziomach

trzech torów kolejowych, trzy ulice, cztery tunele dla pieszych i windę osobową. Budowę komplikowała jeszcze istniejąca w tym miejscu pętla tramwajowa i dworzec kolei miejskiej. Ta skomplikowana budowa bardzo mnie zainteresowała jako przyszłego inżyniera. Poszedłem do kierownictwa budowy, przedstawiłem się jako student Politechniki lwowskiej. Zostałem bardzo uprzejmie przyjęty przez kapitana Thulina, oprowadzony po budowie i po tunelu drążonego w pięknej srebrzystej skale granitowej przeznaczonego dla linii metra. Dostałem obfitą dokumentację którą przekazałem katedrze kolei na Politechnice, a sam machnąłem artykuł do Życia Technicznego.

Głośny był wówczas w prasie ratusz - Stadshuset, i oczywiście zaraz tam poszedłem. Jest to przedziwny i harmonijny zespół elementów architektonicznych których ojczyzną są wszystkie epoki i kraje Europy. Dorobek artystów z dwu tysięcy lat stał się podatnym tworzywem w rękach projektantów i wykonawców. W jakimś ~~sensu~~ sensie przypomina architekturę Pałacu Dożów w Wenecji. Mury z czerwonej cegły, otaczają prostokątne podwórze. Z boku przytyka doń wieża o zbieżnych krawędziach i ozdobiona koronkowym złotym chełmem. Budynek od strony morza spoczywa na filarach przypominając podcienia pałacu Dożów. Z podwórca wchodzi się do ogromnej sali-holu o mozaikowej posadzce ze szmaragdowego granitu. Surowe ściany wsparte na białych bizantyjskich kolumnkach. Pod pułapem <sup>skamienna</sup> biegnie maurytańska mozaika. Już wtedy ~~sztokholmski ratusz stał się głośnym na cały świat i dziś zaskakuje i urzeka swą oryginalnością i piękną lokalizacją na wspaniałych trawnikach, zdobnych w posągi. Styl ratusza jest określany jako nordycki, ale nazwa ta jest bałamutna, gdyż Niemcy hitlerowskie na swoje budowle także taką nazwę wprowadzili. Przechodzę z kasa z kolei do reprezentacyjnej sali~~

Okna w obremowaniu kunsztownej kamieniarki. We wnętrzach sal, salonów, kancelarii każdy szczegół od karafki do gobelinu jest skończenie artystyczny. Wytworne meble, obrazy, ceramika, rzeźby defilują przed oczyma w spokojnej harmonii. Wreszcie wchodzę do olbrzymiej reprezentacyjnej sali, całej wyłożonej bizantyjską mozaiką. Na złotym tle, nadającej ścianie hieratyczne piękno, postać Gustawa I Wazy. Siedzi z rozchylonymi nogami i patrzy szklanym wzrokiem na przeciwległą ścianę na której jest przedstawiona jego małżonka. Sufit, ściany, wszystko złote i <sup>ra</sup> w bocznych ścianach i w niszach królowie niższej rangi. Odkrywam naszego króla Jana Kazimierza nad którym znęca się Karol Gustaw depcząc <sup>mu</sup> z zadowolaniem po brzuchu. W innej wnęce ~~znajduję~~ znajduję naszego Zygmunta III. ~~xxxteraxxkrólxxGustawxxIVxxgraxxsceniexxwxxtenisiexxzxxnasząxxJadziąxxJędrzejewskąxxktóraxxxaxxxnałaxxxoixxxpodawaniexxxpiłkexx~~ Z boku ratusza stoi jakby żywcem przeniesiona z Placu Zamkowego kolumna z posągiem Engelbrekta, bohatera z XIV wieku zasłużonego w walkach z Duńczykami o niezależność Szwecji. Ratusz jest otoczony trawnikami i posągami przeglądającymi się w wodach kanałów.

Pałac królewski jest banalną budowlą. Za to panujący wówczas od 27 lat Gustaw V jest człowiekiem bardzo bezpośrednim. Można go było spotkać na spacerze na ulicach, a przede wszystkim na korcie tenisowym gdzie grywa z naszą mistrzynią, Jadzią Jędrzejewską która swą karierę rozpoczęła od podawania piłek. Zawsze grał w białym kapeluszu czego żaden tenisista nie naśladował.

Miasto przecinęją czyste ulice, pozbawione kiosków i handlarzy ulicznych, bogate sklepy. Wszystkie elewacje ze srebrzystego granitu doskonale harmonizują z zielenią skwerów i drzew. Ludność piękna, wysmukła, jasnowłosa, czysty typ nordyczny, potomkowie Normanów. Niegdyś bitna, żeby nie powiedzieć łupieszczą

o czym zwłaszcza w Polsce dobrze pamiętamy, ojczyzna odważnych żeglarzy dziś zastygła w bezruchu. Z dawnych tradycji żeglarskich pozostało zamiłowanie do stroju marynarskiego. Co drugi gentleman nosi białe ineksprymable i czapkę Jachtklubu. Policjant ubrany w długi granatowy surdut z szablą ~~przybiciu~~ o złotej gardzie i w białej czapce wygląda jak admirał, bileter w kinie ma na czapce i na rękawach odznaki komandora a motonicy w tramwaju w białych spodniach i z czarnym motylkiem prezentuje <sup>się</sup> jak właściciel jachtu. Mity dawnych królów <sup>w</sup> i wodzów zastąpił mit Greta Garbo i Kreugera, człowieka który na zapałkach dorobił się ogromnej fortuny ale uwikłany w finansowe kłopoty ~~zginął~~ ~~zginął~~ i zwalczany przez międzynarodowy kapitał popełnił samobójstwo.

Chciałem jeszcze zwiedzić uniwersytet w Upsali, założony w 1477 r. gdzie w bibliotece znajduje się 30 manuskryptów Kopernika po łacinie i po niemiecku, zrabowane w Polsce w czasie najazdu szwedzkiego. Zapomniałem że właśnie są ferie akademickie i skończyło się na spacerze po parku otaczającym budynek.

V  
Ivara



~~Podróż~~Stolica króla Aleksandra

Otrzymałem praktykę w Jugosławii. Postanowiłem nie jechać pociągiem a odmiennym środkiem lokomocji. Pamiętałem z czasów dzieciństwa dumne parowce zawsze noszące imiona rodziny cesarskiej, płynące po Dunaju pod naszymi oknami. Do Wiednia pojechaliśmy we trójkę, Halszka Kuczyńska, Zbyszek Zanuziński i ja, gdyż wszyscy mieliśmy skierowania do Belgradu. Wstępnym pa-wiecz DDG czyli Donau Damfschif Gesellschaft. Podróż trwała trzy doby i była urocza. Powoli przesuwają się zielone brzegi, lasy, winnice, szerokie rozlewiska na których stojący na dziobie marynarz z tyką w ręce podawał głębokość wody i statek kluczył na szerokim nurcie rzeki. Minęliśmy Bratysławę, Budapeszt i nocą przybiliśmy do Belgradu.

Nasze bagaże porwał jakiś tragarz a że było już bardzo późno prosiliśmy o zaprowadzenie do taniego hotelu. Weszliśmy do jakiejś karczmy pełnej pijanych a bufetowa poprowadziła nas na piętro do pojedynczych pokoi o dziwnie skromnym umeblowaniu. Byłem zanadto śpiący by ~~powinno~~ zastanowić się nad naszym lokalem, ale rano zauważyłem że prześcieradło sięga połowy łóżka oraz i inne szczegóły by stwierdzić że nocleg spędziliśmy w ... burdelu. Jak to zdoła opowiedzieć swej dystyngowanej rodzinie Halszka Kuczyńska trudno sobie wyobrazić.

~~Te miasto było jeszcze przed sześćdziesięciu laty zwykłą wsią z jedną miejską ulicą, przy której stał pałac królewski i kilka budynków rządowych. Do Domu Akademickiego nas nie wpuszczono gdyż go odpluskwiano. W konsulacie dostaliśmy skierowanie i poszliśmy zwieszać miasto. Jego życie skupiało się wzdłuż bulwarów z nędzną zabudową, targowiskami z tłumem kolorowo ubranym wśród którego dominowali tragarze z drewnianymi nosidłami noszącymi nieprawdopodobne ciężary. Orientacja w mieście~~

była trudna gdyż wszystkie napisy były cyrylicą której nie zna-  
 liśmy, nie było planów miasta ani przewodników, trzeba było  
 o wszystko pytać. Na szczęście serbski język był dość dobrze  
 rozumiany. Miasto było w okresie gwałtownej rozbudowy. W ciągu  
 16 lat ludność wzrosła z 70 000 do 300 000 mieszkańców. Wiele  
 czasu upłynęło nim znaleśliśmy się w konsulacie a potem w <sup>lokalu</sup> orga-  
 nizacji studenckiej. Dowiedzieliśmy się że nie możemy spać w  
 Domu Akademickim bo go odpluskwiają. Współczesny człowiek nie  
 zdaje sobie sprawy jaką udręką w tym czasie były pluskwy, nie  
 tylko w takim Belgradzie ale prawdziwe boje musiałem z nimi sta-  
 czać i w sterylnych Helsinkach i kulturalnym Londynie.

Belgrad ~~niekiedy idealny punkt~~ <sup>jest</sup> <sup>22</sup> idealnie położony u zbiegu ~~Sa-~~  
 wy i Dunaju ~~a miasto leżało na~~ <sup>na</sup> wzgórzu na którym od strony wo-  
 dy wznosiła dawna twierdza turecka Kalimekdan, obecnie park  
 miejski. Rozciąga ~~xx~~ się stąd widok na szeroki na kilometr Du-  
 naj i na zieloną Sawę w żółtym obrzeżu plaż. W pośrodku parku  
 wznosi się pomnik wdzięczności Francji, dłuta ~~xx~~ Iwana Mejestro-  
 wicza, tej Francji która swoimi pieniędzmi i wolą przłożyła się  
 do powstania wolnej Jugosławii. Nie można tu pominąć działań  
 masonerii francuskiej próbującej a Europie Wschodniej i Środ-  
 kowej stworzyć blok państw opierających się na zasadach ~~xxxxxx~~  
~~xxxx~~ wolnomularskich. Także i w mieście <sup>e</sup> znajduje się kolejny  
~~xx~~ <sup>(pomnik)</sup> Mejestrowicza, ~~który jest nadwornym rzeźbiarzem kraju,~~  
~~xx~~ Zjednoczenia Jugosławii, na którym centralna postać zwraca  
 swą <sup>g</sup> głowę do gwiazd i dziwnym trafem ku najwspanialszemu gna-  
 chowi miasta, ambasadzie francuskiej. Francja - to słowo stale  
 przewija się w życiu tego kraju, ~~ale owija ją go~~. Gdzie tknąć  
 wychodzi Francja, kapitał francuski, fabryki francuskie, poli-  
 tyka zagraniczna francuska, ~~xxxxx~~ artykuły w prasie inspirowa-  
 ne przez Francję. A z tych artykułów dowiaduję się że my Pola-

cy jesteśmy wrogiem i Jugosławii<sup>x</sup> i Słowiańszczyzny<sup>x</sup> i pokoju, bo nasze Legiony ośmieliły się podnieść broń przeciw Rosji, bo przyjazniliśmy się z Węgrami, bo prowadzimy rozmowy z Niemcami. Już wtedy na każdym kroku czuło się że Jugosławia jest zlepkiem trzech narodów Serbskiego <sup>2</sup> prawosławnego, po 600 letniej okupacji tureckiej, Chorwackiego <sup>3</sup> i Słoweńskiego, <sup>1</sup> katolickiego<sup>ch</sup>, od wieków związanych z kulturą zachodnią i w świecie pojęć demokratycznych. Polityka scaleniowa nic nie dała, dzisiaj mówi się o zlepku 6 republik, 8 narodów i 3 religii. Wówczas Serbowie opanowali armię, urzędy i Chorwatów oraz Słoweńców podporządkowali sobie zaskarbiając sobie nienawiść i pogardę. Z tych krzywd i nastrojów powstała krwawa wojna domowa pomiędzy Chorwacją Pawelicza i wojskami Tity.

Charakterystyczną cechą ulicy belgradzkiej są rosyjscy oficerowie carscy, paradujący w swoich mundurach, tylko <sup>ko</sup> że bez broni. Widzi się ~~generałów~~ siwych generałów w złotych epoletach, oficerów gwardii pobrzękujących medalami i kadetów w białych rubaszkach i czarnych spodniach. Wszyscy oni przybyli okrętami dawnej floty carskiej z Odessy jako armia gen. Wrangla. Względem Jugosławii zawdzięczają złotu carskiemu wywiezionemu z Rosji. Zbierają się w restauracjach które jak carskie lokale muszą mieć akwarium i śpiewy cyganek.

Mieszkańcy tłoczą się w 20 000 kafan rozśpiewanych zawodzącymi głosami Bośniaków i cyganek które zawsze zasiadają ~~prz~~ przed orkiestrą. Czasami na chwilę znikają, ot taki obyczaj. Siedzę, patrzę, piję zlatną kapicę przy stoliku stojącym na krawędzi chodnika, piję rakiję w małych karafeczkach i czarną kawę. Obok czgściviele butów stukają szczotkami o blaszane podnóżki i słucham -

Koli te wolim, to ne wolim niko, niko, niko,

Koli te polubim, ne polubim niko, niko, niko.

Mam skierowanie do przedsiębiorstwa SIPAD czyli w Szumsko-Industriisko Preduzeczce Dobrljin Drvar. Jak pięknie w srebskim ~~mi~~ nazywa się las - szuma. Było to przedsiębiorstwo produkcji ~~drewna~~ drewna i celulozy w osiedlu Drvar w środku prelasów Bośni. Jadę tam koleją przez Sarajewo, Jajce. Tam się kończy normalna kolej i trzeba się przesiąść na wąskotorówkę należącą do przedsiębiorstwa.

Linia kolejowa przechodzi przez dwa działy wód i biegnie trzema krasowymi dolinami, a raczej kanionami, by doliną Maricy dojechać do Sarajewa. Patrząc na niekończące się białe, krasowe ściany wąwozów, przejeżdżam 99 tuneli, skąd wiem ile? Są numerowane. Piękno Pienin w mojej pamięci malało i malało, gdzie tu porównywać. Ponieważ ~~wixx~~ tor wązki jaki przechodzi przez góry pozwala na użycie małych promieni łuków, stwarza dla pasażera zaskakujące niespodzianki. Otóż kiedy wagon znajdował się od strony wewnętrznej łuku, środek wagonu wysuwał się poza tor <sup>swi</sup>sko a nawet poza nasyp, zaś w odwrotnych łukach z pod wagonu wysuwały się <sup>obie</sup> szyny toru. Ten pociąg nastreczył mi inną niespodziankę. <sup>Oczywiście</sup> ~~Oczywiście~~ chciałem odwiedzić toaletę. Idę na jeden koniec wagonu - niema jej. Idę na drugi koniec, także niema. Sprawdzam w sąsiednim wagonie - to samo. Co u licha, dziki kraj, nie znają toalety. Wychodzę na schodki i trzymając się poręczy, a drżąc by ktoś nie zobaczył załatwiam swoją potrzebę. Wracam zadowolony i po drodze zauważam toaletę w środku wagonu. Kto tu był dziki?

### Miasto grzechu

Dzisiejsze Sarajewo - siedziba Olimpiady Zimowej, pełna hoteli, autostrad, wysokościorców, kolei linowych w niczym nie przypomina owego małego miasteczka muzułmańskiego z 1934 r. Miasto posiadało sto minaretów, co wcale nie świadczyło o jego rozmiarach ale o ~~zakazie~~ religijnym zakazie burzenia raz wybudowanej świątyni. Większość z nich była w stanie zupełnej ruiny. Najpiękniejsza była dżanija /moszeja, meczet/ Bejowa, wysłana dywanami liczącymi po paręset lat, o ścianach i pułapie barwnie malowanych w ornamenty roślinne i geometryczne. W głównej ścianie wgłębienie gdzie zasiada mułła, po bokach ma elektryczne świeczniki, z prawej strony leży koran, z lewej wysoko kazimelnica. Naprzeciw zagroda dla dzieci, podwyższenie dla kobiet i na honorowym miejscu odkurzacz. Na podwórzu studnia rytualna przy której wierni myją nogi. Och nogi muzułmanów, gdzie tylko byłem w krajach machometanских imponowały mi ich czyste i wymyte stopy, przypominałem sobie szpital zakopiański kiedy przywieźli mnie tam po wypadku w górach i znalazłem się w sali gdzie leżeli ludzie po wypadkach połączonych z łamaniem nóg. Jakiż przegląd czarnych, brudnych ~~nóg~~ stóp wiszących na wyciągach.

Przepraszając za dygresję wracam do ratusza w Sarajewie. Tu przed ratuszem rozegrała się tragedia Habsburgów która zaoocowała pierwszą wojną światową. W dniu 15 czerwca 1914 r. po nieudanym zamachu bombowym Gabrinowicza, którego bombę arcyksiężę przytomnie odrzucił, dziewiętnastoletni student Gawryło Princip zastrzelił z rewolweru następcę tronu Ferdynanda Habsburga, bratanka cesarza i jego morganatyczną małżonkę Zofię Hohenberg. Sprawca uciekając przed policją pobiegł na most i rzucił się w nurty Miljacki, by w ~~jej~~ niej znaleźć śmierć. Zapomniał w

pośpiechu że w niej wody jest na pół stopy i niepoważnie brodzącego ujęła policja. Skazany na śmierć, został ułaskawiony przez cesarza, ale zastrzyki gruźlicy przyspieszyły jego zgon.

Zamach w Sarajewie zapoczątkował wojnę ale jej prawdziwe przyczyny leżały w odległych sferach wielkiej polityki.

Z innych atrakcji miasta to przede wszystkim czarszija, czyli targ na którym setki rzemieślników w turbanach i fezach siedząc w kucki w swoich kramach, zajmują się wyrobem i sprzedażą koronkowej biżuterii, kutych tac, poduszek, puf~~ów~~, sandałów i różnych wyrobów ludowego kunsztu. Nie brak i kafań gdzie poza czarną kawą podaje się rakiję, rachatkum, chleb turecki i chałwę. Nie brak i jagniąt odartych ze skóry z kopytkami ~~zatkniętymi~~ przed kapiami ~~zatkniętymi~~ zatkniętym pod żebra i wbitych na żelazne pręty. Po skrzeszeniu do słońca piecze się je na wolnym ogniu.

- Jedna komada dinara ! -

Komu nie w smak jagnię ma do wyboru reżniczki czyli pieczone mięso lub pieczone z cebulą i słoniną czebabczeczce. Frykasy typowe dla całego muzułmańskiego wschodu. Lczne kafany pełne śpiewu cyganek a zielona latarnia przed bramą sygnalizuje burdele. Stroje męszczyzna zupełnie egzotyczne. Spodnie opięte na łydkach z krocem nad kolanami i z workiem powyżej, pozwalają ich właścicielowi swobodnie kucać i w tej pozycji prowadzić nie kończące się pogawędki. Na głowach czerwone fezy, wygnane z Turcji przez Kemala Paszę, zakupiony <sup>(ez)</sup> za 10 denarów okazał się być czeskim wyrobem. Niektóre fezy są owinięte byle szmatą imitując<sup>e</sup> turbany i oznaczają że ich nosiciel odbył pielgrzymkę do Mekki. Kobiety ubrane na czarno, okryte po oczy żarem czyli zasłoną. Dołem ubrane kiedy są młodsze od 14 lat, w szarawary, starsze w workowate suknie kryjące głowę i ręce. Zawsze pro-

wadzone przez małego chłopca który jest konieczny do ~~przewodzenia~~ prowadzenia rozmowy z przekupniem gdyż kobiecie nie wolno rozmawiać bezpośrednio z mężczyzną. Wydana za mąż musi jeszcze <sup>ze</sup> ręce przyodziać w rękawiczki by już żaden rąbek ciała nie był widoczny. Haremy istnieją, choć ustawa jest łaskawa dla tych którzy mają po kilka żon z dawnych czasów, mogą je zachować, ale nie więcej jak cztery. Aktualne są małżeństwa monogeniczne. Jako oddźwięk tych stosunków jest powszechna pederastia która rozpoczyna się już w szkołach. Powszechnym środkiem lokomocji i transportu jest osioł a nowoczesność sygnalizuje jedyna linia tramwajowa z dworca do małista, po której w zgodzie także jadą wagonny kolejowe. Zauważyłem jeden, powtarzam jeden samochód.

Z Sarajewa pojechałem do Jajc, słynnych z rzymskich katakumb i wodospadu spadającego ze skał podziurawionych jak plaster miodu i dla efektu <sup>pod</sup>świetlonych reflektorami. Tu przeszedłem się do kolejki leśnej która po 12 godzinach jazdy przez góry i lasy dowiozła mnie do Dravaru.

von Pless /

Książę i Marszałek Tito

Przyjechałem do Drvaru - była to wówczas osada położona nad rzeczką Unac, która gdzieś na północy uchodziła do Sawy. Wokół wznosiły się pokryte lasami góry, których szczyty sięgały dwu tysięcy metrów, jak Klekowac~~z~~ /1961 m/, Jedownik /1650 m/ czy Dinara /1831 m/. Góry były prawie niezamieszkałe gdyż wszędzie było brak wody. Poza doliną Unaca nie było dolin tylko leje krasowe, różnej wielkości, na których dnie często widniały wloty do podziemnych korytarzy. Dla pojenia bywała budowano wielkie zbiorniki wody deszczowej która rychło zamieniała się w zieloną ciecz, albo przywożono w drewnianych beczółkach na koniach wodę z jakichś odległych potoczków które gubiły się po kilkudziesięciu metrach, zwykle zadeptane przez leśną zwierzynę. Bardzo rzadkie chutory z poletkami kukurydzy otoczone były wysokimi murami. Ziemię te zamieszkują Bośniacy smukły lud dynarski o obyczajach pierwotnych. Zawsze na koniu ze sztyletem za pasem i z karabinem o obciętej lufie, bo i wilk tu nierządki i obowiązuje zemsta rodzinna.

Całe życie Drvaru było <sup>za</sup>zwią~~zane~~ z przedsiębiorstwem tartacznym. Do niego należała eksploatacja jodłowych pralasów z 300 km<sup>2</sup>. Lasy te niegdyś sięgały wybrzeży Adriatyku~~u~~ ale Rzymianie a po nich Wencjanie wycięli je dla swoich flot, zostawiając białe skały krasowe, na które obecnie z trudem pną się winnice. Był tu tartak o trzydziestu trakach, fabryka celulozy, kwatery urzędników ściągniętych z całej Europy, kasy-no, cerkiewka, dwie knajpy z cygańską muzyką, jakiś sklepik i liczne slamsy gdzie mieszkali robotnicy. Tu mieściła się węzłowa stacja kolejki leśnej z której odchod<sup>zi</sup>ły trzy linie do Jajc, Banja Luki i Szybenika nad Morzem Adriatyckim.

Dostałem kwaterę i zastałem tu już dwu innych praktykan-



tów, Wieczorka, szwagra znanego pisarza Lepeckiego ~~który po i-~~  
~~luś tam latacu wieszanie rosyjskiego miał denerwujący zwyczaj~~  
~~chodzenia bez przerwy po pokoju i pewnego, niezbyt młodego pana,~~  
 mieniającego się być studentem a co się potem okazało niezbyt pra-  
 wdziwe. W przedsiębiorstwie przydzielili mnie do czeskiego inżyniera  
 Gligiça, a praca moja polegała na wykonywaniu, prawie bez  
 dokumentacji jakichś pomocniczych budynków.

Robotnicy pochodzili z napływowej ludności z całej Jugosławii,  
 znalazł się i Polak z kolonii polskich w Bania Luce, nazwiskiem  
 Piotrowski który był maszynistą na kolejce. Wśród urzędników  
 było i trzech Rosjan z armii Wrangla, stale paradujących w carskich  
 mundurach. Nie istniało tam ubezpieczenie od wypadków i po wypłacie  
 trzeba było ~~isx~~ iść w szpalerze kalek z obciętymi rękoma,  
 nogami czy tylko palcami, ofiarami wypadków w pracy i wspierać  
 ich datkami. Raz na miesiąc przyjeżdżał pop i odprawiał w cerkiewce  
 mszę. Do wnętrza wchodziły tylko kobiety, Mężczyźni przyjeżdżali  
 na koniach, jak zawsze z bronią, a do siodła mieli przytroczone  
 małe, okrągłe stoły, które ustawiali na cmentarzu i tam w czasie  
 nabożeństw raczyli się wódką pędzoną ze śliwek, rakiją, pijąc ją z  
 małych karafeczek.

Bośniacy byli ludźmi hardymi i trudnymi do rozmowy. Do każdego  
 zwracali się w drugiej osobie, z Boga też sobie nic nie robili i  
 co drugie słowo było słycać "jebenti sunce", "jebenti boga" lub  
 kunsztownie "jebenti bozi mater, w mater diti, w ditu duszu".  
 Gdy sobie popili brali się za ręce i śpiewając falsetem zaczęli  
~~tanx~~ taniec "kola". Raz przytupali z lewej, raz z prawej w  
 skocznym tempie, tak bardzo przypominającym huculską kołomyjkę.  
 Potem siadali na konie, tylko mężczyźni, i jechali do domów.  
 Ich życie było tak związane z koniem że ~~jxxxx~~ słowo jechać w  
 ich języku oznaczało jazdę konną i dziwili się że chcą jechać

koleją ?

Drvar zrobił karierę polityczną w czasie drugiej wojny światowej. Obecnie dzierży tytuł "Miasta Bohatera". ~~Zxkxkxkxkx~~ Właśnie w Drvarze przez dłuższy czas miał swą kwaterę Broz-Tito. Z końcem kwietnia 1941 r. Himmler wydał rozkaz by Tito został "am Ort und Stelle vernichtet". Dnia 25 kwietnia <sup>1944 r.)</sup> (miasteczko zostało zbombardowane i zrzucono 700 spadochroniarzy z których każdy miał zdjęcie ~~Ta~~ Tity i rozkaz pochycenia go. Desant miał złe informacje, gdyż kwatry znajdowała się w odległości 12 km w górę potoku Unac. Oficjalni biografowie <sup>pisał</sup> że Tito wraz z adiutantem i psem "Tygrysem" zostali opuszczeni na linie i uratowali się. Inna wersja podaje że Tito uciekł w białiznie i ukrył się w grocie. Co do groty mam pewen wątpliwości gdyż ani w Drvarze, ani w pobliżu nie było odpowiedniej grotty, tylko jedna raczej wnęka skalna niż grota. Że jednak coś niejasne jest z tą kwaterą świadczy fakt że Niemcy ujęli na miejscu angielskiego pułkownika doradcę Tita Churchila, syna premiera. Wchróćce został on wymieniony za jakiegoś dygnitarza niemieckiego. Tito został zabrany przez samolot radziecki i odwieziony na Bari, a stąd samolotem jugosłowiańskim na wyspę Vis skąd do końca wojny kierował partyzantką. Wogóle dzieje partyzantki jugosłowiańskiej obrosły takimi legendami i filmami że trudno z nich wykuskać fakty. Takie <sup>(jest)</sup> prawo legendy historycznej.

W Drvarze na stacji kolejki pracował generał von Pless. Zawsze starannie ubrany, z krzyżem św. Jerzego na szyji mieszkał wraz z żoną i osiemnastoletnią córką naprzeciw mojej kwatery. Jego jedyny syn pracował w Paryżu gdzie parał się pisarstwem. Bywałem u nich. Mieszkali bardzo skromnie i swoją sytuację znosili z pogodą ducha. W tej to córce zakochał się mój

kolega parktykant. Mieszkaliśmy we trójkę, co było dość de-  
nerwujące. Kolega Wieczorek po kilku latach carskiego wię-  
zienia miał zwyczaj bez przerwy chodzić po przekątnej pokoju.  
Ten trzeci miał jakąś chorobę skórą i stale się drapał po  
całym ciele. Ten trzeci oświadczył się <sup>✓</sup> i o dziwo został przy-  
jęty. Chyba panna miała dość tego <sup>✓</sup> zabitego dosłownie  
deskami i za wszelką cenę chciała uciekać. I tu wyjaśniła się  
rola tego trzeciego, okazało się że jest oficerem i dostał  
z kraju zezwolenie na wystąpienie na ślubie w mundurze. Mnie  
proszono o druźbowanie. Ślub odbył się w miejscowej cerkiew-  
ce, drugi miał się odbyć w Warszawie w kościele rzymsko ka-  
tolickim, a <sup>e</sup> wesle odbyło się w kasynie. Przy stole zasiadło  
przedstawiciele aż siedemnastu narodowości, przyjechał także  
brat panny młodej z Paryża. Rosyjskim obyczajem po każdym to-  
aście trzeba było rozbić kieliszek ale ze względu na uszano-  
wanie posadzki rozbijano je o specjalnie postawiony drewniany  
ekran.

Państwo młodzi wyjechali do Warszawy gdzie księżniczka von  
Pless, należąca do światowej arystokracji robiła furorę w to-  
warzystwie warszawskim, Po dwu latach widocznie znudzony się  
nieciekawym małżonkiem, porzuciła go i odpłynęła do Paryża. Wy-  
grała swój los.

✓  
pannie von  
Pless

Klekowacz i Resonowacka Peczyzna

(Klekowaczu)

Wiedziałem że jeszcze nikt z Polaków nie był na <sup>(Klekowaczu)</sup> głównym szczycie Alp Dynarskich, bo i poco, tyle jest ciekawszych gór w Jugosławji. Tu on był pod bokiem i irytował dość dużą wysokością 1965 m. Wyprawa moja miała dość niecodzienny charakter. Nikt z moich znajomych nie chciał mi towarzyszyć, nie było map, nie było żadnych ścieżek, brak było informacji. Cały teren ~~był~~ ~~zalesiony~~ aż po szczyty był zalesiony, ~~Trzech~~ nie było dolin które by mogły doprowadzić pod zbocze, a tylko leje i leje, małe duże, niektóre łączące się ze sobą, niektóre małe w dużych lejach. Nigdzie nie było potoków, a nawet źródeł. Całą wodę trzeba było mieć ze sobą. Zaprowiantowanie też było kłopotliwe, mogłem zakupić białe pieczywo i pomidory. Nie miałem ze sobą żadnego sprzętu turystycznego. Spać musiałem siedząc, oparty o pień drzewa, tak mi radził mój przyjaciel Stefan Jarosz znany podróżnik po Alesce. Szedłem według kompasu, czasem między drzewami mignął mi szczyt. Najkłopotliwsza była droga wprost na Klekowacz, porastała ją gęstwina roślin podobnych do naszych malw ale sięgających wysokości trzech metrów. Wreszcie osiągnąłem szczyt. Był on łatwy do identyfikacji gdyż jedyną informacją jaką o nim uzyskałem to istnienie małego ~~leja~~ leja wprost na szczycie. W dali zaśnił srebrzysto szary Adrjatyk, wokół morze szczytów ~~wszędzie~~ pokrytych lasem.

W drodze powrotnej natknąłem się na kłębowisko żmij królewskich. Ten rodzaj charkteryzowała żółta plamka na głowie, czyli korona i długość dochodzą do jednego metra. Podobno miały zwyczaj skakania do twarzy. Bośnia uchodziła za krainę najbogatszą w gady w całej Europie. Był one porządany łupem dzieciarni gdyż apteki płaciły za głowę żmiji równowartość naszych ówczesnych dwu złotych. Ciekawe było obserwowanie zachowania się żmii gdy zostały otoczone przez dzieci. Węże

zupełnie traciły ochotę do obrony i stawały się łatwą zdobyczą.

W krasowych Alpach Dynarskich na dnie lejów i w poszarpanych zboczach Jedownika, Resonowca czy ~~Črnej~~ <sup>Črnej</sup> znajduje się setki grot i korytarzy. Wybrałem się do największej z nich, do Resonowackiej Peczyny. Tym razem znalazłem <sup>u</sup> towarzyszy - Turka, Serba i Macedończyka. Wyposażenie nasze było ~~sało~~ <sup>skromne</sup> odpowiednie - lampki karbidowe, jedna elektryczna, sznur uchodzący za linę i kreda do znaczenia przebytej drogi. Po długim marszu znaleśliśmy się nad brzegiem ogromnego leja na dnie którego widniał spory otwór. W pobliżu był jakiś chutor, to też znalazło się kilkoro dzieci zaciekawionych naszym przybyciem. Mój Turek, Achmed Mitra, wybrał z pośród dzieciarni rosnącego chłopaka i kazał mu iść z nami na co się chętnie zgodził. Zwróciłem się do Achmeda poco bierze na siebie odpowiedzialność za cudze dzieci, ale odpowiedział mi że wie co robi.

Wejście rozszerzyło się w pieczarę z której na wszystkie strony biegły jakieś korytarze. Szliśmy licząc na intuicję i na szczęście. Trudności były duże, trzeba było uważać by nie zsunąć się w jakieś czarne szczeliny, by nie ześliznąć się z gładkich nacieków, by nie uderzyć w stalgnity i w skupy, wspi-  
naliśmy ~~się~~ <sup>się</sup> na jakieś embody, taplali w błocie, omijali jeziorka a to wszystko w nikłym świetle lampek karbidowych. Cały czas ubezpieczamy się linką. Nie można też głośno mówić bo w tych dziewiczych grotach wstrząs powietrza może spowodować odpadnięcie jakichś stalaktytów. Niestety lampki nie pozwalają ujrzeć całego rozmiaru i grozy jaskinii. Ja już wolę elektrycznie oświetloną i z betonowymi chodnikami grotę Demianoedką w dolinie Jasnej na Słowacji. Tymczasem kończy się karbid a my mimo znaczenia drogi kredą na ścianach nie wiemy którądy iść. Teraz mój Turek objawił swój genialny plan - jeżeli nie wyjdziemy to i nie wyjdzie ten chłopak. Od pozostałych naze-

wnętrz dzieci rodzice chłopca dowiedzą się gdzie przepadł i pójda go szukać. Niby to proste ale nie ~~czę~~<sup>Sydzę</sup> by Europejczyk wpadł na taką myśl. Przypomniałem sobie harcerskie czasy i pozwoli po śladach wyprowadziłem towarzyszy na światło, na słońce, na ciepło.

Inny charakter miała niedaleka wycieczka w górę potoku Unac który płynie w głębokim i stromym kanionie. Jeden z ostrych zakętów potoku umożliwił pozostawienie ze ściany samotnego skupa na którym zbudowano ongiś zameczek. Do jego ruin można się było dostać wspinając się po skałach. Zarys budowli jest dość wyraźny - jest i baszta, sala rycerska, małe izby i podwórze do którego prowadził zwodzony most. Ogólne wymiary są bardzo skromne. Legenda głosi że gdy Turcy oblegali zameczek i żądali wydania pięknej obronczynie, ona rzuciła się w stu metrową przepaść. W miejscu gdzie się roztrzaskała wyrosła czerwona kukurydza. Szukałem jej na dole i rzeczywiście znalazłem roślinę podobną do kukurydzy z krwisto czerwoną kolbą.

Nadszedł czas opuszczenia miejsca ~~parcy~~<sup>pracy</sup>, postanowiłem pojechać "naszą" kolejką<sup>a)</sup> do Szybenika, gdzie ŠIPAD miał swój port ~~gdzie~~<sup>gdzie</sup> przeładowywano drewno na statki z całego świata. Linia kolejki była długości około 200 km i biegła przez góry niezwykle śmiałą trasą. Wystarczy powiedzieć że np. linia z Drvaru do Jajc musiała odrazu pokonać około tysiąca metrów różnicy wysokości. Nie było tam miejsca na trasowanie zakosami, ani wykorzystania tuneli czy wiaduktów. Prowadzono ją jedynymi w Europie "amerykańskim zakosami". Polegają one na doprowadzeniu pociągu do ślepego końca toru, skąd lokomotywa drugim torem przemieszcza się na koniec pociągu i pociąg jedzie na dalszy odcinek w drugim kierunku, bez potrzeby wyko-

✓  
w którym

✓  
Zwyczenie

nania ładu. Rola wielu zestawów kolejki rozjeżdżających się codziennie z Drvar<sup>u</sup> w trzech kierunkach była podwójna - ~~Wzwozi-~~<sup>zenie</sup> ~~z~~ ogromn<sup>ych</sup> pni<sup>o</sup> jodłowych drzew do tartaku i rozwozi~~ła~~<sup>ła</sup> cysten~~ki~~ z wodą na różne ~~Stanowiska~~ stanowiska pracy określane nie nazwą stacji a kilometrem. W niektórych zestawach doczepiano wagonik osobowy na nie więcej jak <sup>nu</sup>dwadzieścia osób i o dwu przedziałach, dla urzędników i dla robotników. Ławki były twarde ale był żelazny ~~kazimierz~~ piecyk do ogrzewania. Z tartaku odwożono także ogromne ilości odpadów które wysypywano do chyba stumetrowej przepęci w której stale buzował ogień, a łąkę było widać na wiele kilometrów. Gdy kolejka wspięła się już na wysoki płaskowyż, krajobraz zmieniał się zupełnie, przed oczyma rozciągało się ogromne pl~~ateau~~ plateau na którym wszędzie przebijała się biała <sup>skale</sup> jak kość stercząc żebrami. Ten kras ciągnie się dalej na północ aż do przepięknych skał i jezior Velebitu. Na tych terenach kręcono wiele filmów których tłem miały być plenery Newady czy Teksasu. Trzeba było 12 godzin by kolejka zjechała w dół do ~~Kin~~ Knina. Na stacjach leżały całe przyzmy śliwek w stosach jak u nas buraki cukrowe, surowiec dla produkcji rakiji. Jedziemy wśród winnic by dotrzeć do Szybenika, miasteczka leżącego nad zatoką o kształcie koła z wązkim wyjściem na morze. Idealne miejsce na port i był tam port marynarki wojennej. Z Szybenika popłynąłem statkiem Jadranskiej Płowibdy do Suszaku.

~~Włochy~~ Święta góra słowiańszczyzny - Triglav

Jugosłowianie uważają Adriatyk jako swoje morze, darząc go słowiańską nazwą Jadran. Po drugiej stronie Włosi są innego zdania. Wówczas posiadłości włoskie znajdowały się również na wschodnim wybrzeżu. Do nich należały enklawa Zadar i wyspy Susac, Lastovo, Ores i Lusiny - dziś jugosłowiańskie. Po wojnie również półwysep Istrii z Rijeką przypadł, czy wrócił do Jugosławii. We Włoszech Mussolini, stojąc na trybunie która zawsze była budowana w kształcie dziobu okrętu, kończył każde swoje przemówienie zawołaniem.

- A chi l'onore ? - i odpowiadano mu

é A noi -

- A chi l'imperó ? -

- A noi -

- A chi l'Adriatico ? -

- A noi -

- A chi la morte ? -

- Ai barbari, ai slavi ! -

Wówczas Suszak był przez środek miasta przecięty granicą wytyczoną w 1919 r. w wyniku romantycznej eskapady Gabriela d'Annuncja<sup>a</sup> w chwili słabości Jugosławii i Istria należała do Włoch.

W Suszaku sensacja - za francuskim frachtowcem przypłynął z Atlantyku rekin i na plaży w Crkvenicy porwał studentkę z Zagrzebia i zranił marynarza. Wypadek ten wywołał panikę na plażach i zakaz kąpieli. Rekina w końcu złapano i wieziono go uroczyście przez miasto. Nie udało mi się przejść w tłumie robotników na stronę włoską, wyłowiono mnie - wdochnie nie pasowałem do nich. Postanowiłem pojechać do Bledu, dokąd miałem zaproszenie rodziców mojej koleżanki Renaty Bischof.



Bled, ongiś siedziba biskupów brikseńskich jest przepiękną miejscowością położoną wokół jeziora, długiego na 900 m i szerokiego na 300 m z wysepką na środku, otoczony szczytami Alp Julijskich sięgających do 3000 m wysokości. Bled był letnią stolicą króla i w lecie przeprowadzał się tam i rząd i dyplomaci. Moi gospodarze posiadali willę "Mirni-dol" w bezpośrednim sąsiedztwie siedziby króla. Willa ta należała do dziadka Renaty sędziego An~~drzeja~~ dreja Ferjančiča, byłego członka parlamentu austriackiego, zwolennika niezależności Słowenii, ~~z~~ należał <sup>on)</sup> do ostrej opozycji co nie przeszkadzało cesarzowi do zapraszania go ~~na przyjęcia~~ na przyjęcia do Burgu i obdarzania orderami. Jako emeryt doczekał się wolnej Jugosławii i wówczas demonstracyjnie wrzucił swe ordery do jeziora.

Na środku jeziora znajduje się wysepka, a na niej 99 stopni prowadzi do kościółka słynnego na cały świat z dzwonu <sup>prosb</sup> ~~zyczeń~~. Legenda głosi że jeżeli ma się jakieś życzenie wystarczy na intencję jego spełnienia zadzwonić, to się spełni. Tych życzeń było tak dużo że dzwon dzwonił prawie bez przerwy. To tak zdenerwowało królową że kazała dzwonice obić matami i jego serce tłucze się w zamkniętej skrzyni. Widocznie Bóg i tak słyszy gdyż i moje życzenie spełniło się.

Mieszkam w willi pani Ferjančič, sąsiadującej z ogrodem królewskim, śpię w domku napalach, obleganym/przez opasłe ryby czekające na odpady z kuchni, a każdego ranka wiosłuję wokół wyspy. Poza przewoźnikami tylko dwie rodziny ma <sup>ja)</sup> (prawo posiadania łódek na jeziorze - król i moi gospodarze. Widuję króla który lubi przechadzać się po ogrodzie i przez płot rozmawiać o pogodzie. Spotykam na mieście królową Marię prowadzącą ~~swego Buicka~~ swego Buicka, obserwuję książąt Tomisława i Adreja jak pięściami

ni załatwiają swe dynastyczne porachunki. Czasem widuję króla w samochodzie zawsze w ożywionej rozmowie ze swymi oficerami. Król miał piękne życie. Jako żołnierz / gwardi walczył w 1903 r. nauki pobierał w Genewie, a jako wódz armii serbskiej brał udział w pierwszej wojnie światowej. Jest on zjednoczycielem Jugosławii i marzył o zjednoczeniu Bałkanów. Zginął w zamachu w Marsylii z ręki rodaka w 1934 r. Po wojnie Jugosławia ofiarowała królewską siedzibę Ticie, ale on wolał przebywać na wyspie Brioni.

Bled ma też ciekawą atrakcję w postaci przełomu Vintgar. Płynie w nim rzeczka w głębokiej szczelinie, która na powierzchni ma szerokość trzech do pięciu metrów. W głębi kilkudziesięciu metrów przewala się wodospadami masa wody. Wzdłuż potoku podwieszono na linach drewniane pomosty którymi w pyle rozpylonej wody i huku spadającej wody, <sup>można</sup> przemierzyć przełom w całej jego długości.

Wybieram się w Alpy Julejskie. Tworzą one dwa pasma, jednym pasmem białych szczytów biegnie granica włosko-jugosłowiańska i drugie pasmo zwane Karawenki. Szczyty sięgają 3000 m a wysokości względne <sup>0</sup> 2900 m. Kulminacyjnym szczytem jest Triglav /2863 m/ pełniący rolę świętej góry słowian. Białe zerwy wąwozów i ścian stwarzają duże trudności wspinaczkowe ale <sup>duże</sup> o wiele miłsze wrażenia optyczne jak czarne ściany tatrzańskie. Dotarłem do schroniska Aljažev-Dom leżący ~~w odległości~~ ~~o 1630 m~~ ~~poniżej~~ ~~szczytu~~ ~~Triglavu~~. W schronisku zastaję turystów austriackich którzy nie wierząc pogodzie zajmują się "morską grą wojenną" która w tym czasie była modna w całej Europie. W holu rozwieszono portrety ofiar ~~gór~~ ~~Triglavu~~. Uderza ich młody wiek, 18, 19 lat, wiek w którym rozwój fizyczny wyprzedza doświadczenie a fantazja przyćmiewa rozsądek. Na przyszły dzień dwie grupy deklarują się iść na

szczyt drogą Tomamonową ale ~~xxx~~ <sup>mgła</sup> ~~pożoda~~ je odstrasza i idę sam, odprowadzany ironicznymi spojrzeniami. Wejście jest znaczone czerwonymi trójkątami. Rychko wychodzę powyżej mgieł i widzę wielką powietrzność drogi, <sup>która</sup> nie sprawia specjalnych trudności. Napotykam stromy próg z którego spada piękny wodospad Peričnik. Jestem teraz nad rozległym białym morzem mgieł, a nademną niebieskie niebo. Przedmą mało odwiedzane szczyty Pihavica i Stercorca. Wychodzę wreszcie na płaskowyż pod Kredaricą, pokryte gładzami i dość niespodziewanie lejami krasowymi. Tu miał się znajdować słynny lodowiec Triglava a zastaję zwykły płat śniegu nadający się najwyżej do jazdy na butach. Powyżej widzę małe schronisko "Triglavski Dom" leżące na wysokości 2500 m. gdzie znowu zastaję towarzystwo które od tygodnia gra w bitwę morską - czyżby przygotowania do najbliższej wojny? Nasuwa się mgła i znowu idę dalej ~~sem~~ na szczyt który mimo że w nazwie ma trzy głowy to w rzeczywistości posiada tylko dwie. Na szczycie stacja meteorologiczna cała obsmarowana ~~xxx~~ ~~xxx~~ ~~xxx~~ nazwiskami niemieckimi, włoskimi chorwackimi i ~~xxx~~ ~~xxx~~ ~~xxx~~ słoweńskimi.

Powrót mam przez dolinę pięciu jezior Triglavskich ~~xxx~~ ~~xxx~~ którym daleko do piękności tatrzańskich Pięciu Stawów. Spotkana straż graniczna jest oczywiście serbska jak zresztą i cała armia, a w każdym razie oficerowie. Wreszcie staję nad olbrzymim cyrkiem jeziora Bohińskiego <sup>gdzie z</sup> ~~z którego~~ prawie litej ~~xxx~~ ~~xxx~~ ściany wytryskuje potężny strumień wody stanowiący początek rzeki Sawy. W dole śmieszne małe domki, drzewa a w jednym z tych domków właśnie zaręcza się książę Kentu z księżniczką Maryną.

Opuszczam Bled i jadę zwiedzić Lublianaę. Jej architektura jest bardzo podobna do architektury Lwowa i Krakowa. Tędy

biegł nurt baroku przez Czechy, Słowację, Galicję aż dalej na wschód. Także język słoweński jest ze słowiańskich języków najbliższy naszemu. Słowenia posiada własną świadomość narodową od IX wieku. Żywe tu były tradycje rzymskie <sup>krędy w temtych</sup> ~~gdyż za tych~~ czasów zwała się Emona. Terytorium Słow<sup>e</sup>acji jest też ciekawe pod względem etnicznym, gdyż mieszały się tu ludy słowiańskie, germańskie i romańskie. Za czasów austriackich każdy chłop władał trzema językami - słow<sup>e</sup>ńskim, niemieckim i włoskim. Po wojnie doszedł jeszcze język jugosłowiański. Trudno zrozumieć jak naród o takich tradycjach i powiązaniach kulturalnych dał się związać z prymitywnymi Serbami. Trudno się dziwić sytuacji w dzisiejszej Jugosławii, zarządzeniami ~~niesz~~ nie da się zmienić historii.

SOAB czyli Zawisza Czarna

W latach trzydziestych wielką popularność zyskały samotne podróże jachtowe wokół świata. Najsłynniejszym żeglarzem był Alain Gerbault. Z zawodu inżynier, w czasie wojny pilot, a z przekonania mizantrop i mizygon. Na jachcie Firecrest przepłynął wpierw Atlantyk a potem cały świat. Książki jego tłumaczone na wszystkie języki, chociaż imponując dokładnością opisów, pokazują ~~autorowi~~ o braku umiaru w obserwacjach co każe mu notować rzeczy i wypadki zupełnie nieciekawe. Wydawać by się mogło że jego podróże polegały na szyciu żagli i pompowaniu wody. Gerbault odgradził się od świata a pisał książki tylko dla zdobycia pieniędzy na kolejne podróże. Pamiętam kronikę filmową na której pokazano jak przyjmował na własnym jachcie Legię Honorową z rąk ministra i jak wyszedł naprzeciw boso i w swetrze. My dopiero teraz doszliśmy do podobnej nonszalancji kiedy oglądam w telewizji jak Hasior w swetrze i rozchłestanej koszuli odbiera odznaczenie w sali Rady Państwa. Gerbault zapowiadał że odkrył na Polinezji wysepkę jeszcze nie znaną światu gdzie osiedlił się na resztę życia. W rzeczywistości nic takiego nie zrealizował i umarł zdaje się na Bali.

Gerbault nie był pierwszym z żeglarzy którzy opłynęli kulę ziemską. Przed nim był starszy pan, ojciec dorosłych dzieci emerytowany kapitan Slocum. Na wiekowym, przez siebie przerebionym jachcie Spray w 1895 r. wyruszył z Bostonu do Gibraltaru, skąd zamierzał płynąć przez Morze Śródziemne, ale zawrócił gdyż grasowali na nim algierscy piraci, opłynął Amerykę Południową i po trzech latach wrócił do Bostonu przepłynąwszy 46 tysięcy mil morskich. Nikt na to nie zwrócił specjalnej uwagi a Slocum przepadł w czasie kolejnej podróży. Po nim Duńczyk John Voss w trzy lata opłynął świat na indyjskim kanoe. Potem

były

były

autora jako  
człowieka

przepadł w zaułkach San Francisco. Po nich byli Mulhauser, Stock, Harry Pidgeon, Thomas Drake. Po Gerbaucie w 1928 r. Atlantyk przepłynął A.W. Robinson. Był to pierwszy żeglarz który podaje ceny takiej wyprawy. Nie uniknął też i niebezpieczeństw, dwa razy pochwycony przez arabskich piratów cudem uszedł śmierci. Wśród takich żeglarzy jest i Polak, harcerz Wagner który na Zjawie przepłynął Atlantyk i gdzieś zagubił się w świecie. Są też i kajakarze - Wiedeńczyk Schneider wypłynął z Nowego Jorku, a jego trupa znaleziono w kajaku na Wyspach Kanaryjskich, zatrutego konserwą. Dzisiaj opływa się kulę ziemską w pełnym konforcie, mapy, radio, łączność satelitarna, wspaniały sprzęt i materiały jachtu czynią tą żeglugę sprawą banalną.

Fascynowały mnie zawsze takie podróże, może nie na skalę Gerbaulta ale tylko tyle by poznać ten inny nieznan mi świat morskiej żeglugi. Wreszcie nadarzyła się sposobność. Generał Zaruski który popadł w niełaskę po zamachu majowym kiedy opowiedział przeciw Piłsudskiemu <sup>za swój obowiązek</sup> <sup>przez</sup> uznał szkolenie młodzieży i przyszłych oficerów (poznanie i opanowanie warunków życia w zimowych wędrówkach narciarskich i pod żaglem. Z oficerami jakoś szło trudno ale w harcerstwie znalazł wdzięcznych podkomendnych.

Zaruskiemu udało się zainicjować kupno dla ZHP fińskiego szkunera który kiedyś woził węgiel. Był to ~~szkuner~~ szkuner o wyporności 275 t, tyle co Santa Maria Kolumba, o 500 m<sup>2</sup> powierzchni żagli. Nazwano go Zawisza Czarny, choć nie jest wiadomem czy rycerz ten widział morze. Pokład był długości 31 m, wysokość kadłuba 8 m, z czego 2 m nad wodą. Szkunera miał trzy maszty o wysokości 34 m i jedną maszt poziomy, bukszpryt. Na bukszprycie były 3 trójkątne sztaksle. Pierwszy maszt, fok miał 3 żagle rejsowe, drugi i trzeci, czyli grot i bezan miały żagle

trapezowe, gafle, nad nimi trójkątne topsle. Za szkuner zapłacono 40 000 zł. Wnętrze przystosowano do potrzeb szkolnych, ale wiele robót pozostało do wykonania. Pod bukszprytem umieszczono rzeźbę dłuta Mścisława Kociejowskiego przedstawiającą popiersie Zawiszy.

✓  
wśród których  
i ja się zna-  
lazłem

Pierwszy rejs dalekomorski do Anglii, Holandii, Belgii i Danii zorganizowano w ten sposób że część załogi miała się składać z harcerzy /18/, część ze studentów Wydziału Inżynierii Politechniki lwowskiej /19/ i 15 zawodowych marynarzy to znaczy oficerowie, bosman, mechanik i kucharz. Harcerzy i studenci opłacali swój udział w kwocie 600 zł /najniższa pensja urzędnika wynosiła 110 zł/ i musieli wykonywać wszystkie roboty pokładowe związane z przystosowaniem jachtu do żegluj*jak* jak wymiana balastu, żagli, olinowania i malowanie. Praca była wykonywana i w dokach <sup>(g)</sup>dańskich i przez cały czas rejsu. Tylko w portach studenci byli wolni od pracy gdyż mieli swój program naukowy. W dokach trzeba było skrobać pokład do czystego gr<sup>e</sup>wna, malowanie <sup>ć</sup>całego <sup>y</sup>jachtu, wymiana <sup>iać</sup>stopnie*na* sztagach, wykonanie <sup>ywać</sup>knagi. Najgorszą pracą była ~~w~~ymiana balastu. Składał się on z odpadowych, żeliwnych topek o wadze około 70 kg, które trzeba było wtoczyć pod podłogę kajut w zębach o wysokości w środku 70 cm i schodzących do klina przy burcie. Wszystko w czerwonym pyłe rdzy i st<sup>ę</sup>arszym upale. Praca trwała po 12 godzin dziennie a zgrubiałe dłonie i palce nie dawały się zwinąć w pięście.

Marjusz  
Wreszcie przyjechał gen. Zaruski. Dużo słyszeliśmy o jego historii i o jego stosunku do załogi. Nie podaję jego życiorysu gdyż jest powszechnie znany. Przyjechał z żoną, panią Izą, ostrą, autorytatywną osobą o długim haczykowatym <sup>ie</sup>nosem, Właściwie nawet się nie przywitał z nami, od razu znikł w swej kabinie, poczem z pierwszym oficerem Janem Kuczyńskim

przeprowadził inspekcję szkunera i zamknął się z nim na wiele godzin. Trzeba było jacht wyposażyć w żywność i urządzenia, zamustrować załogę zawodową i oficerów. Podzielona nas na trzy wachty. Moja wachta dostała ~~xxx~~ się pod komendę młodego oficera z marynarki handlowej Janca. Niczego o nim powiedzieć nie umię, zupełnie nijaki. Dostaliśmy drelichy i amerykańskie czapki marynarskie. Mundury i czapki musieliśmy mieć własne. O jakimkolwiek sprzęcie roboczym i ochronnym można było tylko marzyć. W czasie żeglugi w deszczu i zimnie każdy wciągał na siebie co tylko miał.

W wolne dni chodziliśmy w mundurach do Gdańska. Miasto było obwieszane flagami z Hackekreutzem, młodzież w mundurach Hitlerjugend a także wielu w mundurach SA. W obrazie ulicy nie było słyhać języka polskiego.

Wreszcie 29 czerwca odpłynęliśmy z doku i zawinęliśmy do Gdyni, tu jacht zaprowiantowano, a my jako niby ludzie morza odwiedziliśmy kilka knajp. W jednej z nich jakiś stary seeman pouczał nas jak należy się obchodzić z ~~nożem~~ nożem marynarskim, żeby zawsze kciuk był na trzonku, bo dłoń w chwili uderzenia może się zesunąć i uciąć palce. Jeśli się chce uderzyć nożem ale nie zranić poważnie, należy wskazujący palec trzymać na lewej stronie ~~na~~ ostrza i uderzać ostrzem przesuwając go ku dołowi. Taki cios tnie ubranie i skórę. Także uczył nas jak należy używać żyletki na gumie. Jedną jej stronę, obłożoną tekturą, należy ująć w zęby. Dwa końce gumki przewleczonej przez otwory żyletki ująć w place, naprężyć i puścić ostrze z ust. Wówczas ostrze uderza w twarz przeciwnika i kieruje jego oblicze. Przy pewnej wprawie można łapać w usta żyletkę i ponownie puścić. Instrukcje były ciekawe, choć dzięki Bogu pozostały w pamięci jako cząsta teoria.



Zaczęły się pierwsze rejsy po Bałtyku. Niekorzystne wiatry pędziły nas od Helu do Bornholmu i z powrotem nie puszcza-  
jąc na zachód. Na pokładzie pierwsze ofiary mal de mer. Nie by-  
ło wtedy Aviomariny a generał jako lekarstwo uważał pracę, pra-  
cę i pracę. Tymczasem na jachcie sensacja - znalazł się ślepy  
pasażer. Nie było co z nim zrobić więc poszedł na pomocnika Ku-  
charza którym był pan Szudra legendarny kucharz floty wojennej.

Piotr

Służba na szkunerze była zorganizowana w sposób bardzo  
odległy od prawa pracy. Każda wachta trwała 8 godzin, od 12<sup>h</sup>  
do 8<sup>h</sup> i dalej do 16<sup>h</sup> i do 24<sup>h</sup>. W ciągu trwania wachty trzeba  
było obsługiwać jacht, od steru do oka na dziobie. Jednak kie-  
dy jacht zmieniał kurs zwrotem przez dziób lub przez rufę, ka-  
żda wachta musiała obsługiwać jednę maszt. Niezależnie od w  
wacht były roboty pokładowe, które obowiązywały wolną wachty.  
Trwała one cztery godziny przed południem i cztery po południu.  
W czasie ich trwania wykonywało się wszystkie robory adaptacyj-  
ne na jachcie, a po Kopenhadze doszło jeszcze szycie i wymia-  
na żagli. Przy takim rozkładzie zdarzało się że praca trwała  
i 24 godzin. Zасыpiało się stojąc. Czy to było wychowawcze nie  
wiem ale wielu z załogi miało wszystkiego i dość i już nigdy  
nie weszło w przyszłości na pokład żaglowców.

Wyżywienie było bardzo marne. Codziennie cornetboef, au-  
stralijska konserwa smaczna za pierwszym razem, znośna za dru-  
gim razem, niemożliwa za trzecim. Ziemniaki, zupa nieokreślo-  
nego smaku i kompot ze śliwek a raczej z jednej śliwki. Do te-  
go czerstwy chleb, szybko zieleniący, nierzadko z długimi, xk  
białymi robakami. Dopiero w portach z rozkoszą biegliśmy ku-  
pować owoce czy kanapki w automatach. Nazywało się że generał  
próbuję zawsze jedzenia, ale jak podpatrzyliśmy messa oficer-  
ska miała całkiem inne jedzenie, były i jarzyny i ryby kupo-

wane na morzu od rybaków. Do messy wstęp był surowo wzbroniony, a szczególnie oburzał fakt obecności na statku żony pierwszego oficera.

Woda pitna była ze zbiornika za klozetem, kiedy w Gdańsku czyściliśmy go z grubego, śmierdzącego osadu, brud zeszedł ale zapaszek został.

Generał rzadko kiedy pokazywał się na pokładzie, nie prowadził żadnego instruktażu ani pogadań. Widocznie uznał że otrzymane przez nas skrypty i zdany egzamin nam wystarcza. Jednak każdą noc generał spędzał na rufie która na żaglowcu spełnia rolę mostku kapitańskiego. Rufa to było święte miejsce można tam było się zjawić tylko służbowo lub w czasie służby przy sterze.

Warto było się przyjrzeć urządzeniom ratunkowym. Na pokładzie znajdowały się trzy szalupy, akurat dla połowy załogi. Każdy z nas miał w koi lub w hamaku pas ratunkowy, ten korkowy namakał po piętnastu minutach, lepszy tapiokowy namakał po czterdziestu pięciu. Były trzy korkowe koła ratunkowe, ale jeden zrzucony w czasie ćwiczeń do morza utonął nim go złapano. Następny otworzony z ciekawości, pokazał zupełnie zgniłe wnętrze owinięte lakierowaną na biało ceratą. Również w czasie ćwiczeń rzuciliśmy na wodę granat, według przeznaczenia miał wybuchnąć z hukiem zamiast działka okrętowego, aby wezwać pomocy. On też zatonął w milczeniu, nie dziwnego następny pokazał wnętrze wypełnione gazetami. Radia oczywiście nie mieliśmy. Te wspaniałe urządzenia ratunkowe dostarczyła nam firma zaopatrująca marynarkę wojenną. Niech ich Bóg ma swoje opiece. Apelowaliśmy do generała aby wystąpił w tej sprawie do sądu, ale dalszego ciągu nie było.

Ochrona pracy wogóle nie istniała. Pod bukszprytem nie

było. Żeglarz który by przy obsłudze foka spadł do wody znalazłby się odrazu pod kadłubem statku. Nie było żadnej asekuracji przy robotach wysokościowych, a maszty sięgały <sup>34</sup> ~~24~~ m. Praca przy maszcie jak np. jego oskrobywanie robiło się z ławeczki bosmańskiej, to jest deszczółki zawieszanej na pojedynczej linie, przywiązanej jednym węzłem do knagi przy pokładzie. Wystar<sup>f</sup> niedbałe zawiązanie linki czy utrata równowagi żeglarza przy ~~chwilejbie~~ <sup>chwilejbie</sup> kiedy maszt jak olbrzymia wżakzówka przechyliła się raz na prawo nad wodę, a za chwilę <sup>f</sup> wany ruchem przez pokład na lewo nad wodę. Nie było zabezpieczenia przeciwpożarowego, nie było gaśnic a nawet zwykłych wiader. Nie było żadnej instrukcji, a tylko raz mieliśmy alarm pożarowy który się skończył na zbiórce na pokładzie. Opieka lekarska nie istniała, nikt nas nie badał przed rejsem. Na pokładzie była jakaś postać mityczna lekarza druha <sup>f</sup> Czemplika, który znikł bez śladu w Londynie. Dziw bierze że na jachcie nie zdarzył się żaden wypadek. Czy generał zdawał sobie sprawę z takiego stanu nie wiem, może uważał ~~xxx~~ to za metodę wychowawczą, może nie było środków, a może on który pływał na statkach rosyjskich był przyzwyczajony do tamtejszego ekwipunku.

✓  
czyto

✓  
by spaść  
~~do wody~~  
do wody.

✓  
Bernarda

było. Żeglarz który by przy obsłudze foka spadł do wody znalazłby się odrazu pod kadłubem statku. Nie było żadnej aseku-  
 racji przy robotach wysokościowych, a maszty sięgały <sup>34</sup> ~~24~~ m. Pra-  
 ca przy maszcie jak np. jego oskrobywanie robiło się z ławeczki  
 bosmańskiej, to jest deszczółki zawieszanej na pojedynczej lin-  
 ce, przywiązanej jednym węzłem do knagi przy pokładzie. Wystar-  
 niedbałe zawiązanie linki czy utrata równowagi żeglarza przy  
~~chwiejbie~~ <sup>chwiejbie</sup> kiedy maszt jak olbrzemia wzakzówka przechyla się  
 raz na prawo nad wodę, a za chwilę <sup>prwanym</sup> ruchem przez pokład  
 na lewo nad wodę. Nie było zabezpieczenia przeciwpożarowego,  
 nie było gaśnic a nawet zwykłych wiader. Nie było żadnej instru-  
 kcji, a tylko raz mieliśmy alarm pożarowy który się skończył na  
 zbiórce na pokładzie. Opieka lekarska nie istniała, nikt nas  
 nie badał przed rejsem. Na pokładzie była jakaś postać mityczna  
 lekarza druha <sup>Czemplika</sup>, który znikł bez śladu w Londynie. Dziw-  
 bierze że na jachcie nie zdarzył się żaden wypadek. Czy generał  
 zdawał sobie sprawę z takiego stanu nie wiem, może uważał ~~je~~  
 to za metodę wychowawczą, może nie było środków, a może on który  
 pływał na statkach rosyjskich był przyzwyczajony do tamtejszego  
 ekwipunku.


czyto

by spaść  
~~do wody~~  
 do wody.

Bernarda

Rejs do Londynu

W Kopenhadze stanęliśmy na redzie królewskiego Jacht-Clubu. Nie było żadnego programu turystycznego, żadnych przewodników. Starsi koledzy potrafili tylko zaprowadzić do muzeum Thornwaldsena w którym jego zwłoki spoczywają w towarzystwie ogromnej ilości kopii jego rzeźb. Jest tam i kilku Poniatowskich i kilku Koperników i wiele innych bezbłędnych w analizie ciała ludzkiego, piękne<sup>ych</sup> nagością, nie rozumię dlaczego współcześni rzeźbiarze jego się wyrzekli. Dla równowagi psychicznej poszliśmy do browaru Jacobsena Carlberga. Dla scharakteryzowania jego wielkości podać że produkuje 2 miliony butelek dziennie. Firma ta jest fundatorem wielu inwestycji kulturalnych.



Znalazłem sobie inny sposób zwiedzania miasta. Przystąpiłem do uśmiechającej się dziewczyny i od razu znalazłem inteligentną rozmówczynię, była to ~~Brita~~ Brita Jonson. Pokazała mi pałac królewski gdzie gwardziści królewscy w bermützach pełnią wartę, ale są tak zdemokratyzowani że pozwalają się fotografować pod rękę z turystkami. Oglądaliśmy pełną wdzięku syrenkę siedzącą na głazie u wejścia do portu, w cywilu córkę burmistrza, jakże różną od nadętej syreny warszawskiej. Oglądaliśmy pomnik bogini Gefion która wołami wyorała Danię od półwyspu Skandynawskiego. Bawiliśmy się w Tiwoli, ówczesnym największym w Europie parku zabaw. Gdy wracałem na szkuner zobaczyłem że dyżurna szalupa odpłynęła od mola, ~~na szkuner~~. Kto nie zdążył, zostawał na mieście bez noclegu i kolacji. Zaniepokoiłem się ale Brita rzekła z uśmiechem że jej ojciec jest bosmanem w Królewskim Jacht-Clubie, zeszła nad wodę i po chwili przypłynęła <sup>(motorowa)</sup> szalupa z oznakami klubu i popłynęliśmy na jacht, wymijając i salutując generała we wiosłowej szalupie i z gnością wstąpiłem na trap. Potem było kilka listów i Brita zaginęła w niepamięci jak wiele innych ludzi.

Zakupiliśmy zwoje żagli i odpływamy. Mijamy wyspę Femarn koło której przed laty wywróciła się kilem do góry niemiecka szkolna fregata Niobe i gdzie zginęło 30 młodych żeglarzy. Przypomniało mi to że przed dwoma laty zniknęła bez śladu na Pacyfiku szkolny żaglowiec duński Kjöbenhavn.

Mijają nas polskie statki wycieczkowe Kościuszko, Polonia i jej bliźniaczy statek ale pod radziecką flagą Feliks Dzierżyński. Wpływamy w Kanał Kilonński, wielką budowę z 1895 r. Kanał jest długości 99 km, szeroki na 103 m i głęboki na 11 m. i z obu stron zamknięty śluzami. Wielkim dziełem inżynierii jest nie tylko kanał ale i 11 mostów, których światło wynosi po 42 m.

Jeden z nich w Rendsburgu ma stalową estakadę długości 7600 m i przeszło nawodne <sup>o</sup> ~~ma~~ rozpiętości 2500 m. Bardzo ciekawy jest stalowy łuk w Levensau o rozpiętości 300 m. Piszę o tym dlatego że zaskakuje się nas sukcesami dzisiejszej techniki zapominają<sup>c</sup> że istnieje już od dziesiątków lat wiele dzieł techniki których realizacja w obecnej dobie byłaby niezmiernie trudna.

Wpływamy w ujście Łaby i nim na morze Północne. Na trasie mijamy Helgoland i żagle opadają jak stare szmaty, nastaje sztil, jacht jest unieruchomiony. Wprawdzie mamy silnik spalinowy i śrubę ale służy on tylko przy wejściach do portów. Sztil trwa już trzeci dzień. Na jachcie zarządza się ćwiczenia szalupowe, pływanie i egzaminy na sternika morskiego. Ciśsza trwa nadal, za długo. Wreszcie generał pisze uroczysty list do Neptuna o spowodowanie wiatru. List jest pisany piórem mewy które znalazł ongiś na łotewski<sup>e</sup> plaży. Idzie na rufę i rzuca przez lewe ramię pismo w morze. Można wierzyć lub nie wierzyć ale cała załoga widziała jak morze się zmarszczyło i żagle zaczęły się wypełniać wiatrem. Płyniemy !

Wpływamy, ale już z pilotem, Tamizą do St. Katharin Dock tuż obok Tower Bridge<sup>e</sup>. ~~W jaki sposób~~ W jaki sposób ogromne cielisko szkunera zdołało się przepchać przez wąskie wodne korytarze, między magazynami z ubiegłego stulecia, przez małe baseny na wskazane miejsce, tego nie pojmuję. Ażeby powiększyć trudności to tu poziom wody w ciągu dnia dwa razy zmienia się o sześć metrów, a Tamiza raz płynie w stronę morza, a potem wraca z przypływem ~~w górę miasta~~ z prędkością 3 m/s w górę miasta.

To był mój pierwszy pobyt w Londynie. Po wojnie byłem kilka razy, a nawet pracowałem krótki czas w firmie BRECO

/British Ropeway Engineering Co.Ltd./ jako konsultant. Równocześnie pracowałem razem z tłumaczem ~~mojej książki~~ inż. Zygmuntem Frenklem nad korektą mojej książki wydawanej przez Pergamon Press w Oxfordzie. Pozostawiam sobie zatem Londyn i moje w nim przeżycia na dalsze karty. O jednej wizycie chciałbym wspomnieć gdyż problem ten jest stale dla nas aktualny. Zwiedziłem zakłady Forda w ~~Greenwich~~ Greenwich produkujące samochody osobowe i traktory. Ford zapewnił dla swej fabryki zaspokojenie wszystkich potrzeb, od dostawy rudy do własnej huty, po budowę osiedla dla 180 000 ludzi. Na jednej <sup>i</sup> zmianie pracowało 7000 ludzi. Przy fabryce była szkoła dla przyszłych pracowników, bufety, stołówki, parkingi i td. Dzienna produkcja wynosiła przy sytemie taśmowym 400 samochodów i 60 traktorów. Cena samochodu loco fabryka wynosiła ~~11x648x\$xxxxlixxxxxx~~ 2875 zł czyli 709 \$, a w kraju 6000 zł czyli 1481 \$.

z Londynu

Z ciekawszych zdarzeń rejsu (do Antwerpii było przepłynięcie 88 km korytem Skaldy które o mało nie skończyło się katastrofą w śluzie. Znajdowaliśmy się w <sup>niej</sup> śluzie w grupie kilku statków różnej wielkości, czekających na jej otwarcie. W pewnej chwili widzimy jak ogromny masyw jakiegoś węglowca zbliża się do naszej burty wypychając szkuner na kamienne ściany doku. Węglowiec ten poruszał się tylko dzięki swemu bezwładowi, a mając wyłączony napęd nie mógł wykonać żadnego manewru. Musieliśmy własnymi rękoma <sup>o</sup> jego wysokie jak kamienica cielsko. Nie wierzyłem że to może się udać, ale powoli, powoli udało się nam go odepchnąć. Załoga węglowca patrzyła z wysokości swej burty dość obojętnie, zresztą i tak nic pomóc nie mogła.

odepchnąć

W przeciwieństwie do flegmatycznej ale skutecznej obsługi portu w Londynie, tu byliśmy świadkami bieganiny i nieporadności krzyjących Flamandów. W końcu ustawiono nas koło pięknej fre-



który zabił olbrzyma imieniem Drven Antigen mającego zwyczaj spożywania co roku najpiękniejszą dziewczynę. Stoi teraz na kupie kamieni nagi młdzieńiec i pokazuje obciętą dłoń olbrzyma, którego ciało leży u stóp pomnika i tryska wodą ze wszystkich ran. Pan Brabo oczywiście ożenił się z księżniczką która miała być kolejną ofiarą. Ciekawe że smok wawelski miał podobne obyczaje.

Koło pasażerskiej przystani wznosi się ponury zamek ~~xxxxxx~~ Steen zbudowany w X wieku. Tu w imieniu chrześcijańskiego miłosierdzia Inkwizycja skazywała na łamanie kołem, na wykrwawienie się w kolczastym wnętrzu żelaznej dziewicy i na wiele innych tortur których narzędzia ozdabiają ściany. Wśród nich również są pasy cnoty, nie wiem czy jako wota.. Drugie takie muzeum mieści się w baszcie ~~x~~ Grubej Bercie w Norymberdze ale eksponaty nie różnią się, widocznie w tych sprawach istniał jakiś standart europejski. Nie można opuścić muzeum sztuki flamandzkiej. Rubens i Van Gogh, obrazy znane z reprodukcji tu zaskakują mnogością barw i ogromem ciał ludzkich. Szalone fantazje de Vos<sup>a</sup>, de Vriendt<sup>a</sup> czy J. Boscha pełne dziwoludów o kształtach jakie mogą się przyśnić chyba narkomanom. Zwierzęce pyski na ludzkich korpusach, włosy ze żmij, dłonie i stopy zbrojne w pazury, miast podbrzuszy sępie dzioby. Kotłują się, włączają ze świętym Michałem na obrazie Floris<sup>a</sup>. Koniec świata von den Broeck<sup>a</sup> z ~~10~~ 1350 r przygniata ponurymi barwami. Zmęczone oczy przerzucam na słodką twarz "Vierge et l'enfant Jésus" i na nasycone czystymi barwami jej szaty by znaleźć odpoczynek. Poważna w swym macierzyństwie mimo jeszcze młodego wieku, spogląda Matka Boska na swego syna. Kształty wystylizowane, ruchy zastygłe, wygląda to na dzieło ostatnich lat, ale ~~data~~ jest popis Fouquet 1415-1485. To były czasy kiedy w podróży zwiedzało się muzea, dziś zwiedza się targowi-

ska i pornoshopy.

Jedziemy pociągiem do Brukseli gdzie dział<sup>a)</sup> Wystawa Światowa i pokłonić się Manneken Piss'owi. Przed wielu laty czteroletni bąk jednego z obywateli miasta oddalił się z domu i przepadł. Odnaleziono go w końcu w miejscu w którym wzruszony rajca postawił pomnik-fontannę w demokratycznym geście w jakim go znaleziono. Niespokojna dusza pozostała i w figurce. Raz uciekł z pewnym Anglikiem aż do Grament skąd go z trudem sprowadzono. ~~Drugim~~ Drugim razem, za Ludwika XV uciekł z pewnym Francuzem aż do Paryża skąd wrócił we wspaniałej sukience i z orderem św. Michała. Od tego czasu uzbierał sobie dziesiątki garniturów w które przebiera się przy różnych okazjach.

Katedra św. Goduli<sup>i</sup> wiekiem sięga XII stulecia. Budowę jej zaczęto w 1220 r. jednak aż po rok 1900 nie ustawał<sup>a)</sup> praca. Ile set tysięcy rąk się zmieniło modelujących jej kształty, ile mózgów wzrosło i skrzepło w jej cieniu, a jednak budowla ta jest zwarta, logiczna i jednolita w charakterze. Wydaje się że gotyckie katedry mają swą duszę która rodzi się z chwilą rozpoczęcia budowy i rozwija się na przestrzeni wieków. Wydaje się że majstrzy, architekci, malarze, ciągle inni, stanowią cząstki jej pokarmu z których mocy i sprawności tworzy swój kształt. Pod jej łukami spoczywa wielu królów, ostatnio dołączyła do nich piękna królowa Astrid która zginęła w katastrofie samochodowej.

Wystawy Światowa wydawała się wówczas przedsięwzięciem imponującym, dziś wątpię czy ktokolwiek by ją zauważył. Teren jej zajmowało 140 gmachów. Uwagę zwracał pawilon "Życia Katolickiego" pierwsza manifestacja religii na wystawie. Pawilon ma trzy kondygnacje. Na górze w świątyni pustki, w pośrodku wystawa Akcji Katolickiej, także pustki, za to w podziemiach przepełniona restauracja. Symbol czy przypadek? Włochy Mussoliniego wybudowały aż

14 pawilonów. Polska ma skromny pawilonik postawiony prywatnym kosztem przez Belgę, honorowego konsula polskiego. Największe powodzenie ma Wesołe Miasteczko w który stoi druga w Europie, po Moskwie, wieża spadochronowa wysoka na 35 metrów. Nie wielu było amatorów skoków. Wyjechałem windą na górę i otworzono pręt balustrad. Trudny był moment decyzji skoku, ale lot tak mi się podobał że skoczyłem i po raz drugi.

Odpływamy korytem Skaldy. U jej ujścia napotykamy silny sztorm który wtlacza w koryto rzeki potężne fale i wiejewdziób tak silnie że nasz motorek nie może podołać. O manewrach żeglarzy niema mowy z powodu braku miejsca. Szkuner zaczyna się cofać. Rzucamy 30 m łańcucha kotwicznego. Jest to niemiły dźwięk dla żeglarza, oznacza godziny żmudnej pracy przy brzuszpilu dla jej wyciągnięcia. Nastaje cisza na jachcie i zostajemy oddani na kaprysy wiatru i łupiestwo holowników które tylko polują na takie okazje. Do tego mechanik raportuje o pęknięciu głowicy silnika.

Dlaczego to się stało? Z całkiem prostej przyczyn - oficer służbowy, młodzik w tym fachu, napisał w dzienniku okrętowym jako cel podróży ~~Amster~~ Amsterdam. Wielki grzech przeciw tradycjom morskim zabraniającym wszelkich manifestacji zrozumiłości ludzkich. Neptun żąda by zdać się na jego wolę bez zastrzeżeń i tylko wtedy doprowadzi do celu. Z przypływem wracamy do Antwerpii i wpływamy do awaryjnego doku. Zasuwiają się bramy i woda ucieka z pod jachtu podziemnymi kanałami. W miarę ubytku wody robotnicy klinują belkami kadłub szkunera, którego kil spoczął na stopkach na dnie doku. Rozpoczyna się praca dokerów nad remontem śruby, silnika i kontrola kadłuba. My mamy wreszcie spokój i jakieś wykłady z nawigacji, oraz na spacerach po mieście. Po kilku dniach odpływamy. Płyniemy pomiędzy podwodnymi ławicami piasku i brzegami Holandii. Tymczasem wiatr słabnie, żagle ciężko opadają na gaflach a silny prąd przy-

brzeżny pcha nas wstecz. Motor nie jest w stanie temu zaradzić. Zarzucamy kotwicę w i stajemy w podwodnej zatoce o głębokości 8 m co nas zabezpiecza przed najechaniem przez jakiś statek. Możemy spokojnie przeczekać sztorm. Stoimy tak trzy doby. Z oceanu przychodzi martwa fala, taka ~~jak~~ <sup>która</sup> (zwala z nóg najwytrawniejszego marynarza. Sztormowe fale ~~gxxx~~ znacznie łatwiej jest znieść, statek rozhušta się, potem uspokoi, a czasem gdy go wiatr od dzioba przydusi do wody, a fala idzie od dzioba wogóle nie czuć kołysania. Martwa fala jest to fala idąca z dalekiego oceanu, przy bezwietrznej pogodzie i będąca pozostałością jakiejś burzy czy huraganu. Idzie ona równoległymi falami a powierzchnię ma gładką. Ponieważ nasz jacht jest na kotwicy więc musiał się bezwolnie ustawić dziobem do prądu idącego wzdłuż wybrzeży a równoległe do fali którą dostajemy od burty. Niesamowitą chwiejbę potęgował ~~gxxx~~ <sup>brak</sup> głębokiego kila i zwinięte żagle. Wszystko to razem powoduje stałą i głęboką chwiejbę na co silnie reaguje żołądek. Chorują wszyscy, nawet generał. Tu trzeba wspomnieć że generał miał prawo rzygać i odlewać się pod wiatr czyli na nawietrznej burcie. Ten przywilej przysługuje żeglarzom którzy opłynęli przylądek ~~Na~~ Horn. Dla nas była burta zawietrzna. Na chorobę morską generał miał jedno lekarstwo - pracę. Zieloni na twarzach, głodni, obrzygani musieliśmy się piąć po wantach, wymieniać jakieś liny, jakieś stopnie, a sen żadnej ulgi nie przynosił. Wreszcie i to minęło i płyniemy do Amsterdamu do którego przybywamy przez Nord-Kanal.

Ówczesna Holandia była krajem anachronicznym. Anachroniczny był ostry podział społeczeństwa na dwie żyjące odmiennym życiem grupy - katolików i protestantów. Seperacja już poszczególnych rodzin szła tak daleko że w mieście w budynkach kilku kondygnacyjnych na każd<sup>e</sup> piętro prowadziły osobne schody od poziomu ulicy. Samo miasto było zbudowane na błotach i otaczało się szerokimi kanałami odwodniającymi które narastały z rozrostem miasta. Tak powstały kolej-

ino kanały : Herrengracht z 1585 r, Kaizergracht z 1593 r, Parisen-gracht z 1622 r i największy Singelgracht z 1658 r zamykający obszar 726 ha. Teren ten jest ciasno zabudowany kamienicami o wązkich frontach. Gotyckie elewacje pochylają się pod różnymi kątami nad ulicami wprowadzając niepokój w płszczyźnie ścian ulicy. Są to skutki osiadania pali na których stoją domy. Krzywej wieży a raczej kamienicy w Toruniu kłaniają ~~si~~ się tysiące krzywych kamienie z Amsterdamu.

Czeka nas zwiedzanie Zuidersee. Jest to płytka zatoka o ~~powierz~~ powierzchni tysiąca kilometrów kwadratowych która w dawnych wiekach była żyzną ziemią zamieszkałą przez rybaków, dopóki w 1421 r w związku z zapadaniem się tej części Europy morze wdarło się i zatopiło 72 wsi i zginęło około stu tysięcy ludzi. Woda poniechała tylko wioskę Marken <sup>która</sup> została, tworząc wyspę istniejącą do dnia dzisiejszego oazę etnograficzną. Kolejne katastrofy nastąpiły w latach 1520, 1634 i 1825 r. W 1929 r. powstał plan zamknięcia zatoki tamą długości 30 km i wysuszenia 600 000 ha pod uprawę. Niemcy w czasie wojny przerwali tamy i zalali te tereny. Dopiero po wojnie roboty~~z~~ zostały skończone. Na tamie oczekują nas inżynierowie i razem zwiedzamy roboty. Teren osuszają pompy przepompując dziennie 2,5 mln litrów wody, a osuszany teren leży o 8 m poniżej poziomu morza. Zabawne że ta ogromna budowa musiał<sup>a</sup> zostać wstrzymana ponieważ zabrakło amatorów na kupno działek. Metr takiego polderu kosztował tylko 12,25 zł. Dziwnie wygląda osuszony teren - brak roślinności poza chwastami, drogi z klinkieru bo grunt nieustalony, domy bez otaczających je drzew i kwiatów. Nieme ptaków tylko świerszcze bzykają. Główna tam<sup>a</sup> Wierungen ma długość 32 km i u podstawy ma szerokość 11 do 19 m. Po niej biegnie autostrada do Frylandii. Jej budowa trwała od 1927 do 1932 r. Samej ziemi nawieziono 45 mln m<sup>3</sup> czyli równowartość sześciemu o boku 212 m. W 1953 r przyszła kolejna katastrofa, woda zalała 1500 km<sup>2</sup>, zdołano jednak ewakuować 72 000

ludzi a 1800 utonęło. Wreszcie Holendrzy mieli tego dość i w 1953 r. sporządzili całościowy plan Delta obejmujący budowę ujęć wszystkich cieków i śluz.

Opuszczam<sup>my</sup> Holandię i płyniemy w stronę Kanału Kilońskiego. Przepływamy koło ~~ix~~ pływających latarni morskich Elbe-7, Elbe-6 no i Elbe-1, by wpłynąć do śluz. Nocą płyniemy przez kanał i raptem podrywa nas alarm. Przyczyna zabawna i niezwykła. Kiedy nasz szkuner zatrzymał się z powodu mgły i stał spokojnie przy brzegu przepływał obok duży parowiec wzniesając falę. Fala podniosła jacht i osadziła go na mieliźnie. Sytuacja była trudna - na własnym motorze ~~mix~~ jacht nie miał siły do zejścia z mielizny. Przerzucenie cumy na przeciwległy brzeg nie było możliwe z powodu ruchu statków, na holownik nie mieliśmy pieniędzy. Neptun nie był złośliwy, przepływał jeszcze większy statek i jego fala zepchnęła nas na głębinę. Statek w powrot<sup>nej</sup> drodze tak jak koń do stajni, czy samochód do garażu, już się nie psuje.

Na wyścigi z cyklonem

Bałtyk, nasze morze. Mija nas polski węglowiec "Cieszyn".  
 Obyczajem morskim salut w pierwszym rzędzie należy się jednostkom  
 marynarki wojennej, potem żaglowcom. Węglowiec powinien salutować  
 pierwszy. Mowy niema, my salutujemy pierwsi, gwizdek na baczność,  
 opuszcza się bandera a z węglowca nikt nawet nie spojrzął. Morskie  
 polskie chamstwo i to był jedyny polski statek spotkany na Bałty-  
 ku.

Mijamy Rugię, w zabudowaniach koło latarni <sup>mor</sup> ~~nie~~jskiej ktoś  
 wciąga flagi kodu międzynarodowego alfabetu VH "jak się nazywa-  
 cie", służbowy wciąga kolejno ~~SyxOx~~ S, O, A, B, jest to nasz  
 międzynarodowy znak pod którym widniejemy w Lloyds Register of  
 Shipping. Otrzymujemy odpowiedź RYU "szczęśliwej podróży" i od  
 nas RBA "do widzenia".

Całą dobę z dużą siłą dmie westwind, barometr na 74 kresce.



√  
-tej

~~Stoję przy karku~~ Jesteśmy na drodze depresji, więc o niespodzianki łatwo. Barometr spada o dalsze dziesięć kressek. Na zachodzie sunie ciemna chmura i rozciąga się po horyzont, wkrótce cała zachodnia połać nieba tworzy szaro-czerwoną kurtynę. Barometr spada do 60<sup>√</sup>kreski. Przygotowujemy się do walki ze sztormem. Zwiija się żagle topsle, gafle. Na widnokręgu jakiś "rybak" robi to samo. Barometr spada. W międzypokładzie przywiązuje się sprzęty, gramofon wędruje do koi. Świetlnie nakrywa się brezentem i ściąga śrubami. Jak nas nie rzuci o brzeg to cała nadzieje w kotwicy. Z oka biegnie okrzyk "ład na kursie", po chwili ład z obu burt. Cuda czy szaleństwo, jesteśmy przecież na pełnym morzu, 50 mil od niemieckiego brzegu i 100 mil od szwedzkiego, a przed dziobem to aż Kłajpeda. Nie wierzymy oczom, ale rzeczywiście od północy przez wschód do południa ciągnie się półkole lądu. Płyniemy prosto na brzeg. Lecz cóż to? Brzeg powoli się podnosi i w szparze prześwieca światło - fatamorgana. Barometr jest na 53 kresce, taki stan na Bałtyku zdarza się raz na kilka lat. Goni nas cyklon. Czerwona chmura czernieje. Mewy uciekają w stronę brzegu. Fala rośnie. Z <sup>a)</sup>przej burty podchodzi pasenka lądu i wkrótce widzimy latarnię na Rozewiu. Jeżeli cyklon nas dogoni to czeka nas kilkunastodniowe sztormowanie i zawleczenie na brzegi szwedzkie lub wschodnio-pruskie. Wyścig z cyklonem trwa. Jeżeli zdążymy za cypel to możemy sobie kpić z cyklonu. Mijamy Jastarnię. Jeszcze godzina, półtora a zwyciężymy. Motor pracuje bez przerwy w nim cała nasza nadzieja. Barometr stanął na ~~53~~ 53 kresce. Mijamy wreszcie szerokim łukiem ~~półwysep~~ półwysep helski. Zwyciężyliśmy, był to 13 sierpnia 1935 roku.

Trudno mi określić jaki był ostateczny bilans tego rejsu. Wielu z nas schodząc na ląd w Gdyni mówiło "nigdy więcej". Ja także powtórzyłem nigdy rejsu w takich zgrzebnych warunkach zatraćających w obyczaje ubiegłego wieku. Gdy dziś czytam o luksusowych warunkach naszych żeglarzy pływających na jachtach za państwowe pieniądze,



gdy czytam o marynarzach statków handlowych o ich dochodach, dowożenia załóg rybackich samolotami, to nie znajduję żadnej okazji do porównań, to inny świat. Dzisiaj taki rejs sportowy to setki komunikatów w prasie, w telewizji, w radiu. To wizyty konsulów na pokładzie. Nasz rejs nie miał żadnej reklamy, po powrocie parę artykułów w prasie morskiej. Sam je mam na sumieniu. Żadnych nagród dla nikogo. W każdym porcie generał zgodnie z protokołem dyplomatycznym ~~w~~ ~~każdej~~ ~~stolicy~~, w mundurze z orderami wizytował konsula, ale ani razu nie było rewizyty na pokładzie. Co panów z plecówek obchodzili chłopcy na szkunerze. Tylko raz, a było to w ~~Antwerpi~~ Antwerpii kiedy z Polski przyjechał kierownik harcerskich drużyn żeglarskich dh. Bublewski, to z nim przyszedł konsul i pokazał swój gest - zafundował po trzy ~~złoty~~ żetony do automatu z kanapkami.

Generał o tym rejsie napisał książeczkę pt. "Z harcerzami na Zawiszy Czarnym" w której wszystko jest tak wygładzone, tekie bezkonfliktowe że nie poznaję samego siebie. Ja napisałem z tej podróży zbiór reportaży pt. "SOAB". Była to książeczka młodzieżowa, grzeczna i entuzjastyczna. Generał napisał mi do niej wstęp, a generałowa zrobiła dokładną korektę. Korygowała ona także wszystkie prace męża. Odwiedzałem ich na Żoliborzu. Mieli dom który był prawdziwym muzeum marynarskim i zbiorem obrazów pędzla generała. Niemieckie bomby w 1939 r. zniszczyły ich dom.

Moją książeczkę zakupiła Księgarnia Wojskowa", ~~z~~ dała zaliczkę sto złotych i ...wybuchła wojna. Raz jeszcze spotykałem się z generałostwem jesienią 1939 r. we Lwowie, ale o tym w innym rozdziale. Raz jeszcze spotkałem generałową w 1969 r. kiedy przyjechała do Zakopanego na otwarcie domu turystycznego imienia Zaruskiego. Zmarła w 1971 r.

Nie wróciłem pod żagle, Nie było ku temu warunków, a potem sytuacja w żeglarskim świecie przeszła tyle zmian że moje przeżycia to bardzo stara historia. Nie wielu z nas dawnych żeglarzy Zawiszy pozostało

~~Wszystko to było w rzeczywistości~~

wiernych morzu. ~~Szy~~ Marek Szymborski jako profesor fizyki morza został działaczem ~~Jachtklubu~~ Jacht-Klubu. Tadeusz Lempicki w latach czterdziestych, nocą w czasie ulewy zaokrętował na jachcie żonę i matkę i sam, bez świateł umknął do Szwecji co stało się sensacją światową. Co stało się z innymi, nie wiem. Różnie się potoczyły nasze dzieje, w każdym razie poznałem niezły kawałek życia.

### Bucuresti

Dostałem praktykę w Bukarezscie, w firmie<sup>o</sup> Inżynier Emil Prager, Constructiuni, Beton armat<sup>ii</sup>. Firma była własnością Belgów, cały przemysł wówczas był w obcych rękach. Przedsiębiorstwo miało ogromny zakres prac, od pałacu królewskiego po zapory wodne i wieże antenowe. Mnie skierowano do pałacu królewskiego, ale po stwierdzeniu że jestem obcokrajowcem, wyrzucono. Zostałem w biurze, gdzie robiłem jakieś małe projekciki i chodziłem na kontrole budowy tak zwanych wówczas wysokościowców w mieście. Takie to znowu wysokościowce nie były, ot siedem, osiem pięter, budowane z żelbetu. Muszę przyznać że jak stwierdziłem w 1966 r. wszystkie one wytrzymały trzęsienie ziemi, czego nie można powiedzieć o domach z wielkiej płyty. Jeżeli jeszcze dodam że łatwo dostawałem urlopy na zwiedzanie kraju, to właściwie wszystko o mojej praktyce.

Mieszkałem w Peşiumi Mussolini przy Piazza Mussolini. Nie byłem sam, wraz ze mną mieszkali tysiące pluskiew. Nie pomagało wstawianie nóg łóżka w naczynia z naftą, spadały z sufitu. Jak one na to wpadły, spadochroniarze? Ale ja już z pluskwami się spotykałem i przyg<sup>to</sup>owałem się do tego jeszcze w domu. Matka uszyła mi worek z prześcieradła w który wchodziłem nago i zawiązywałem go od środka. Wokół rozciągał się Bukareszt - Baryż Wschodu. Było to określenie ~~na~~ na miarę zarozumiełości rumuńskiej, którzy bez zmruczenia oka przyznają się do pochodzenia od Rzymian. Tak, była tu rzymska kolonia karna nad Morzem Czarnym, przesiedlał się tu ~~ixixix~~ i Owidiusz którego August zesłał do Tomi, dziesięcioletniej Constancy. ←

Ówczesny Bukareszt był wielką wsią w którą wznosiły się szerokie ulece, a pomiędzy parterowe domki wznosiły wysokościowce. Ulice zapełniały drogie, zachodnie samochody. Po kątach zachowa-

ła się parę wioskowych cerkiewek. W Bukareszcie niema niczego co by świadczyć mogło o jego tradycjach kulturalnych. Pałac królewski przy Calea Victoria jest tylko renasansową kamienicą, dużych rozmiarów. Muzea o skromniutkich i nieciekawych eksponatach. Do centrum miasta jedzie się z dworca przez sieć wązkich i brudnych uliczek pełnych kramów i ruder. Jak jednak wjedzie się na szerką ulicę <sup>o</sup>Taky Jonescu czy Bratiano, zabudowanych nowoczesnymi budynkami o doskonale rozłożonych bryłach i płaszczyznach elewacji pokrytych szlachetną wyprawą lub okładziną marmurową ma się złudzenie zachodu. Tylko ci ~~ci~~ czyściciele butów na bruku, ci chłopczy cygańscy trzymający szyldkret palcami jednej nogi i ręką a drugą wyrzynający w nim zęby grzebienia, ci sprzedawcy gazet w resztek ludowego stroju z którego została koszula i ineksprymable, te brudne i zczerniałe cyganki psują obraz miasta. Tu szykiem jest ciemne ubranie i lśniące lakiery. Bez marynarki nie można wyjść na ulicę, ale w wytwornym lokalu można ją powiesić na oparciu krzesła, rozpiąć koszulę do pępka i opuścić krawat. Wyzłoceni i wymedalowani oficerowie w zdumiewająco białych mundurach których krój i nawet guziki projektował sam król, zdumiewają uszmińkowanymi twarzami. Na prowincji żołnierze chodzą bosso. W parku Carola płyta nieznanego żołnierza w otoczeniu zdobytych armat, nie brak wśród nich i Grubej Berty, a obok w ukrytej grocie cuchnie moczem. Piękny staw otaczają zasieki z drutu pułapki na parki. Wokół pełno monumentalnych budowli z desek oblepionych gipsem. Jedyny miły kącik w mieście to ~~par~~ poturecki park Ciszmidzu, pełen miniaturowych stawków, strumyków, karłowatych drzewek i przemykających rybek.

Bukareszt nie posiada zabytków jeśli nie liczyć monarchii. Jego Królewska Mość Karol I który wszedł na tron w 1931 r. wywodzi się z rodziny Hohenzollern-Sigmarigen. Jego rola jest symbo-

liczna - do polityki go nie dopuszczają. W dzielnicy dyplomatycznej ma swój pałacyk jego metresa pani Lupescu Żydówka, u której bywa cały świat dyplomatyczny i finansistów zagranicznych. Jej pozycja i wpływy przerastają możliwości króla. Jednak i jego żona, która zajmuje się pisaniem wierszy, i pani Lupescu nie hamują jurnego króla kiedy jedzie po Calea Victoria otwartym samochodem i gdy zobaczy ciekwszą dziewczynę wskazuje ją swoim adiutantom by ją doprowadzili do pałacu.

Rządy są w zasadzie demokratyczne ale głęboko skorumpowane i uzależnione od kapitałów francuskich, angielskich i niemieckich. Cały system administracyjny opiera się na instytucji bakcziszu. Instytucja ma swoje historyczne uzasadnienie. Turcja która tu ponad 500 lat panowała, nie opłacała swoich urzędników, a przeciwnie stanowiska urzędnicze były kupowane od państwa. Urzędnik swe wynagrodzenie pobierał wprost od klienta, a część wpływów odprowadzał do kasy państwa. Dlatego i dziś niczego nie można załatwić bez bakcziszu. Musiałem mieć zaświadczenie z policji dla swego szefa, ale przez kilka dni odawiano mi. Dopiero jak zwrócili mi w biurze uwagę że nie daję bakcziszu zrozumiałem. Dałem ~~3000 lei xxxxy~~ 8 lei, czyli 18 groszy polskich i sprawa była załatwiona. Pensje są tu śmiesznie niskie, wynoszą około 3000 lei, czyli około 100 złotych, ~~gdy w Polsce najniższe pensje urzędników wynosiła 110 zł.~~ To tłumaczy dlaczego kobiety są tu tak łatwo dostępne i dlatego nie przynosi ujmę oficerowi być utrzymaniem bogatych Żydówek. Utrwalił się tu taki dowcip, że w Niemczech witają się podniesioną dłonią, we Francji podniesioną pięścią a tu otwartą dłonią.

Pomyślałby kto że tego rodzaju obyczaje <sup>32</sup>niszczą państwo i pomyliłby się srodze. Państwo rozkwita, świetnie prosperuje, nie posiada bezrobocia a budżet deficytu.

Wpłynęły na to ogromne bogactwa naturalne kraju, wyzysk chłopów i robotników. Bogactwa naturalne, wśród nich także ropa są trzykrotnie ~~wyższe~~ <sup>większe</sup> niż polskie. Dochodzi do nich dogodne położenie geograficzne pozwalające Francji stworzenia drogi z Europy po Morze Czarne, a równocześnie stworzenie wału broniącego Bałkany przed Rosją.

Poważne subwencje francuskie spowodowały gwałtowny rozwój wszelkiego rodzaju spekulacji. Naród chłopów i pastuchów po pięciowiekowej niewoli stara się dogonić Europę. Osiąga znaczący poziom materialny, ale nie zdołał wyrobić sobie potrzeb kulturalnych ani ~~intelektualnych~~ intelektualnych. Zależnie od punktu widzenia można podziwiać ich postęp cywilizacyjny i podziwiać ich entuzjazm i optymizm, albo patrząc na ich prymitywizm kulturalny pozostać sceptykiem

Alpy Rodniańskie i Transylwiańskie

✓  
Kazimierz Często patrzyłem ze szczytów Czarnohory daleko na ~~południe~~ południowy wschód, gdzie na widnokregu wznosiły się szczyty gór Rodny, popularnie zwanych Alp Rodniańskich. Wówczas góry te były prawie nieodwiedzane. W literaturze znalazłem tylko jedną książkę <sup>e/</sup> Sayss <sup>e/</sup> Tobioczyka napisaną w bardzo romantycznym stylu. Zimą nikt ich nie odwiedzał, toteż postanowiłem się tam wybrać. Ponieważ nie było żadnych przewodników, opisów czy map turystycznych, uważałem że wpieryw należy je oglądnąć latem. Dostanie się na te tereny nie było trudne - można tam było dojść na piechotę z Worochty przez Czarnohorę, Karpaty Marmarowskie, zejść w dolinę Leordiny i dojechać kilkanaście kilometrów koleją do Borsy leżącej u stóp najwyższej góry tej grupy, Werfu Pentosu Mare. Ta nazwa unaczy zwyczajnie Szczyt Skalisty Wielki który liczy sobie 2305 m i aby wspiąć się na niego z Borsy trzeba pokonać 1724 m. Zważywszy że na Rysy z Morskiego Oka ma się do pokonania tylko tysiąc metrów, to warunki w tych górach zdają się być interesujące. Wyjazd z Polski nie przedstawiał żadnych trudności formalnych gdyż legitymacja Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego z wizą czeską i rumuńską pozwalała o każdej porze i w każdym miejscu przekraczać granice.

Z kilkoma kolegami z Politechniki wyszliśmy pieszo z Worochty i po pięciu dniach wędrówki dotarliśmy do Borsy. W tej wiosce zamieszkałej przez Rumunów i Żydów przyjazd Polaków stał się sensacją. Chłopi odziani w białe spodnie, szerokie jak ~~koszule~~ spódnice i w koszule z takimiż rękawami noszą kapelusiki ozdobione polnymi kwiatami ~~niektórzy~~ pytają nas cośmy za jedni - uważają nas za przybyszów z dalekiego świata, a nasze złote sąbrane z szacunkiem gdyż mają wysoką wartość. We wsi jest i cerkiewka z wieżyczką<sup>a)</sup> jak minaret i cyrk którego artystki reklamują

swe podwójne umiejętności, zaś ich opiekun zapewnia że niedawno był tu polski profesor który sobie w nich rozsmakował.

Zamieszkaliśmy w pokoiku miejscowego szynku, u "princessy Rojzy". Wspaniałe pierzyny, jak zawsze w żydowskich karczmach, tanie i doskonałe wino, powszechna życzliwość tworzyły miłą atmosferę. Zainteresowała mnie osoba tego "profesora". Łatwo było go zidentyfikowa- - był to znany we Lwowie turysty i narciarz mgr <sup>V</sup>Zieliński z KTN, znany z arogancji i zarozumiałości. Okazało się że złożył wizytę u popa gdzie przedstawił się jako pierwszy turysta który ma zdobyć tutejsze szczyty. Owszem był na Pietrosie, na szczycie zosatił skorupy z jaj, puszki z konserw i kopczyk z kamieni w który był wetknięty jego ... bilet wizytowy. Wyprzedził nas o kilka dni. Jego trofea sfotografowałem.

<sup>V</sup>A.

Podjęcie na szczyt planowaliśmy na dwa dni. Wchodzimy do doliny Bukojewski gdzie podziwiamy kolejkę linową przekraczającą ją na wysokości 150 m. Dolina jest dzika, bezdroża, wspaniała roślinność, wodospad spadający ze stu metrowej wysokości. Strumień toczy wielkie żółte głazy. Po drodze atakuje nas spadający pośród lasu, duży głaz. Wreszcie kończy się strome podejście i wychodzimy na dno ogromnego kotła w którym pasą się owce. Imponuje nam duża ilość żmij które ledwie raczą usuwać się z drogi. Dobijamy do górnego kotła gdzie stoi koliba sklecona z ziemi i paru patyków. Tu rozbijamy namiot i po nocy urozmaiconej tańcem jakiegoś gryzonia po celcie wychodzimy o świcie i dochodzimy do podszczytowej dolinki zdobnej w kilka pawiockich jezior, jak to się ongiś w Tatrach pisało. Dalej droga biegnie po ostrokanciastym ~~łupku~~ piargu z brązowego <sup>z</sup>łupku wchodzimy na szczyt z którego nic nie widać bo od strony Borsy podchodziła chmura. Postanowiliśmy czekać i otworzyło się wpierw okno a potem rozciągnął się przez nami widok na szeroką, piękną dolinę Borsy i



w dali było widać szczyty Karpat Marmarowskich, za nimi szczyty Czarnohory. Niestety Alpy Transylwańskie, odległe o 200 km ~~Alpy Transylwańskie~~ były zakryte chmurami. Wokół nas wznosiły się szczyty Rodny której pasmo liczy 20 km, a szczy<sup>y</sup> cieszą się egzotycznymi nazwami jak Picioru Mosiului, Corongisuli, Verfu Posusiu Mundului, Costa Netedei, Omului czy Dealui Crucii. Wszystkie te nazwy są pochodzenia wołoskiego, tej odważnej rasy pasterszy którzy ze swoimi stadami dotarli aż do Pienin. Pozostawili po sobie obyczaje, narzędzia i nazwy wielu hal i szczytów ~~jak~~ szczytów w Karpatach aż po Sławsko, jak Breskul, Kindrat, Mundźel, Sciaul, Turkul, Gutin Tomnatik, Farcaul czy Mihailecul. Wśród nazw czarnohorskich szczytów można znaleźć też i nazwy komiczne - jest taki szczyt Boże Ratuj. Tak go nazwali kartografowie austriaccy. Do tej nazwy dobudowano i swoistą legendę, a to była wołoska nazwa Pożeratul. Przypomina mi się i inna gafa kartografów. Jeden z dopływów Strypy nazywał się z ruska Tupa czyli Cicha. Nazwano go Dupa no i ta nazwa dorobiła sobie ~~popularne~~ popularne powiedzenie ~~"iść do dupy na raki"~~ "iść do dupy na raki".

W roku 1933 na ferie wielkanocne jedę z kilkoma kolegami koleją do Borsy. Wszędzie leży głęboki śnieg. Nocujemy jak starzy znajomi u "princessy". Chcemy zrobić pierwsze polskie wyjście Pietrosa. Musimy się spieszyć bo równocześnie wybierał się w Rodnę prof. Klemensiewicz ze swoimi stałymi towarzyszami, jak dr. Bialikiewiczem, wspomnianym już Zielińskim i innymi. Tamci to stare repy górskie, a my to <sup>e)</sup> bszczelna młodzież. Wyruszamy jeszcze w nocy by dobrnąć do kotła i tam założyć bazę. Podejście znaną już doliną Bukojeski jest niezmiernie uciążliwe. Głęboki śnieg a na stromych holwegach <sup>nart</sup> nie można ich użyć dla braku miejsca. ~~Za~~ Zapadamy się i po pas, plecaki ważą po dwadzieścia kila, do tego narty i jeszcze lina taternicka. Było już dobrze po popołudniu

✓  
Zygmunt  
✓  
Stanisławem

Kiedy dotarliśmy do dna kotła. Ogromna, biała misa, bez śladu koliby w której mieliśmy w planie założenie bazy. Śnieg wszystko przykrył, nie pomogło sondowanie kijami, nie znaleźliśmy jej. Wtedy nie miało się śpiworów, puchowych kurtek, szczelnych namiotów. Dla przetrwania nocy musiał starczyć ogień, ogień od wieczora do świtu. Na nim się gotowało, przy nim się grzało, ogień to było życie. Postanawiamy wejść na boczną grań i zejść nią do pierwszych drzew by przynajmniej mieć ogień. Dochodzimy już o zmroku do lichego lasu i znajdujemy zasypyany śniegiem daszek. Takie daszki jakie pasterze budują dla chwilowych potrzeb. Jesteśmy śmiertelni zmęczeni, szesnaście godzin marszu z takim ~~obciążeniem~~ obciążeniem i tysią<sup>c)</sup> metrów przewyższenia, przebijanie się przez zwały śniegu. A tu zaczyna padać śnieg i cały świat znika w mroku i zamieci. Noc w kucki przed ogniem, z przodu pieczę, z tyłu przemoczona odzież zamarza na plecach. Wciągamy na siebie wszystko co mamy i oczywiście starym sposobem gazety pod sweter, na plecy i na pierś. Nie śpimy, trzeba ciągle pilnować ognia, ciągle gotowanie herbaty i tak dalej do świtu. Znowu mgła, mleko, nic nie widać. Zejście jest możliwe tylko na przełaj przez las w dół doliny, ale nie poto przyjechaliśmy, a tu może Klemensiewicz już dotarł do Borsy. Zostajemy na drugą noc. Na szczęście mróz jest umiarkowany. Rankiem przejaśnia się i widzimy długą grań z ogromnymi nawisami, otaczającą oba kotły, która od tyłu dochodzi do szczytu. Droga długa ale przejście przez kotły jest niemożliwe ze względu na czające się lawiny. Wchodzimy na grań, wiążemy się liną. Droga nie jest trudna ale biegnie po nawisach które każdej chwili mogą się zerwać. W południe stanęliśmy na szczycie, pierwsze polskie zimowe wejście, przed Klemensiewiczem. Po powrocie dowiedziałem się że Klemensiewicz przyjechał na drugi dzień po nas, ale zniechęcony pogodą udał się saniami na przełęcz

Pristup /1400 m/, skąd nietrudną trasą wyszedł na drugi co do wysokości szczyt Ineul /2280 m/. Miał do pokonania tylko 880 m gdy my zrobiliśmy 1700 m.

Nie mieliśmy czasu ~~zjechać~~ na powrót granią, decydujemy się na zjazd do kotła. Zjazd do górnego kotła nie stwarzał problemu. Dolny kocił <sup>o</sup> napawał obawą. Idealne warunki dla lawiny, głęboki, nagrzanv śnieg o mieszanej strukturze mógł w każdej chwili oberwać się jakąś gigantyczną deską. Niema wyboru, ~~jedziemy~~ jedziemy w dużych odstępach od siebie. Słyszę raptem zduszony, głuchy jęk śniegu a z pod nart wybiegają błyskawicznie długie czarne rysy spękanego śniegu. Wiem dobrze co to znaczy, ale śnieg się nie rusza, nie obsuwa. Jedziemy jak najszybciej, byle na skraj kotła, chciałoby się być lekkim, ot tak wznieść się jak ptak, choć metr nad tym złowróbnym śniegiem. Bogowie gór byli łaskawi - lawina nie ruszyła.

Jeszcze odwiedzałem inne rumuńskie góry - Alpy Transylwańskie. Po raz pierwszy byłem w 1936 r. kiedy pracowałem w Bukareszcie. ~~Zwiedziłem wówczas szczyty w okolicy Synaj~~ W wolne soboty i niedziele zwiedziłem szczyty w okolicy Synaj i Braszowa. Szczyty te sięgały 2500 m i były nieciekawe. Zbudowane z wapienia i ich obłe granie spadały pionowymi ścianami w doliny żłobione potokami. Wszędzie ścieżki były znakowane, mostki, drabiny, skromne schroniska. Najwyższy Omul /2513 m/ miał na szczycie schronisko, drewnianą budę Casa Omul imienia Michała Haret, przytuloną do ostańca kilka razy większego od niego. Nad Synają, będącą letnią siedzibą króla wznosi się <sup>o</sup> Varful Caraimanului z olbrzymim krzyżem na szczycie wykonanym z kratownicy stalowej wysokości ~~55~~ 50 m. Na zachodnich zboczach Bucegi w dolinie Biserte znajdują się ciekawe formacje wapienne, sterczą tam samotne igły wysokie na sto metrów a w ścianie skalnej znajduje się grotta,

✓  
Szitului

Pestera Islomitei, u dołu szeroka na kilkadziesiąt metrów i mie-  
ści się tam klasztor ✓ zamykający swymi budynkami wejście do gro-  
ty a której, pod skalnym okapem znajduje się cerkiewka. Za cer-  
kiewką głęboko w jej wnętrzu ciągnie się w głąb korytarz grotty.  
W okolicach Braszowa były dwie grupy górskie Postavarul sięgają-  
ce 1800 m i druga Piatra Mare ~~xxxxxxxxxxxx~~ ~~xxxxxx~~ sięgająca 1830  
m. Charakter obu tych grup nie odbiegał od Bucegi. Na szlakach  
prawie nie spotykałem Rumunów w Tylko Niemców z Siedmiogrodu.  
Także schroniska należały do niemieckiej organizacji alpinisty-  
cznej. Wycieczki te traktowałem jako rekonesans przed projekto-  
waną wycieczką narciarską. Na drugi rok zorganizowałem już ofi-  
cjalną ✓ PAZM Ligi. Brało udział w niej dziewięć osób.

✓  
wycieczkę

Wycieczka przyjęła niespodziewany obrót. Jeszcze w lecie po-  
znałem w Ploeszti polską rodzinę państwa Starków. Pan ~~Stark~~  
Starke był poważnym przedsiębiorcą w branży żelaznej, posiadał  
dużą hutę i jedyną na Bałkanach emaliernię. Wywodził się zresztą  
z hutników Węgierskiej Górki. Zbił majątek w Rosji a po rewolu-  
cji przeniósł się do Rumunii. Interesy prowadził na skalę euro-  
pejską w czym pomagali mu dorośli synowie, wykształcenie na ucze-  
lniach europejskich i władający różnymi językami. Miał także przy-  
braną córką uroczą Irkę, której osoba stanowiła wielką atrakcję  
dla polskich praktykantów. Gdy pan Starke dowiedział się że przy-  
jeżdżam z wycieczką i będę przejeżdżał przez Ploeszti zabrał nas  
przemocą z pociągu do siebie i przez kilka dni nie wypuszczał.  
Czas upływał na zabawach, tańcach, wspinałem jedle i trunkach,  
kopaniu piłki, bo pan Starke miał własną drużynę piłki nożnej i  
własne boisko i na zwiedzaniu jego zakładów. Udało nam się wyrwać  
na kilka dni w góry, ale z powodu złej pogody zdołaliśmy wyjść  
tylko na Omul. Okazało się że te góry nie nadają się dla nart i ~~jedyną~~  
jedyną atrakcją był oblewany poniedziałek w schronisku Radu Negri

którego znaczenia Rumuni i Niemcy nie mogli zrozumieć. W powrotnej drodze sytuacja się powtórzyła. Pan Starke zabrał wykupione bilety i zakupił nowe na późniejszy termin.

W czasie okupacji sowieckiej kiedy przez moje mieszkanie we Lwowie przewinęło się wielu kolegów których kierowałem na Węgry i do Rumunii, okazało się że w kulminującym momencie pan Starke utrzymywał u siebie 52 uciekinierów z Polski z których wielu wyposażył w dalszą drogę na zachód. W czasie wojny jego zakłady zostały zniszczone bombami ~~niemieckimi~~ niemieckimi, kiedy Niemcy w kilku nalotach spalili Ploesti, będące główną bazą paliwową, wtedy cała rodzina udała się w góry do ich folwarku. Po zakończeniu ~~z~~ działań wojennych udało mu się przewieźć trzy wagony resztek swego majątku wywieźć do ~~Polski~~ Węgierskiej Górki gdzie wkrótce zmarł. Rodzina rozpręzła się po świecie a Irka znalazła się w Warszawie gdzie wyszła za jednego z uczestników naszej wycieczki.

### Przejście krowy - Bosphor

Będąc w Bukareszcie przeczytałem w rumuńskiej gazecie Universal że linie okrętowe Maritima Mare organizuje przewozy Żydów do <sup>e</sup>Pałstyny. W biurze okrętowym dowiedziałem się rejs nie kończy się w Haifie, ale biegnie przez Sambuł, ~~Rireus~~, ~~Aleksandrixxxx~~ Bejrut, Haifę do Aleksandriji, a najważniejsze że studenci mają 50 % zniżki i że na statku znajduje się czwarta klasa. Ta czwarta klasa to miejsce na deskach pokładu i bez jedzenia. Zdołałem namówić kilku kolegów i koleżanek przebywających na praktykach w Bukareszcie do których dłączył się w ostatniej chwili bliżej mi nieznany student z Warszawy razem ze swoją dziewczyną. Wspominam jego, bo sprawił mi w przyszłości wiele kłopotu.

Do portu Konstancy dolechaliliśmy nocą koleją która swój kurs kończyła w hali portowej. Zgromadził się tu tłum prawie wyłącznie Żydów z Polski udających się do Ziemi Świętej. Pomiędzy nimi istniały wyraźne podziały. Jedna grupa to młodzi chłopcy i dziewczęta, tak zwani szomry czyli skauci żydo<sup>w</sup>scy. Przeszli oni dwuletni ~~na~~ pobyt w obozie koło Brodów gdzie uczono ich pracy na roli, zaradności i współżycia w grupie. Byli wysportowani, zdrowi, wes<sup>e</sup>li, rośpiewani i jechali zakładać kibuce. Drugą grupę stanowili listarzy Żydzi i Żydówki, brudni, pejsaci w czarnych chałatach i lisiurkach na głowie. Obstawieni byli dużą ilością tobołów. Jechali do Ziemi Świętej by tam złożyć swoje kości co dawało im odpuszczenie wszystkich grzechów. Dwa oblicza tego samego narodu, ci z dnia wczorajszego odchodzący ze świata i ci nowi, ~~skóóóóóó~~ zalążki nowego narodu jadących zakładać nowoczesne państwo żydowskie.

O świcie tłum opanował statek. Nieliczni pasażerowie I i II klasy zniknęli w kajutach, a pasażerowie III klasy, wyłącznie Żydzi oblegli zbiorowe kabiny gdzie były tylko ławki, oraz dolny

pokład zapełniając go masą bagaży. Klasa IV miała do dyspozycji górny pokład na którym nie było nawet dostatecznej ilości ławek. Spać trzeba było na listwach wykładziny pokładu z butami pod głową i przykrywać się margynarką. O świcie myto pokłady i spływające strugi wody szybko przywracały dzienną świadomość. W dzień można się było opalać i podziwiać igraszki delfinów. Nie wiele zwierząt umie się bawić i uprawiać sporty dla własnej przyjemności. W Tatrach kozice sankują się na zadkach po wyslizganych rynnach śniegowych, gołębie uprawiają loty akrobatyczne, bociany loty szybowe, zabawy psów i kotów są dobrze znane, delfiny ścigają się ze statkiem i przed dziobem wykonują skomplikowane ewolucje, becзки, skoki pojedyncze i grupowe. A gdy im się znudzi odpływają całą gromadą. Przykrp zauważyć że w czasie konfliktu w zatoce Perskiej w 1988 r. Amerykanie użyli 30 delfinów do bliżej nieokreślonych zadań, prawdopodobnie do rozminowywania wód.

Widoczna przed dziobem nitka horyzontu rozmazuje się na ~~szere~~ szereg wzgórz gdzie żółta ziemia walczy ze znikłą zielenią. Kilka tuż i topól imituje gaje. Le Bon twierdzi że z nadejściem Turków do Europy nie tylko upadła cywilizacja ale i zanikła roślinność, może to i prawda. Wąwóz otwierający się przed nami to Bosfor, jedno z bardziej unerwionych miejsc Europy. Po obu stronach widać ~~funkcyjną~~ resztki baszt i murów fortecznych. Te nowsze forty są dyskretnie ukryte na szczytach wzgórz. Niedawno Turcja wprowadziła swe wojska nad Bosfor i Dardanele, wszędzie widać białe celtki namiotów. Turcja zawsze były chętnym odbiorcą najnowszych modeli Maxima i Kruppa i to jeszcze gdy ich agentem był Langie Bej czyli były dyktator Polski z 1863 r. Marjan Langiewicz. Potężne mury twierdz Madżjar-Kole w Anatolji ~~z~~ okazują się mocno nadgryzione przez czas a chatki i lepianki oparły się o ich ściany. Z boku wystrzelił pierwszy zwiastun muzułmań-

minaret

skiego świata.

Przed dżibem znowu delfiny urządzą sobie harce, czują się jak u siebie w domu - przecież niedaleko stąd Dionizos w walce z rozbójnikami tyrrreńskimi zamienił ich w delfiny, co ich zresztą nie pozbawiło humoru. Przetrwali Dionizosa i Helladę, przetwaja i Ataturka. Rumelia i Anatolia zbliżyły się do siebie na paręset metrów. Wpływamy w krainę ataroczytnych legend. Tu staruszek Zeus zamienił córę Inachusa Io w krowę, aby zamieniwszy się w byka ujść oczu zazdrosnej żony w czasie swej prawdziwie byczej eskapady. Krowa z niewieścią kokieterią uciekła przed niezwykłą konkietą wpław przez Bosfor, za nią jej kochanek i od tego czasu Bosfor nazywa się po grecku Bosforem czyli przejściem krowy. Rekord Zeusa w wiele lat potem wyrównał Byron przepływając z Europy do Azji. A wracając do uroczej Io należy dodać że w zacisznej dolinie Barbyzes powiła córę, której syn stał się założycielem Bizancjum. Konkurencyjna legenda, bardziej sceptyczna podaje inną wersję sięgającą również w dalekie czasy choć nie tak dawne. Otóż kiedy Filip Macedoński szedł na Bizancjum, Grecy posłali Bizentyjczykom w pomoc swego wodza ~~na~~ Charesa. Na wojaczkę wziął swoją małżonkę, która nie sprostawszy trudom podróży zmarła na wysepce naprzeciw Stambułu. Małżonek postawił jej mauzoleum, a Bizentyjczycy dorobili wieżę z wizerunkiem krowy gdyż zmarłej było na imię Damalis czyli cielę. Mijamy Bejkos, gdzie lądowali argo-nauci i z poza przylądka w odległej dali rozmazuje się kontur Stambułu.

Statek przybija do skromnego i obskurnego mola w Galacie, niedaleko mostu łączącego ją ze Stambułem. Żal bierze gdy patrzę na ten ongiś wielki i sławny port. Więcej jak trzy statki pasażerskie nie może stanąć koło siebie, inne muszą stać na redzie. Nim przejdzie się przez ręce policjantów tureckich, ubranych na niemiecką modłę, ale sprawujących swe czynności ze wschodnią po-



Galaty

wolnością, można się z pokładu napatrzeć życiu miasta. Stambuł dzieli się na trzy części : Skutar czyli sterożytny Chalcedon leżący na azjatyckim brzegu, gdzie udają się żywi Europejczycy by stanąć własną stopą w Azji i martwi Turcy którzy wolą leżeć w ziemi proroka niż w niewiernej Europie, dalej z właściwego Stambułu i oddzielonej od niego zatoką Złotego Rogu. Europejska dzielnica Pera jest w Stambule. Sam Stambuł mieści się na półwyspie kształtu bochna chleba na którego szczycie ~~wyskaczają~~ wysterczają ostrza minaretów kształtem swoim będących antytezą przegniecionych kopuł.

Złoty Róg - spoglądam w dół. Ile poezji wydestylowano z tej brudnej bajury, pełnej skórek z melonów, barek i promów. Po wodzie cuchnącej pływają łódeczki których dwuosobowa załoga cumuje łódką do jakiegokolwiek statku, poczem odpływa na jakie piędziesiąt metrów. Tu zarzuciwszy sieć na stalowej ramie włączą ją po dnie by na koniec wyciągnąć pełne szlamu i śmiecia z pośród którego wygrzebują ... węgiel gubiony przez węglowce przy przeładunku. Węgiel z morza łowiony siecią ! Próbuję nocą patrzeć na Złoty Róg, na sylwety meczetów, na refleksy świateł w zwierciadle wody, Przecież nań spoglądali i Godfryd de Boullon, Gautier, Loti, Sienkiewicz i Farrère, Mickiewicz i ~~Byron~~ Byron. Na jego konto spłodzono baśnie i wiersze. Gwałtem wyciągam z wyobraźni odaliski o migdałowych oczach i paznokciach barwionych henną, schodzące nocą ku kochankowi czekającemu w czółnie. Coż kiedy widzę tylko korpulentne wnuczki o paznokciach barwionych karminem które we wrzaskliwym tłumie odrabiają wieczorną promenadę. Trudno przechadzać się po Stambule. Nie posiada on ani jednej ulicy - tylko zaułki, wąskie, kręte, bez zieleni i drzew, bez perspektyw. Przeciśkam się w ciasnych przejściach, po schodkach, skaczą przez

kupy melonów i wreszcie wychodzę niespodzianie na jeden z nielicznych placów, na Hipodrom. Prostokąt zieleni, nie większy niż boisko hokejowe, upstrzony klombami kwiatów wydaje się nieciekawym, tylko dwie igły obelisków zapowiadają niespodziankę. Jeden, trzydziesto-metrowy, obelisk Thutmosa VII, wykuty z jednej bryły granitu, waży 50 ton. Ciekawe jak go przywieźli. Drugi, obelisk Teodozjusza Wielkiego, nieco wyższy ale znacznie brzydszy. Tworzyły one dwa ogniska elipsy hipodromu wokół których zawracały ścigające się rydwany. Po między nimi stoi ~~wzrostek~~ brązowy ułomek kolumny węzowej ~~xxDakf~~ ze świątyni Apollina w Delfach, pomnika zwycięstwa Greków pod Plateą, przywieziony przez Konstantyna Wielkiego jako pamiątka z podróży. Kiedyś trzy splecione węże trzema rozchylonymi paszczami ze szczerego złota trzymały taką wagę. Głowy i waza dawno poszły na dukaty a dziś sterczy tylko szczątek. Przez dwa tysiące lat na tym boisku odbywały się zawody i igrzyska, chyba rekord używalności stadionu. Początkowo wczesną modłą grecką w programie była lekkatletyka, potem wprowadzono konie. Za czasów rzymskich walczyli tu gladiatorzy i hipodrom zaczął służyć do masowych mordów zwolenników walczących stron, które często przeistaczały się w walki polityczne. Za Justyniana wycięto tu 30 000 uczestników powstania Nike. Niegdyś było tu centrum miasta, dziś jest przedpolem moszei Ahneda I, najpiękniejszego meczetu miasta.

Uterko się mniemanie o wspaniałości i pięknie świątyń mahometkańskich i urosło do świętości komunaku. Nic bardziej fałszywego, meczety stambulskie są brzydkie, ciężkie, niezdarne. Składają się z sześciennego pudła głównej nawy, przykrytej płaską kopułą jak połówka pomarańczy. Ażeby taka budowla nie zawaliła się w czasie trzęsień ziemi wspierają je ze wszech stron różne przybudówki w których chaosie gienie pierwotny zarys świątyni.

Tak zagubił się meczet Ahmeda, tak zginęła Aja <sup>5</sup> Sofia. Brak w tym harmonii, umiaru, piękna. Zostało ono tylko w krużgankach podwórców i strzelistych minaretach. Tego/piękna nie poskąpiono moszei Ahmeda, jest i podwórze z piękną studnią, jest i sześć minaretów. Sześć minaretów - śmiertelny grzech Ahmeda. Zapragnął on wystawić świątynię wspanialszą jak Kabba ~~w xxxxxx~~ Mecce i wbrew ustalonym zwyczajom zamiast czterech minaretów wystawić sześć. Na nich umieścić siedemnaście ganków, jako że był siedemnastym sułtanem z kolei. Lud wzburzył się przeciwko zuchwalcy i chciał zburzyć świętokradzką budowlę. By siebie i meczet ocalić sułtan wpadł na iście wschodni pomysł, wybudował siódmy ~~na~~ minaret w Kabbie. Wnętrze brzydkie, nieciekawe, wprowadzie na podłodze czerwienią się perskie dywany ale nie wypełniają pustki sali. Mihrab i chóry w kącie gubią się i nikną w mroku. Dyskretny wzór na najolichkach ścian z bliska wygląda jak bazgrota, a z daleka zlewa się w szarą plamę. O parę centymetrów nad głowami wisi najstraszniejszy wymysł tureckich architektów - żelazna krata przytwierdzona gdzieś w górze do stropu mnóstwem długich drutów, ma której ongiś płonęły lampki oliwne a dziś żarówki.

• Aja Sofia odbija od szarzyzny estetycznej reszty meczetów. Poznać na niej że wzniosła ją ręka architektów pragnących ze wschodniego chaosu stworzyć nowy styl. Turcy i trzęsienia ziemi bardzo zmieniły jej pierwotny wygląd. Długa i ciekawa jest jej historia. W roku 325 Konstantyn Wielki zaczął ją budować, lecz wygnawszy św. Jana Chryzostoma tak naraził się ludowi że ze świątynii nie został kamień na kamieniu. Jego następczyni św. Pulcheria miała więcej szczęścia ale kościół przez nią zbudowany spłonął. Dzieła poprzedników dokonał Justynian, by w końcu muzulmani mieli gdzie chwalić swego Allacha. Kiedy budowano świątynię zorganizowano prawdziwą zbiórkę narodową. Efez ofiarował osiem ~~kolun~~

kolumn z marmuru verde antico ukradzione ze świątynii Diany. Z Rzymu Aurelian śle dalsze kolumny, (<sup>skradzione</sup> ze świątynii słońca w Helio- polis, Biało-czerwone marmury idą z Eubei i Numidii, żółte i ~~xxx~~ i centkowane z Frygii. Ateny, Delos, Cyzik, Egipt ślą co mogą najpiękniejszego zwędzić. Artemjusz z Trallesu i Izydor z Miletu obejmują kierownictwo robót. Opaj pochodzą z Azji Mniejszej i ~~xx~~ przywożą stamtąd nowinki techniczne jak wiązanie budowli kopułą. Ta kopuła niebardzo się im udała - bo wkrótce zawaliła się zabijając mnóstwo ludzi, wali się potem jeszcze dwa razy, dopiero siostrzeniec Izydora zdołał ją zbudować. Sypie się złoto i to w dużej ilości bo aż 45 ton. Dniami nosami buduje ją 10 000 ludzi. Na Rodos palono cegły z tamtejszej gliny które mają ważyć dwanaście razy mniej jak zwykłe cegły, co jest niemożliwe, ale tego widocznie wymagał<sup>a)</sup> reklama budowy. Złoto idzie na ozdoby, malowidła mają tło szczerozłote. Mensa wspiera się na czterech złotych kolumnach, nad niemi cztery srebrne łuki i cztery srebrne kolumnienki. Ponad niemi wznosi się złote sklepienie. Turcy zużyli złoto i srebro na własne potrzeby. Mohamed II wjeżdża po trupach na koniu do świątynii i skrwawioną dłoń opiera o ścianę - do dziś pokazują jej rdzawy ślad. Arabeski i wersety koranu pokrywają mozaiki. Dywany rozścielają na posadzkach, trochę na ukos, co wprowadzie psuje harmonię ale pozwala być Turkowi zwróconym w stronę Mekki. Także na ukos stoi mihrab czyli kazalnica i mastabach czyli miejsce gdzie czyta się koran. Mohamed buduje jeden minaret, Selim drugi, Murad trzeci i czwarty.

Świątynia służy już trzecim bogom, trzecie imię wołają usta wiernych i oczy wnoszą się z wiarą. Znikają bogowie ale mury trwają.

W obrębie starego Seraju znajduje się kościół św. Ireny, z IV wieku, będący dla Polaków smutną atrakcją. Został on zamieniony przez Solimana na muzeum gdzie w bocznej nawie mieści się

"Sektioni el Lechistanie". Mieszczą się tam trofea zdobyte na Polsce, broń z pod Warny, bębny, dzwony, karabele, armaty.

Jest jeszcze i dzisiejszy Stambuł, na Perze znajduje się plac Taxi a na nim pomnik odrodzonej Turcji, gdzie w grupie postaci stoi Kemal ~~xxxxxxx~~ Pasza w smokingu i z ręką w kieszeni. Sheri Mustafa Ataturk Kemal Pasza, były poganiacz bydła, potem sierżant, potrafił zdobyć władzę i w przeciągu kilku lat przegnał kilkaset <sup>lat</sup> (zacołania kulturalnego, nie tylko przerobił kraj ale potrafił wyrzucić derwiszów, ale ~~przegnał~~ także półtora miliona Armeńczyków a resztę przegnał do Iraku. Z 850 000 doszło ich żywych 50 000. Wygnał też Greków z Azji Mniejszej <sup>której</sup> z trzech milionów w Grecji wylądowało tylko dwa miliony. Wprowadził alfabet łaciński, zakazał noszenia fezów i zasłon twarzy. Wprowadził wprawdzie Turcję do Europy ale do dnia dzisiejszego nie ma pełnej akceptacji.

Odplływamy - mijamy wyspy Książęce, słynne z piękności i ze zgonu świętych psów które Anglicy wykowili z miasta i tam wywieźli. Długo były aż zaczęły się wzajemnie pożerać, a gdy ostatniemu psu zabrakło przedostatniego zdechł ostatni pies wyjąc, wielbił humanitaryzm synów Albionu. Dziś na ich miejsce weszło setki tysięcy kotów. Z prawej burty defilują mury wzniesione przez Teodozjusza, po lewej ginie ~~xxxxxxx~~ Skutari wyspa Leandra gdzie córka Mechmeda, urocza Mehar-Szegid spędzała swe wiosenne lata odrodzona wodą gdyż cyganka przepowiedziała jej zgon od ukąszenia węża, aż jej perski oblubieniec, syn szacha perskiego posłał jej kosz róż z którego wypełzła Zmija i los się dopełnił, ale fatum się nie spełniło gdyż kochanek wyssał jad z reny losowi na przekór. Rozchylają się brzegi. otwiera się Morze Marmara. Delfiny skaczą koło burt, woda się niebieszczy, Stambuł zamazuje się na horyzoncie, szarzej i znika. Podążamy ku Dardanelom, wrotom Grecji, Hespontowi.

~~Przebieg~~ Do Aleksandrii

Tak jak mnie przywitały Ateny wyglądało <sup>to)</sup> na inscenizację. Był wczesny ranek, całe miasto otulała biała mgła, zaróżowiona ~~nie~~ od wschodzącego słońca. Ponad nią wznosił się Akropol z białym Partenonem. Można sobie wyobrazić że tak go widzieli Grecy kiedy Perykles ukończył budowę. Mgła zrzęda i poezja rozmazała się na gwar, brud i pływające nola Pireusuy gdzie statek tatrzymał się na trzy ~~nie~~ doby.

Metrem, które nie jest takim metrem bo prawie cała trasa jest naziemna, jadę do Aten, miasta marzeń z literatury szkolnej, z lektur książek Parandowskiego, Witwickiego, Platona i wielu ~~innych~~ artykułów, filmów, zdjęć. Ówczesne Ateny były skromnym miastem z około dwustu tysiącami mieszkańców, gdzie nad plataniną ulic wznosiła się góra Akropolu. Wchodziło się bez biletu i błądziło w chaosie porozrzucanych bloków marmuru, desek i gruzu. Przy Partenonie stały rusztowania. Z bliska rozczarowywał.

Losy Akropolu były dość tragiczne. Perykles jako rzecz dziś można był inwestorem i wybudował Partenon, świątynię Ateny. Jego doradcą był Fidiasz. Z jego progów kazał św. Paweł. ~~W V wieku~~ ~~przerobiono go na~~ kościół św. Zofii osobę o wątpliwym fizycznym życiu a raczej jako uosobienie starożytnej mądrości, swoistej kontynuatorki pozycji Ateny. W XV wieku przerobiono <sup>go</sup> na meczet. W XVII wieku flota wenecka zbombardowała ~~Partenon~~ Partenon gdzie ~~Turcy~~ Turcy mieli akurat skład prochu i budynek został zniszczony. W 1802 r. lord Elgin, nie bacząc na oburzenie Byrona skradł 70 m bieżących fryzu oraz wiele rzeźb i wywiózł do British Museum. Mówiono mi też że zabrał jedną z kariatyd wymieniając ją na terrakotową. Dziś Akropol żrą kwaśne deszcze i wyziewy samochodów, kamień się obsypuje, rzeźby zatracają kształty, a archeologowie szukają środków zabez-

pieczających. Erektion - świątynia Posejdon i Ateny, słynny z sześciu kariatyd też miał ciężkie życie, był meczetem, haremem a teraz ruiną. U stóp Akropolu znajdują się ruiny amfiteatru Heroda, nie tego od rzezi niewiniątek ale bogacza greckiego z II wieku, ~~nieszaczonego~~ <sup>5000</sup> widzów ~~który~~ <sup>i</sup> miał płócienny dach ~~rapinany~~ nad widownią.

Amfiteatr  
mieścił

W mieście tylko ~~trzy~~ <sup>dwie</sup> budowle mnie zaciekały - pałac królewski o architekturze bez żadnego wyrazu przed którym defilują gwardziści w albańskim stroju, w białej, gufrowanej spódnicy, pantoflach z pomponami i w małych czapczkach. Ta tradycja sięga roku 1770 kiedy to Albańczycy sprowadzeni wcale niedobrowolnie przez Turków tu się zdomowili. Uwagę budzi wielki stadion zbudowany przez amerykańskiego milionera pochodzenia greckiego, Awerofa w 1896 r. z okazji pierwszej Olimpiady w 1896 r. Został on zbudowany ściśle według antycznych wzorów, ma kształt prostokąta o wymiarach 204 na 33 m i posiada miejsca dla 50 000 widzów. Jest jeszcze muzeum sztuki starożytnej zawierające rzeźby których dotąd nie zdążono ukraść czy sprzedać. Parę pięknych rzeźb znanych z literatury uwalnia od opisu.

By i ciało było należycie uwzględnione to zachwyciły mnie smakiem blade żółte o rzadkich gronach winogrona. Cudowne w smaku ale szybko się psujące i nieznoszące transportu. Zadziwił ~~me~~ mnie chleb kształtu wielkiego obarzanika którego kształt zachował się przez dwa ~~tyśiąc~~ i pół tysiąca lat. Taki chleb pozwala krajać go w całości na równe kromki otoczone ~~w całości~~ <sup>w całości</sup> skórka. Genialnie proste - ciekawe że świat nie kupił tego pomysłu.

Po dwu dobach na widnokręgu Bejrut. ~~Stary~~ statek zostaje na redzie. Podpływa piękna motorówka do której wsiada jakaś elegancka pasażerska z pierwszej klasy. Dopiero teraz dopływają urzędnicy i zaczyna się odprawa, na końcu jak zwykle są pasażer-

rowie czwartej klasy, ale i tu są tacy z lepszymi paszportami i z gorszymi. Wogóle najlepsze paszporty to w kolejności francuskie, amerykańskie, angielskie, holenderskie, potem tureckie, greckie, libańskie a na końcu polskie. Taka była hierarchia portowych służb. W jakiś czas po powrocie do kraju byłem z wizytą u jednej z ciotek która z dumą mi oświadczyła że jej córka wyszła dobrze za mąż, za bogatego Polaka z Damaszku który handluje dywanami. Z porównania dat okazało się że to ona była właśnie tą pasażerską pierwszej klasy która tak zaintrygowała mnie w Bejrucie, a ja nic nie wiedziałem, tak mógłbym odwiedzić Damaszek.

Bejrut czasów przedwojennych, ten późniejszy luksusowy bank Bliskiego Wschodu, pełen wysokośćciowców, plaż, hotelów wówczas był małą miejsciną zabudowaną parterowymi domkami, o niebrukowanych ulicach, z wielkim placem w środku miasta na którym wznosił się pomnik przyjaźni Francji która tuli do siebie córę Liban. Dokoła stało kilka palm. W porcie jednak stały na wszelki wypadek kontrtorpedowce<sup>e</sup> bo przecież tu kończy się rurociąg ropny.

Następny port to Haifa. Gdy na widnokręgu zamajaczyła góra Karmel na pokładzie statku wyszli wszyscy Żydzi i ci starzy w chałatach z biało-czarnymi szalikami i w lisiurkach na głowie i ci młodzi w szortach, opaleni i wysportowani. Patrzyli nieprzytomnymi oczyma na Świętą Ziemią śpiewając stare psalmy. Starzy wierzyli że gdy ich kości tu spoczną to wejdą do raju. Młodzi wierzyli w odrodzenie Erec Izrael. Kiedy zbliżyliśmy się do portu i kiedy po długim tłumaczeniu angielskim urzędnikom że nie zamierzamy się tu osiedlić, wchodzimy do portu i odrazu natrafiamy na zasieki z drutu kolczastego i na trzy policje - angielską, żydowską i arabską. W porcie stoją brytyjskie kontrtorpedowce. Do miasta żydowskiego trzeba przejść przez arabskie miasto złożone z lepianek na przyzbach których pełno dzieci, kobiet i





tam żaden oficer nie wejdzie. O jedzenie się nie martwcie.-

Mówimy że nie mamy pieniędzy ani niczego by mu się odwdzię-  
czyć. Mówi że wystarczy gdy mu zrobię zdjęcie. Powrót odbył się  
bez przygód poza zatrzymaniem statku na daleki<sup>e</sup> redzie<sup>y</sup> gdyż aku-  
rat odwiedzał <sup>go</sup> Stambuł księżę ~~Walii~~ Walii który przypłynął tu an-  
gielskim okrętem wojennym. W porcie wielka gala flagowa. Okręty  
tureckie, brytyjskie całe we flagach, gra orkiestra, na pokła-  
dach stoją wyprężeni marynarze. W Constancy wychodzimy na ląd ~~xxx~~  
bez żadnych trudności razem z załogą, no i odpoczn<sup>ek</sup> w pociągu  
na który mamy bezpłatne bilety.

Djabli mnie brali że Egipt uciekł mi doskownie z przed nosa  
przez jakąś tam niby przyjaźń do zupełnie obcego mi człowieka i  
obur<sup>z</sup>enie na polską dziewczynę na którą właściwie nie było co się  
oburzać. Dopiero w trzydziści lat potem zawitałem do Egiptu  
by z<sup>e</sup>realizować swoje dawne plany.

✓  
w Stambule

Centralny Okręg Przemysłowy

W czasie studiów okresowo dorabiałem sobie pracując w przedsiębiorstwie budowy dróg inż. L. Ciechanowicza. Pomiędzy rokiem 1932 a 1936 kładłem nawierzchnie na ulicach Kąpielnej, Gródeckiej, Kurkowej, Stryjskiej, Kleparowskiej, Zyblikiewicza i w Monopolu Spirytusowym. Wymagania zleceńodawcy były bardzo surowe. Nie wolno było zamykać ruchu na przebudowywanych ulicach, nawet tory tramwajowe trzeba było przesuwac stosując pałskie szyny. Ekspozowane odcinki trzeba było wykonywać w nocy, terminy ukończenia były bezwzględnie przestrzegane. Z zadowolaniem patrzyłem w roku 1939 na "swoje" bruki przez które przetoczyły się siedem razy armie ze swoim ciężkim sprzętem. Daruję im że nieco się sfalowały. Kiedy powstał COP wiele firm zainteresowało się pracami na tamtym terenie, gdzie tworzyła się nowa, przemysłowa przyszłość kraju. Mój szef także tam podążył i otrzymał niewielką budowę, kładzenie nawierzchni w kolonii mieszkalnej i brukowanie odcinka lotniska. Mnie powierzył kierownictwo robót i była to moja pierwsza samodzielna praca. Byłem tam zajęty od połowy 1936 r. do końca 1938 r. kiedy to zostałem wyrzucony z pracy przez dyrektora budowy fabryki samolotów do którego należała i moja budowa, ale o tym za chwilę.

różne

Mój szef był osobą dość interesującą. Z pochodzenia Ukrainiec podawał się za Polaka, ale urodził się w Kijowie i do rewolucji tam pracował. Kiedy wybuchła Ukraina i Petlura sformował swój rząd, inż. Ciechanowicz został ministrem kultury. Małżeństwo z diwą operatki kijowskiej potraktował jako pogłębienie swoich kwalifikacji. Po klęsce Petlury znalazł się we Lwowie, a los pozwolił mu wywieść znaczne pieniądze za które zorganizował sobie przedsiębiorstwo. Swoją firmą interesował się w dość ograniczony sposób. Na budowach pokazywał się rzadko. Jego zajęciem było uczestniczenie w światowym życiu, jego małżonki i szukanie zleceń i zamówień robót. Było nas trzech techników i <sup>zimą</sup> ciągle musieliśmy

sporządzać kosztorysy ofertowe z których nie wiele znajdowało zastosowanie, a latem kierować robotami.

Wejście armii radzieckiej podziało na szefa jak grom z jasnego nieba. Zdołał tylko skoczyć do domu, wziąć żonę i precjoza i przez most w Przemyślu dostać się na stronę ~~radziecką~~ niemiecką. Nawet nie zaczekał na jedyną córkę i zostawił ją samej sobie. NKWD coś o nim wiedziało bo już pierwszego dnia zajęli jego mieszkanie przy ulicy Listopada. Niejasne były losy jego córki, mieszkanie zajęli oficerowie NKWD, a ona zaczęła się pokazywać w ich towarzystwie. Rozeszła się wieść że były minister emigrując z Kijowa zabrał to i owo z państwowego mienia o czym NKWD było wódocznie poinformowane, stąd jego nagła ucieczka.

Kiedy Niemcy weszli do Lwowa losy jego córki potoczyły się podobną drogą, zaczęła się pokazywać w towarzystwie oficerów z Gestapo. W końcu z wyroku AK została zastrzelona na peryferjach miasta. Jej ojciec wprawdzie wylądował we Wiedniu, po wejściu aliantów znalazł się w UNRA, potem odezwał się z Nowego Jorku i umilkł na zawsze. Po zajęciu przez Niemców Kijowszczyzny do Lwowa przyjechała starszka jego matka. Zastała tylko wnuczkę. Od niej usłyszeliśmy po raz pierwszy że na Ukrainie mówiono o jakichś mordach polskich oficerów gdzieś ~~na peryferiach w lasach~~ w lasach na północy kraju.

Atmosfera prac w CCP'ie była dość szczególna, z jednej strony był entuzjazm zwłaszcza młodzieży technicznej i robotników zafascynowanych rodzącą się, jak się wówczas zdawało potęgą przemysłową Polski, a z drugiej strony było tu zbiegowisko różnego rodzaju kombinatorów i aferzystów z całego kraju. Należał do nich i naczelny dyrektor robót z ramienia Departamentu Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych mjr inż. arch. Czyżowski czy Czyżewski. Na całym terenie prac przy budowie fabryki samolotów

w Mielcu sprawował absolutną władzę, ~~wykorzystywał~~ Ponieważ nie miał dostępu z racji swego stanowiska do profitów to stworzył z członków swojej rodziny quasi przedsiębiorstwa Budowlane którym przydziałał korzystne roboty. Mógł to uczynić gdyż istniało uprawnienie resortu zlecenia prac nie koniecznie firmie oferującej najniższe ceny ale posiadającej zaufanie ministerstwa. Uczestniczyłem w kilku przetargach i mogłem się przyglądać tym manipulacjom. Kilka razy odwiedzał moją budowę jakiś starszy pan inspektor z NIK'u. Skarżył się że widzi tu tyle łajdactw i nie może niczemu zaradzić, gdyż Ministerstwo Spraw Wojskowych było nietykane. Opowiadał mi wielką aferę z wykupem terenów pod lotnisko będących terenem zalewowym a który został wyceniony jako pola uprawne<sup>w</sup> i wiele innych spraw.

Przebieg sprawy mego wylania z roboty wyglądał następująco. Niedaleko mojej budowy był barak kierownictwa zarządu całej inwestycji. W ten dzień było urwanie chmury i wokół baraku utworzyła się ogromna kałuża głębokości chyba powyżej pół metra. Właśnie miała przyjechać jakaś ważna komisja i pan major kazał mi usunąć natychmiast tą wodę. Odpowiedziałem że nie mam potrzebnego sprzętu to jest pomp, po drugie niema gdzie odprowadzić wodę bo kanalizacja jeszcze nie skończona a po trzecie nie mam tego w umowie. W odpowiedzi otrzymałem rozkaz opuszczenia budowy.

Moja praca nie wymagała specjalnych umiejętności, chodziło o właściwą organizację i płynące stąd korzyści finansowe, zwłaszcza że 10 % z zaoszczędzonych sum ~~szło~~ szło do mojej kieszeni. Robiłem głównie nawierzchnię z tak ~~zwanych~~ zwanych "trylinek". Oficjalnie był to patent inż. Trylińskiego i polegał na wykonaniu nawierzchni nie z kostki a sześciobocznych pieńków betonowych. Zaleta takiego kształtu polegała na tym że gdy naroża w prostokącie są pod kątem 90° i ulegają łatwo skruszeniu, to w trylin-

kach wynosi ~~na~~ on  $120^{\circ}$  i nie kruszy się tak łatwo. Trylinek takich szło 10 sztuk na metr kwadratowy. Tryliński brał od jednej płytki 2 groszy opłaty patentowej. Idea Trylińskiego nie była zbyt oryginalna, gdyż kiedy zwiedzałam w Samrkandzie cmentarz rodziny Timura, Szachr-Einda zauważałam że podwórza są wybrukowane takimi sześciokątnymi płytami liczącymi sobie już setki lat. Tryliński wiele lat pracował w Rosji i mógł je również zauważyć.

Praca w COP'ie była dobrze płatna, robotnik ~~xxx~~ niekwalifikowany otrzymywał za godzinę pracy złotego, kobieta 80 groszy, kiedy najniższa pensja pracownika umysłowego wynosiła 110 zł miesięcznie. Praca skordowa była bardzo dobrze płacona, <sup>✓</sup>zarabiali <sup>✓</sup>miesięcznie. Najlepiej zarabiali "Holendrzy" i Cyganie. Holendrzy byli mieszkańcami kolonii holenderskiej, jeszcze z ubiegłego wieku i mieli swoje wioski na Wołyniu. Specjalizowali się w robotach ziemnych. Na roboty przyjeżdżali swoimi, mocnymi wozami zaprzężonymi w duże i mocne konie. Obóz rozbijali wprost na miejscu pracy, spali w wozach, mieli własny sprzęt jak np. łopaty chyba trzy razy większe niż powszechnie używane, zawsze wyczyszczone do połysku i stale ostrzone. Pracowali od świtu do nocy. Praca w sezonie wystarczała im na całoroczne dostatnie życie. W czasie wojny wyjechali do Holandii. Dobrze także zarabiali Cyganie przy tłuczeniu kamieni. Tłukli je ręcznie, kilowymi młotkami na metrowych, elastycznych trzonkach. Tak otrzymywany tłuczeń nadawał się lepiej do betonu i nie było odpadów. Nigdy nie zrozumiałam dlaczego chłop, robotnik, może się podjąć najgorszej pracy, rozrzucić gnój, czyścić szamba ale nigdy nie ~~na~~ zgodzi się ~~z~~ tłuc kamienie. Czyżby to jakiś relikw z dawnych kultur ?

Zabawna też była tajemnica wojskowa otaczająca tą budowę. Miała to być fabryka bombowców, o ile mi wiadomo do wybuchu wojny wypuściła trzy próbne <sup>Losie</sup> samoloty. Kiedy tam pracowałam to w ha-

✓  
brukarze

✓  
setki złotych

✓  
nazwiskiem  
Herman

lach fabrycznych stało wiele skrzyń z maszynami na których widniały napisy niemieckie, wokół nich chodziła uzbrojona straż nie pozwalająca się do nich zbliżać. Kiedy Niemcy zajęli nieuszkodzoną zresztą fabrykę okazało się że kierownik jednej małej firmy budowlanej, którego zresztą poznałem, został naczelnym dyktorem fabryki. Tajemnica wojskowa miała także i inne oblicza, kiedy potrzebowełem jakiejś dokumentacji to dawano mi ją z różnymi ~~zasadami~~ zastrzeżeniami. Tak na przykład kiedy potrzebowełem przekroju chodnika, a rysunek składał się z trzech kresek i dwu liczb <sup>o</sup>miejsce i nazwa budowy nie była wykreślana, ale wycinano z arkusza.

Z kolejnym miejscem pracy nie miałem kłopotu gdyż z jakichś trzydziestu budów na których stosowano trylinki, dzięki swoim pomysłom produkowałem najtaniej, więc pan Tryliński od razu zarekomendował mnie do takich prac na lotnisku w Krośnie.

*dniova*  
Dziewiętnastoletnia wojna

Z Mielca przyjechałem do Krosna gdzie miałem pracować w warszawskiej firmie budowlanej Tor. Zgłosiłem się do kierownictwa przedsiębiorstwa które zajmowało cały domek w środku miasta. Okazało się że jestem jedynym inżynierem, a reszta towarzystwa to urzędnicy, sekretarki którzy nie wiem czy wogóle mogli mieć coś do roboty. Jedyną budową była ~~budowa obiektu~~ <sup>to jest</sup> ~~objęta umową~~ była przebudowa wojskowego lotniska, miało się ~~ona obejmować~~ położenie betonowej płyty lotniska w miejsce istniejącego trawiastego <sup>oraz</sup> melioracji, dojazdów i tp. Lotnisko było użytkowane przez eskadrę myśliwców typu Karesie. Był to samolot myśliwski o średniej wartości bojowej, którego zasadniczą wadą było, jak uskartali się piloci, że przy lądowaniu, kiedy podnosił się dziób samolotu, pilot miał zaskónięty widok na teren lądowania co powodowało częste ~~defekty~~ *wypadki*.

Rozpocząłem prace od werbunku robotników, było to w owym czasie najprostrzą czynnością. Ludzie szybko dowiadywali się o pracy i tłumnie gromadzili się na placu budowy. Trzeba było wśród nich znaleźć <sup>Takich</sup> ~~ludzi~~ którzy znali się na ciesielstwie, kowalstwie i robotach ziemnych. ~~Szybko też miałem zorganizowany kierownictwo~~. Materiały dla budowy placu załatwiło się telefonicznie u <sup>goś</sup> ~~których~~ z miejscowych żądowskich handlarzy, którzy od razu dostarczali i to na kredyt wszystko, od mebli biurowych do żelaza zbrojeniowego. Tylko cement przychodził transportem kolejowym. Piasek i kamienie przywoziło dziesiątki futrańek chłopskich z im tylko wiadomych wyrobisk. Przedsiębiorstwo Tor dostarczyło tylko część maszyn i narzędzi. Rozpisuję się tak o tym by przedstawić łatwość rozpoczęcia i prowadzenia budów w warunkach przedwojennych. Do mnie należało wytyczenie robót i organizacja całej robo



~~tyły~~ ty. Panowie z biura mieli auto a ja tylko konną bryczkę. Wynająłem pokój i sprowadziłem żonę i dwa jamniki. Miasteczko było bardzo prowincjonalne, nawet nie pamiętało Łukaszczyca który tu miał aptekę i tu powstała pierwsza lampa naftowa. Dziś jest ~~to~~ <sup>tam</sup> piękne muzeum z bogatym zbiorem lamp naftowych. Nie znałem nikogo i życie osobiste ograniczyło się do pracy i do domu. Przyjechała matka by oglądnąć moje kolejne gospodarstwo.

Tymczasem radio dostarczało coraz to bardziej niepokojących wiadomości, na lotnisku zarządzono pogotowie i załogi czuwały przy samolotach przez całą dobę. Dostaję rozkaz budowy rowów przeciwlotniczych. Wykopane rowy pod kanalizację uznałem jako przeciwlotnicze i obeszło się od kopania nowych. Następnego dnia, 30 sierpnia dostaję rozkaz likwidacji roboty, wypłacenia należności i opuszczenia lotniska. Pieniądze przywieziono z biura, wypłaciłem co do grosza. Przy bramie awantury, żandarmeria odbiera robotnikom rowery, często bardzo biedniutkie i służące jako środek dojazdowy z dalekich wsi. Widocznie od nich zależało nasze powodzenie na wojnie. Jadę do biura po ~~pieniądze~~ pieniądze dla siebie. W biurze niema nikogo, drzwi pootwierane, kasa pancerna otwarta, papiery na ziemi. Sąsiedzi mówią że wszyscy wyjchali autami do Warszawy. Zostałem na łodzi. Trzeba było zabierać się do Lwowa. Udało mi się nadać skrzynię z rzeczami na kolei i wieczorem, wraz z matką, żoną i psami wepchnąć do pospiesznego pociągu jadącego z Krynicy do Lwowa.

Na drugi dzień po przyjeździe, pierwszego września w radio komunikaty o wybuchu wojny, a na Lwów spadają pierwsze bomby. Wojna nie była dla mnie niespodzianką. Od dawna śledziłem politykę III Rzeszy, byłem w Niemczech jako turysta i na własne oczy widziłem jak tam tworzyła się machina wojenna. Jako wice-prezes PAM Ligi, za błogosławieństwem MSZ objechałem środowiska akade-

nickie z odczytem pt. "Wielka polityka III Rzeszy". Przedstawiłem teorię Lebensraumu, Mein Kampf i sytuację światową. Mówiłem, że dla Hitlera ostatecznym celem jest owładnięcie terenów rosyjskich. Trudną sprawą dla mnie było przedstawienie kierunków ekspansji, jasne było, że muszą przejść przez Polskę, ale tego nie wolno było mówić, bo mieliśmy z Niemcami pakt o nieagresję, kluczyłem więc że będą dwa kierunki uderzenia, północny przez państwa bałtyckie i południowy przez Czechy, Węgry, Rumunię. Odczyt był kulawy, ale słuchacze rozumieli dobrze o co chodzi.

Mimo, zresztą dość umiarkowanego bombardowania udałem się z bratem na dworzec po mój bagaż. Dworzec był lekko uszkodzony, ale pociągi dochodziły. Ogólny rozgardiasz, mnóstwo ludzi, nikt nic nie wie. Okazało się jednak, że w tak zwanym tunelu bagażowym są jakieś bagaże. Poszliśmy tam, nikt niczego nie pilnował i o dziwo znalazłem swoją skrzynię. Drugim cudem było znalezienie taksówkarza który oznajmił, że to jego ostatni kurs, bo ma powołanie do wojska i zapewniał mnie, że zwycięży. Tak zresztą myślało wiele ludzi, ale nie ja.

Zgodnie z treścią afisza o mobilizacji poszedłem do RKU na ulicę Jabłonowkich. Dowiedziałem się, że teraz załatwiają karty "A", a ja mam przyjść jutro. Jutro była ta sama sytuacja i znowu jutro przyszedłem, aby zobaczyć puste biuro. RKU zdążyło już uciec w kierunku Rumunii. Przypomniałem sobie, że przecież jestem specjalistą od biernej obrony przeciwlotniczej, nawet autorem prac i poszedłem do magistratu zgłosić gotowość pracy. Przyjął mnie inż. Serafina, naczelnik Wydziału Budownictwa i od razu zamianował inspektorem obrony przeciwlotniczej miasta. Po tak pięknym wstępie dalszy ciąg okazał się tragiczno-komiczny. Do pracy nie dostałem ani jednego człowieka, żadnego samochodu, ani jednej deski, ani jednego worka

piasku, ot "Titel ohne Mittel". Cóż pozostało mi do zrobienia, oglądałem wspaniale sklepione piwnice pod ratuszem, nadające się na schron ale z niezabezpieczonymi oknami bo nie było ani ~~le da~~ żadnych materiałów. ~~Przy~~ przy pięknej pogodzie łąziłem po dachu i na wieżę, by patrzeć na rzadko przelatujące ~~samoloty~~ ~~niemieckie~~ niemieckie samoloty. ~~Brat~~ Brat jako harcerz pełnił służbę obserwatora na wieży wodnej w Nowym Lwowie gdzie przetrwał aż do 19 września.

W domu zaczęły narastać symptomy nadchodzącej tragedii. Z Częstochowy przyjechali teściowie, stracili wszystkie bagaże, bez pieniędzy, a teść po złamaniu nogi w biodrze ledwie się poruszający. Po nich na rowerze przyjechał z Katowic mój stryj, a pociągiem jego żona i dwie córki. Już miałem 11 osób na utrzymaniu bez <sup>a)</sup> zapasów i bez pieniędzy. Coraz częściej przyjeżdżali koledzy z prośbą o mapy i informacje dotyczące przejścia na Węgry lub do Rumunii. Niektórych wysyłałem do Plojeszti, do pana Starke o czym już pisałem. Stryjostwo zdołali wyjechać jeszcze pociągiem do Barysza, do ciotek Korzeniowskich. Zabrano ich stamtąd po pierwszej wywózce do Marijskiej Obłasci, skąd otrzymałem jeden <sup>list</sup> list że wszyscy pracują przy ładowaniu kamieni i że są chorzy na szkorbut, więcej nie miałem od nich, ani o nich <sup>1 4 5 2 3</sup> po wojnie z Czerwonego Krzyża. Przepadli bez śladu jak tyłu innych. Ja nie mogłem uciekać - czworo starych ludzi, zupełnie nieporadna żona i małoletni brat, ~~wszystko~~ żadnych zapasów, żadnych rezerw w dewizach czy złocie. Musiałem zostać choć wypaść w świat miałem bardzo ułatwiony gdyż świetnie znałem góry i miałem stosunki za granicą.

Informacje o sytuacji na froncie i w polityce światowej były chaotyczne, sprzeczne i wyraźnie fałszywe. Stale ~~sluchalem z~~ ~~polnisk~~ słuchałem z polskiego radia, szczególnie irytujące były enigmatyczne hasła "uwaga nadchodzi" i różne pojedyncze rzeczowniki. Dla kogo miał

być ten kamuflaż niewiadomo. Zapewne miała go odbierać jedna placówka, ale po co miała to słuchać cała Polska? Udało mi się przypadkowo złapać audycje niemieckiego radia w języku polskim z Wrocławia pt. "Czy to nie dziwne?". Przykro przyznać ale ich informacje okazywały się jedynie prawdziwe. Zdumiewała szybkość i dokładność relacji co wskazywało na istnienie dużej sieci informatorów ~~wykorzystanie łączności za krajem~~. Tak np. byłem w jakiejś sprawie na Zamerstynowie i patrzyłem jak zbiorniki ropy malują w Brzewa, gałęzie i liście - pomysł był oczywiście idiotyczny bo kształt walca pozostał i żadne malowania tego nie zmieniły. Już na drugi dzień radio Wrocław naigrywało się z tego pomysłu. Radio polskie mówiło o sukcesach naszych wojsk w Prusach, o obrobie Helu, a ja tu przypadkiem łapię rozpaczliwe przemówienia Starzyńskiego do wtóru pocisków spadających na Warszawę.

Sytuacja wojskowa miasta Lwowa była niejasna. Zarówno władze cywilne jak i wojskowe nie podawały żadnych komunikatów. Grasowała plotka przynoszona przez uciekinierów z całej Polski, zawsze dramatyczna, często katastroficzna. Wiadomem było tylko że komendantem miasta jest gen. Władysław Langner i że rezyduje na Cytadeli. Niemcy wnikali luznymi zagonami czołg<sup>w</sup> nie tylko ze z zachodu ale także z południa, ze Słowacji. Dnia 2 lub 3 września podjechał aż do Sichowa pociąg pancerny i ostrzelał przedmieścia. Byłem wtedy przed domem gdy na podwórzu sąsiada o kilka metrów odemnie, spadł granat i przez okienko stajenne przedostał się do środka i spadł na podściółkę. Koń się nerwowo poruszył ale granat nie wybuchł. Po chwili gospodarz wyniósł jeszcze gorący ~~parę~~ granat kalibru 100 lub 120 mm. Był to podarek z pociągu pancernego. W pierwszej chwili byłem zdumiony skąd tu się wzięli Niemcy gdyż radio podawało że są gdzieś pod Krakowem. Zorganizowane formacje niemieckie zbliżyły się do Lwowa dopiero 12 września.

kiedy czołgi płk. Schörner<sup>a)</sup> dojechały do ulicy Gródeckiej i wycofały się. Szpice doszły do dworca i Hołkóstioła. św. Elżbiety. Gen. Kübler obsadził Górę Kortumową, Zboiska i Hołosko. W następnym dniu Schörner uderzył od ul. 29 listopada. Polskie wojsko odbija Górę Kortumową i cmentarz Janowski, a Schörner ponownie je zajmuje. ~~Dnia 19 września Niemcy wycofują się poza granice~~

W tym czasie przez Lwów dalej sunie lawina uciekinierów. Równocześnie kawiarnie są pełne, na rynku rozdają chleb, wszędzie wielu żołnierzy, oficerów, udhodźców, uciekinierów, ~~xxxxxyxxxxx~~ szacuje się że ilość ludności wzrosła do 900 000 osób. ~~xxxxxxx~~ Przez miasto przejeżdżają kawłakady samochodów, czasem dziwnych bo cysterny, Śmieciarki, wozy straży pożarnej, Dziwne wrażenia wywołują otwarte samochody osobowe, często otwarte w których widzi się eleganckich oficerów z młodymi kobietami, walizy, rekiety, psy. Benzyna rośnie w cenie, ale złote nie są chętnie brane, płaci się obcą walutą, złotem, kosztownościami. Dzień 4 września wywołuje wybuch nadziei z powodu wypowiedzenia wojny przez Francję i Anglię, ale gdy oczekiwane desanty z morza i powietrza jakoś się nie realizują szybko ogarnia beznadzieja. <sup>n</sup>

Dnia 14 wrze-  
 śnia w cza-  
 sie nalotu  
 spadają bomby  
 na budynki  
 mieszkalne  
 PKO przy uli-  
 cy Piłsudskie-  
 go ganie ginie  
 60 osób urze-  
 dników i ich  
 rodzin z całej  
 Polski

Dnia 17 września skłyszmy przez radio przez 24 godzin mani-  
 fest Stalina głoszący ~~ze~~ w języku polskim, ukraińskim i rosyj-  
 skim że rząd polski uciekł, że na ziemiach wschodnich jest chaos  
 i że ludność ukraińska i białoruska prosiła Związek Radziecki o  
 opiekę i że armia radziecka otrzymała rozkaz wkroczenia na te  
 ziemie dla zabezpieczenia porządku. Ciekawe że nie podaje się do  
 jakiej granicy posuną się sowieci i co znacznie ciekawsze zna-  
 lazło się stwierdzenie "że odwiecznie ruskie miasta Lwów i Wilno  
 wrócą do macierzy" ! Niemcy są jednak nadal pod Lwowem i żądają  
 kapitulacji. Gen. Langer odmawia. Dopiero 20 i 21 września Niemcy  
 odступują od Lwowa i gen. Langer dnia 22 przekazuje Armii Czerwo-  
 nej miasto. O godzinie 14 sowieci wkraczą do Lwowa przez wszy

stkie rogatki. Po orędziu Stalina miasto pogrążyło się w ciszy i rozpaczy, nikt nie wie co będzie. Oficerowie i żołnierze porzucają mundury i przebierają się w cywilne łachy. Niewiadomo w jakim charakterze przyjdą sowieci, jako sojusznicy przeciw Niemcom, jako wyzwolicieli Ukrainy, jako wrogowie? Krażą tylko straszliwe wspomnienia z wojny dwudziestego roku. O ruchach wojsk niemieckich, o losach walczących po lasach oddziałach polskich i o tym z kim walczą, ~~nixnioxwixdane~~ o kapitulacji gen. Längera nie wiadomo.

Dnia 22 września usłyszałem gądcące czołgi, wyszedłem na ulicę Kadecką. Z góry jechały ~~xxxi~~ czołgi z zamkniętymi włazami i lufami wodzącymi po frontonach kamienic. Po bokach, chodnikami idą żołnierzy "bojcy", za karbinami ze "sztychami" to jest dżugimibagnetami o trójkątnym przekroju z wgłębionymi ściankami. Taki przekrój ułatwia wyciągnięcie bagnetu z ciała. Była to ulubiona broń armii carskiej. I dziś można spotkać na terenie ~~twierdzy~~ twierdzy brzeskiej pomnik w postaci takiego ostrza sterzącego sto metrów w niebo, zrobionego ze szlachetnej stali. Patrzą nerwowo ~~po oknach~~, mieli rozkaz strzelać w każde otwarte okno. Ubrani są <sup>w</sup> czapki będące parodią niemieckiej pickelhauby, zrobione z sukna z wiszącymi kłapanami na uszy, miękkim cyckiem na szczycie i czerwoną gwiazdą naszytą od przodu. Czapki te były zwane "stalinówkami" bo w takiej w tym czasie lubił on występować. <sup>Sw</sup> w rubaszkach i spodniach wpuszczonych w buty z brezentu. Twarze z reguły mongolskie, poza oficerami. Z dołu ulicy idzie dwu starszych, typowych rezerwistów, w mundurach bez odznak, ale w rogatywkach. Żołnierze ich zatrzymują, podchodzi podoficer. Oni uśmiechają się, coś bąkają "haj żywe, Stalin, na Cermanca". Podoficer podchodzi i po spokojnym stwierdzeniu "oficir" strzela do jednego potem do drugiego i odchodzi. Skończyła się dla nich wojna a dla mnie było to pierwsze, pouczające spotkanie z wyzwolicielami.

Bojcy

Nad miastem zawisła złowroga cisza. Słyszcy się o aresztowaniach, łowach na oficerów, wyrzucania z mieszkań. Sklepy nieczynne, chłopcy nie przychodzą na targ. Wiele osób ucieka na piechotę za San, inni idą na Węgry i próbują iść na Rumunię. Wkrótce dowiadujemy się że na granicach wyłapują uciekinierów i wywożą na wschód. Niema co jeść, głód, czasem na rynku rozdają chleb z samochodów. Już nie pamiętam jak to przeżyliśmy i cośmy jedli. Wiem że były jakieś ziemniaki w piwnicy, trochę jarzyn z ogródka, zbieraliśmy lebiodę gotując jak szpinak, listki z poziomek i malin na herbatę, ale jak wyżyły moje trzy jamniki to już wogóle nie umię sobie wyobrazić.

Kiedy szedłem ulicą Kopernika widziałem jak z Cytadeli wyjechało kilka samochodów ciężarowych na których leżały jak snopy ciała oficerów polskich w mundurach i przy medalach. Jak potem mówiono po kapitulacji nastąpiły tam masowe samobójstwa.

Powoli miasto przychodziło do siebie, ruszyły tramwaje. Na Krakowskim zaczął kwitnąć handel z sowietami którzy kupowali dosłownie wszystko, a specjalnie "czysy" czyli zegarki. Zaczęli pojawiać się chłopcy ze swym handlem wymiennym. Odżywały kawiarnie choć nie pamiętam co tam podawano. Klientela była dość szczególna do fasonu należało chodzić w oficerskich butach i jakiejś kurtce przypominającej wojskową i konspirować nad stolikami. To się później smutno skończyło. W kościołach na nabożeństwach były tłumy ludzi którzy jeszcze chyba nigdy w życiu tak szczerze się nie modlili. Myśmy żyli ze sprzedaży skromnej biżuterii, obrączek, a ja szukałem pracy za wszelką cenę.

~~XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX~~ Zaruski nieznan

Jadąc tramwajem spostrzegam naprzeciw siebie znajomą twarz, ale w pierwszej chwili nie poznaję. To był generał Zaruski ale zgolone wąsy zdeзорjentowały mnie. Witamy się serdecznie i zapraszam jego z małżonką do siebie. Generałostwo opowiedziało mi swoje wojenne dzieje. Po wybuchu wojny mimo antypatii jaką czuł do marszałka Rydza-Śmigłego i niskiej oceny jego kwalifikacji wojskowych, Zaruski wdział swój generalski mundur ze wszystkimi odznaczeniami i zameldował się z powrotem do czynnej służby. Rydz-Śmigły zgłoszenia nie przyjął. Generał wraz z małżonką udał się szlakiem wielu uchodźców na wschód. W okolicy Pińska pociąg zostaje zbombardowany, państwo Zaruscycy zostają na pół zasypani ziemią i tracą cały swój bagaż. Po różnych perypetiach dostają się do Lwowa, który w tym czasie był wielką stacją przelotową. Generał nie zdecydował się na emigrację i pozostał we Lwowie.

Jego charakterystyczną twarz z sumiastym wąsem nie zapewniała incognito. Przez jednego ze swych żeglarzy został rozpoznany w tramwaju i powitany głośnym okrzykiem "Panie generale", co zważywszy na ówczesną sytuację nie było odezwaniem zbyt fortunym. Wokół generała skupili się jego dawni podkomendni, Generał zgolił wąsy, dostał fałszywe papiery na naswisko Stojowskiego, a spotkany przypadkiem na ulicy asystent botaniki Uniwersytetu Jana Kazimierza, nazwiskiem Motyka i znany mu z Zakopanego, odnajdł państwu Zaruscycy pokój w swoim mieszkaniu służbowym przy Ogrodzie Botanicznym na Pohulance.

Państwo Zaruscycy zdołali zachować niewiele gotówki, toteż korzystali z gościnności swoich znajomych z przed wojny i byłych jachtsmanów. Byli również częstymi gośćmi w ~~XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX~~ domu moich rodziców, gdzie matka gotowała im ich wielki przysmak - prażuchę.



Generał był zawsze bardzo krytycznie ustosunkowany do "regimu pułkowników"<sup>1</sup> - w chwili zamachu stanu przez marszałka Piłsudskiego był adiutantem prezydenta Wojciek<sup>ch</sup>owskiego i odmówił podporządkowania się swemu wodzowi i przyjacielowi Piłsudskiemu. Uważają<sup>c)</sup> że nie jest możliwy wybór pomiędzy legalną władzą a rozkazem naczelnego wodza, podał się do dymisji i przestał uczestniczyć w życiu politycznym. Teraz licząc 72 lata, uważał że jego społeczna rola się nie skończyła i że po wygranej wojnie, w co nie wątpił, zostanie senatorem, oraz że powróci na swój jacht Zawisze Czarny i przyszły rejs wypisze z polskiego portu w Królewcu.

W chaosie i dezorientacji panującej wśród Polaków we Lwowie generał zachował imponujący spokój - widział już nie jedno w swym życiu - brak udział w wojnie japońskiej i w pierwszej wojnie światowej, walczył z bolszewikami, przeżył więzienia i zesłanie, przewędrował cały świat. Wierzył w klęskę hitleryzmu, wierzył w nowy kształt Polski, choć nie umiał sprecyzować jej przyszłego obrazu.

W owym czasie generał objawił się od strony, której nikt z jego załogi nie podejrzewał. Okazało się że generał jest spirytystą i to od długiego czasu. Spirytyzm w jego pojęciu wiązał się w harmonijną całość z wiarą katolicką i filozofią platońską. ~~Na podstawie~~ Generał z całą powagą celebrował pełny rytuał ~~spirytystyczny~~ spirytystyczny z seansami, mediami, notowaniem wszystkich zaobserwowanych zdarzeń i nadbudowywaniem na tym swego systemu wierzeń.

Generał w swoim życiu a przed<sup>e)</sup> wszystkim po pierwszej wojnie odbywał wiele seansów i to nie tylko w ciasnym gronie ludzi najpoważniejs<sup>v</sup> podobnie myślących. W jego seansach uczestniczyli<sup>v</sup> ludzie tamtej epoki, a eksperymentowano z najciekawszymi mediami, jakie zawi-

tażu do Warszawy. Materiały z tych seansów zostały spisane w dwu grubych brulionach, przewidzianych do druku. Niestety bomby niemieckie we wrześniu 1939 r. zniszczyły jego dom-muzeum na Żoliborzu wraz z całym dobytkiem.

Nie był to czas sprzyjający prowadzeniu notatek, toteż polegałem tylko na własnej pamięci i trudno przypomnieć sobie nazwiska wszystkich mediów i uczestników seansów. Pozostało mi w pamięci nazwisko Guzika, o którym generał twierdził że początkowo był dobrym medium, a kiedy jego zdolności zaczęły wygasać uciekał się do sztuczek i oszustw. Najwięcej generał mówił o niejakim Dłuskim - zubożałym szlachcicu litewskim, który bardzo niechętnie ~~brakowało~~ się udzielał. Jego obecność z miejsc<sup>a)</sup> wyzwała ciekawe objawy, a przede wszystkim manifestację zjaw i telekinezję. Dłuski był człowiekiem zdziwaczalym, samotnym i bardzo nieszczęśliwym, gdyż manifestacje zjaw powstawały nie tylko na seansach, ale w porze nocnej<sup>x</sup> u niego w mieszkaniu. Opowiadał że otaczają go w łóżku uniemożliwiając sen i wypoczynek. Ludzie tacy w średniowieczu uznani byliby za nawiedzonych i skończyliby na stosie. Opowiadał mi mój przyjaciel Tadeusz Zwoliński<sup>v</sup>, który także był dobrym medium<sup>x</sup>, ale nie spirytystą, że zdarzało mu się to samo gdy długo pracował w ciemni fotograficznej<sup>js</sup>.

✓  
w Zakopanem

Generał uważał że wszelkie manifestacje w postaci aktów fizycznych uzależnione są od stopnia zagęszczenia ektoplazmy wydzielanej przez media - <sup>o</sup>wobec jeżeli nastąpi materjalizacja palca to może poruszyć małe przedmioty, jeżeli zamterjalizuje się krtań, to można usłyszeć głos i słowa, gdy zmaterjalizuje się cała postać, wówczas mamy do czynienia ze zjawą. Za najciekawsze zjawisko uważał generał tak zwane "rączki". Posiadał<sup>u)</sup> największy zbiór na świecie liczący 57 modeli - wszystkie one zostały zniszczone przez bomby. Zjawisko rączki powstaje wówczas gdy zjawa

zmaterializuje się i wówczas prosi się by zanurzyła splecione dłonie w uprzednio przygotowanym naczyniu z roztopioną stearyną i przetrzymała je do skrzepnięcia stearyny. Następnie zjaw dematerializuje się i w stearynie pozostaje przestrzenny <sup>negatyw</sup> splecionych dłoni. ✕ Wystarcza potem w te otwory wlać gips, stopić stearynę by otrzymać wierny model splecionych dłoni i palców ze wszystkimi szczegółami, jak porami skóry, śladami włosów i tak dalej. Uzyskanie takiego odlewu w inny sposób jak przez dematerializację jest fizycznie niemożliwe. Toteż spirytyści uważają "rączki" za fizyczny dowód istnienia zjaw.

Do ciekawszych zjawisk na seansach generała, podobno gdzie indziej nie notowanych, było powstawanie czerwonych zjaw, <sup>w</sup> gdy normalnie posiadają kolor mglisto biały lub zielonkawy. ✕ Według generała kolor czerwony oznaczał manifestację złych sił - szatana. W czasie takich seansów uczestnicy byli narażeni na niemiłe manifestacje, jak policzki, bolesne uderzenia i na histeryczne reakcje obecnych. Do rzadkich zjawisk należała manifestacja zjaw zwierząt, ale i to zdarzyło się w jego seansach. Kilka razy pojawiły się ichneumony /gryzonie indyjskie, nieprzyjaciele okularników/ które biegały po obecnych. Pewnego razu zmaterializował się wąż o kolorze czerwonym, grubości uda i długości kilku metrów, co wywołało panikę i trzeba było przerwać seans.

Był raz jeden seans o charakterze historycznym, jedyny w którym brał udział marszałek Piłsudski. Zmaterializowała się wówczas postać jego matki, staruszki drobego wzrostu - podeszła do syna i przez kilkanaście minut cicho ze sobą rozmawiali. Po seansie Piłsudski wyszedł bez słowa i nigdy już więcej nie brał udziału w seansach, nigdy też nie chciał powiedzieć o czym była rozmowa. Z zachowania marszałka można było wnioskować że rozmowa nie należała do przyjemnych.

Generał w swoich poglądach na drugi świat był wiernym spiry-

tystą, rzecz można zreformowanym. Do klasycznych pojęć dodawał jeszcze swoje idee, które, jak utrzymywał były przekazane z tamtego świata. Ale nim opowiem o jego światopoglądzie, a raczej zaświatopoglądzie, trzeba naświetlić idee, które na wielu seansach miał mu przekazać jego duch opiekuńczy, a takiego ma rzekomo każdy ~~człowiek~~ /tu trzeba przymknąć oczy na sprawy przeliczeń demograficznych/. Opiekunem generała był zmarły przed stu pięćdziesięciu laty, litewski szlachcic nazwiskiem Jankowski. Na jednym z seansów generał spytał go o jego personalia, a uzyskawszy <sup>je</sup> pojechał na Litwę pod wskazany adres gdzie w księgach metrykalnych stwierdził zgodność danych. Generał twierdził że o tej miejscowości nigdy przedtem nie słyszał i pierwszy raz był w tych okolicach. Nazwa wsi niestety uszła mi z pamięci. Według Jankowskiego zaświaty są podzielone na siedm sfer /analogia z wierzeniami wschodu/ ~~ixxxx~~ ~~podzieleno~~ i w każdej z nich przebywają inne kategorie dusz. W najniższej znajdują się dusze ludzi złych i co ciekawe, głupich. Jankowski znajdował się w trzeciej sferze, taka "middle class", zadaniem tej klasy była opieka nad ludźmi i jeśli <sup>podobny</sup> ~~podobny~~ prowadził żywot przykładowy, to jego opiekun awansował do ~~wyższxxxxxxx~~ wyższej sfery. Jankowski za opiekę nad generałem awansował do czwartej sfery i żegnając się z generałem zdołał mu tylko powiedzieć, na seansie oczywiście, że czeka go tam szczęśliwość obcowania z Bogiem, ale żadnych innych szczegółów był nieświadomy i nie wiedział co dzieje się w wyższych sferach. Generał podawał te wiadomości z pełną wiarą i powagą która słuchaczom zamykała usta i odbierała chęć do ironicznego potraktowania tych wiadomości.

Generał organizował i w moim mieszkaniu swoje seanse, w których poza panią Izą, udział brała moja rodzina, brali też udział ludzie bardzo odlegli duchem od tego rodzaju wierzeń, jak moi koleżdy z Politechniki, asystenci prof. Bartla, po wojnie profeso-

rowie wyższych uczelni. Poza generałostwem tworzyliśmy grono przepojone sceptycyzmem i przekonaniem o szusności praw fizycznych. Seans rozpoczął się pompatycznie i trzeba było nam opanowywać uśmiechy, na szczęście było prawie ciemno, gdyż światło mogło być tylko w sąsiednim pokoju. Otóż generał poważnym głosem wzywał "duchu czekamy na ciebie, wzywamy ciebie, przybądź do nas". Po kilku minutach pojawiały się pierwsze zjawiska, a to powiew chłodnego wiatru po twarzach uczest<sup>ni</sup>ników, mimo zamkniętych drzwi i okien, którego fizycznym potwierdzeniem były zburzone włosy. Dalsze zjawiska raczej skromne, nie mniej trudne do wytłumaczenia prawami fizycznymi. Stolik, nie posiadający w swej konstrukcji gwoździ, stawał na jednej nodze i mimo naciskania go przez kilku mężczyzn nie wracał do poprzedniej pozycji, kołysał się i wreszcie uniosł się kilka centymetrów nad podłogą. Nie potrzebuje dodawać że obecni tworzyli dłońmi na stole połączony krąg. Inne zjawiska to było przesuwanie się talerzyka, zaginięcie rogów kartki papieru na stole, stukanie w pudełko od zapalek i postawienie go na innej ścianie. Więcej nie udało się nam osiągnąć. Zarówno osoby uczest<sup>n</sup>iczące w seansie jak ich stosunek do zagadnienia, oraz wzajemna kontrola, wykluczały jakąkolwiek mistyfikację. Wydaje się że tym medium był sam generał, gdyż seans<sup>S</sup> powtórzone w tym samym składzie ale bez generałostwa, nie dały żadnych rezultatów. Część tych zjawisk generał tłumaczył częściową materjalizacją zjawy, ~~materyjalizacją~~ natomiast nie umiał wyjśnić podnoszenia się stolika. Dziś ta zjawiska są przedmiotem badań naukowych i znika powoli cała otoczka tajemniczości i potrzeby sięgania w zaświaty. Niemniej, ujawnienie tych zjawisk w kontekście osoby generała Zaruskiego, może stanowić przyczynek do naświetlenia tak niezwyklej i bogatej duszy generała.

Po jednym spotkaniu u mnie w domu, chyba z początkiem grudnia 1939 r. generałostwo wrócili do domu na Pohulance gdzie na nich oczekiwali oficerowie ~~NKWD~~ NKWD i zabrali do więzienia w Brygidkach. Jak mi opowiadała generałowa, razem z mężem byli kolejno w pięciu więzieniach na terenie ZSPR i w obozie pod Ch<sup>o</sup>rkowem generał zmarł na tyfus. Żona wróciła w 1969 r. Oskarża ona o doniesienie do NKWD o ich obecności przez żonę asystenta Motyki z pochodzenia Ukrainki, z którą generałowa miała wiele scysji. Po wojnie próbowałem zidentyfikować osobę Motyki i jego żony. Sądziłem że byli to ludzie związani z rodziną Motyków w Zakopanem. Nie mieli oni z nimi nic wspólnego. Dopiero w latach osiemdziesiątych dowiedziałem się że pan Motyka po wojnie był profesorem botaniki na Uniwersytecie Lubelskim, a jego żona była docentem. Oboje już dawno nie żyli.

Po ogłoszeniu przezemnie artykułu pt. "Zaruski nieznan" w Tygodniku Demokratycznym w 1982 r. otrzymałem ciekawą przesyłkę. Była to odbitka ksero karty tytułowej książki Mariusza Zaruskiego pt. "Na Morzach Dalekich, kartki z pamiętnika marynarza Polaka", wydanie trzecie, 1929 r. na której znajduje się ~~na~~ odręczny napis "Autor M. Zaruski aresztowany w październiku 1939 r. zmarł w więzieniu Brygidki w październiku 1940 r." i podpis "współwięzień /podpis nieczytelny/". Próbuję odczytać "J. Rasiukowski" ? Ta wiadomość nie zgadza się z opowiedzianą mi podaną powyżej historią przez generałową. Może generałowa była zmuszona do podania swojej wersji. W jej relacji jedno wydaje mi się nieprawdopodobne, to że cały czas w pięciu więzieniach była zawsze razem z mężem. Wiadomym jest że władze NKWD zawsze rozdzielały małżeństwa więźniów. Gdzie jest prawda ?

Lagier  
Obóz wojennoplennych w Nieszuchowie

We Lwowie powoli organizuje się radziecka administracja. Urzędy polskie przestały istnieć, powstają nowe ~~urzędy~~. Napływają urzędnicy z Rosji, na podrzędne stanowiska wchodzi dawni polscy pracownicy, przyczem na pierwszym miejscu są Żydzi, po nich Ukraińcy i dopiero na trzecim Polacy. O polskich komunistach nie nie słychać, podobno jakichś działaczy aresztowano. Niewielu ludzi zna rosyjski toteż w użyciu ~~są~~ są jakieś zlep<sup>ki</sup>ki polsko-rosyjsko-ukraińskie. Ludzie ciągle starają się opuszczać miasto. Przejścia na Węgry i do Rumunii stają się coraz ryzykowniejsze. Większość star<sup>u</sup> się wrócić do General Gouvernement. Przy ulicy Grochowskiej władze radzieckie rejestrują uchodźców do powrotu za San. Kilka pociągów rzeczywiście odeszło. Dalsze transporty pojechały na daleki wschód. Wychodzi po polsku dziennik "Czerwony Sztandar". Jedyny, ~~pokazowy proces grupy Sterne~~. Głosowanie za przyłączeniem do Związku Sowieckiego. Paszportyzacja, mnóstwo tematów dla historyków.

Jedno zdarzenie chciałbym przypomnieć, by nie uszło uwagi. W grudniu władze radzieckie zaprosiły czterech lwowskich profesorów ~~Bartla, Boya, Zelenkiego~~ Kazimierza Bartla, Tadeusza Boya Zelenkiego, wówczas profesora literatury francuskiej na uniwersytecie lwowskim, Leona Chwistka malarza i filozofa, oraz lekarza ukraińskiego Światosława Pańczyszyna. Po ich powrocie ukazały się w Czerwonym Sztandarze ich relacje z pobytu. Bartel opisał swoją wizytę w Leningradzie gdzie zdecydowano wydrukowanie w języku polskim jego książkę o perspektywie malarskiej i delgowanie do Lwowa jako tłumacza Polaka z pochodzenia <sup>✓</sup>Szklar-skiego, który rzeczywiście przyjechał do Lwowa, został przez czas okupacji niemieckiej i po wojnie został profesorem na Akademii Górniczej w Krakowie. Boy napisał recenzję z jakiejś sztuki francuskiej widzianej w teatrze moskiewskim. Artykułu Pań-

Ludgara

czyszyna nie pamiętam. Chwistek napisał obrzydliwy artykuł będący pochwałą Stalina i Związku Radzieckiego, pełnego wdzięczności za wyzwolenie, podziwu i miłości.

Na Politechnice lwowskiej była jeszcze "Polska". Został tam prof. Bartel który mimo że był premierem nie opuścił kraju. Uczelnia działała nadal. Zachowały się formularzy dyplomów polskich i pieczęcie. Studenci którzy mieli zaległe egzaminy byli wzywani do ich uzupełnienia i Rektorat wydawał nadal polskie dyplomy inżynierskie.

Rozglądam się za pracą. Dowiaduję się o budowie autostrady ze Lwowa, przez Brody do Równego, gdzie połączy się z szosą do Kijowa. Kierownictwo najbliższego odcinka ma się znajdować w Jaryczowie odległym o 24 km od Lwowa. Pożyczam rower i jadę. Jaryczów składał się z dwu części, Stary Jaryczów notowany jeszcze w XVI wieku był właściwie wsią zamieszkałą przez Mazurów. Nowy Jaryczów był miasteczkiem o ~~dwóch~~ dwu tysięcznej ludności, prawie ~~wyłączony~~ wyłącznie żydowskiej. Mówiono że ~~tam~~ tam tym jest tylko czterech Polaków : proboszcz, aptekarz, lekarz i komendant policji. Nad miasteczkiem górował dwór rtm. Leona Krzeczczanowicza, znanego polskiego jeźdźcy i olimpijczyka. Dwór stał na pagórku, gdzie ongiś był gród warowny, otoczony z trzech stron bagnami. Dwór był skromny, już zdołał być obrabowany, zabudowanie puste w ruinie. We dworze ~~został~~ zastałem jakiegoś oficera /wówczas tacy nazywali się starszyną/ NKWD siedzącego w pustym pokoju przy biurku, na którym siedział zasmolony szofer i rugał swego zwierzchnika. Zdołałem się jakoś z nim porozumieć. Natychmiast oferował mi pracę i kazał przyjechać nazajutrz.

Następnego dnia zdołałem przyjechać jakimś jeszcze kursującym autobusem żydowskim, gdyż pociąg na tej linii nie chodził, a ów oficer wziął mnie do samochodu i pojechaliśmy do odległego



o 20 km Nieszuchowa, ordynacji <sup>hrabiów</sup> /Dzieduszyckich, gdzie ordynatem był stryj popularnego aktora, a nawcy teatru, muzykologa Wojciecha Dzieduszyckiego. Obszerny dwór, a raczej pałac był położony w pięknym parku, schodzącym łagodnie do stawu. Obok były obszerne zabudowania. I dwór<sup>x</sup> i zabudowania były doszczętnie wyrabowane przez chłopów, nie ostawała się ani kaplica, ani oranżeria. Zniknęły wszystkie klamki, okucia, poręcze. Przechodząc korytyrzem zauważyłem dwuskrzydłowe, zamknięte drzwi, do których prowadziły dwa stopnie. Co za tajemnica? Gdy obszedłem ścianę z drugiej strony zastałem <sup>w</sup>głębki mur. Czyżby to było jak z tymi nieistniejącymi komnatami w starych dworach, które liczone według zewnętrznych okien winne być, a wewnątrz nie można się było ich doliczyć. Na drugi dzień kazałem je wyważyć i co się okazało, wewnątrz, na podwyższeniu królowały dwa ogrone, fajansowe urynały. No cóż łazienki nie było, ubikacji nie było, ale one jedyne ocalały z rabunku.

Na miejscu byli już żołnierze NKWD i milicja złożona z miejscowych chłopów. Mój zwierzchnik, człowiek ponury i bez uśmiechu, poinformował mnie że nazajutrz przyprowadzą tu "wojenno-plennych" i że trzeba będzie przygotować noclegi i wogóle sąły obóz dla około 800 ludzi. Milicja sprowadziła chłopów, <sup>a</sup>kazałem wyczyszczyć pokoje i rozesłać słomę, a na podwórzu wykopać długie doły nad którymi dwie poziome belki tworzyły rusztowanie latryny. W jakiejś oficynie zachowały się jakieś izby które zająłem na kwaterę. W dużej dworskiej kuchni leżyły sterty cennych książek z wyrwanymi ilustracjami i tekturowymi okładkami. Ich resztki służyły mi jakiś czas jako lektury.

Na drugi dzień przyprowadzono długą kolumnę jeńców, otoczoną licznymi "karaulami" czyli strażą NKWD, uzbrojonymi ~~perxxxx~~ w pepesze gotowe do strzału. Byli to polscy żołnierze, jeszcze stosunkowo dobrze ubrani, choć część była w drellichach, mieli

chlebaki, torby na maski gazowe, niektórzy plecaki. Twarze ponure nieufne, milczące. Rozlokowałem ich po pokojach, w jednym dąłem chorych na tyfus i czerwonkę.

~~Przez~~ Początkowo nie chcieli ze mną mówić, ale wkrótce znaleźli się wśród nich inteligenci, jak się potem okazało oficerowi, który łaknął wiadomości. Nic nie wiedzieli co się w świecie dzieje. Namawiałem ich do ucieczki póki jeszcze strażę są nieliczne, brak ogrodzeń, psów. Niektórzy skorzystali i w nocy znikli. Inni uważali że bolszewicy muszą ich odstawić do domu, bo oni przecież z nimi nie walczyli, że to krzywda, że świat się o nich upomni i różne takie dyrdymałki. Dowiedziałem się wreszcie o ich losach. Ujęci na różnych frontach, bądź sami się poddali, bądź wzięto ich do niewoli, po kilku przejściowych obozach znaleźli się w obozach Ostaszkowie, Starobielsku i Kozielsku. ~~Tam nastąpiła~~ Tam nastąpiła segregacja, oddzielili ich od oficerów, policjantów, sędziów, ~~ale~~ nie wiedzieli jaki <sup>ich</sup> los spotkał. Wywieźli ich do kopalń, do Donbasu. Tam jeńcy, jeszcze nie zmiażdżeni maszyną sowiecką, burzyli się i żądali odwiezienia do domów. Było też wiele wypadków w kopalniach i ~~inni~~ wzburleni się do nich wchodzić. Wywieźli ich na dawne tereny polskie. Jak później się dowiedziałem na budowę tej drogi przywieziono 40 000 ludzi, a podobno do takich samych robót na Litwie ~~dał~~szych 30 000.

W obozie w Niesłuchowie warunki zaczęły się powoli normalizować. Przyjechał jakiś Ukraińiec, więzień Berezy, rzekomy inżynier, po nim rosyjski inżynier który oświadczył że jest Polakiem, nawet jakoś mówił niby po polsku. Część jeńców odmaszerowała do innych obozów, ~~zniknęli~~ z reguły robionych w dawnych dworach i zabudowaniach dworskich. Pozostałych podzielono na kilkudziesięcioosobowe grupy i rozstawiono pod strażą wzdłuż gościńca gdzie wykonywali roboty ziemne mające na celu

poszerzenie korony drogi i przygotowanie jej do kładzenia nawierzchni. Na kwatrze<sup>e</sup> byłem razem z owym "polskim" inżynierem. Pochodził z Białorusi gdzie jego ojciec był organistą. Pytałem czy odwiedza rodziców, okazało się że nie był u nich już 20 lat i wcale nie zamierza ich odwiedzić. Pytałem dlaczego, mówił że musiał się ich wyrzec aby być przyjętym do szkoły średniej, nie mówiąc już o szkole wyższej.

Zacząły przychodzić listy, ale tylko z Rosji i raz odebrałem list do mego "Polaka", przeczytał i wyrzucił. Zapytałem od kogo~~x~~ me ten list. Odrzekł :

- Od staryka -
- A co pisze ? -
- Że bolnyj i chce pieniędzy -
- Poślisz ? -
- Staryk niech umieraj -

W stosunku do jeńców był ostry, nieprzystępny, wrogi, taki sam jak i "karauły" złożone z samych Azjatów, nie znających rosyjskiego, tylko "straszyna" składała się z Rosjan. Z jeńcami mogłem swobodnie się komunikaować, mówić im co podają zachodnie radiostacje, gdyż we Lowie miałem aparat i rodzina stale słuchała. Stale ich namawiałem do ucieczek, tylko inteligenci dawali się namówić, żołnierze trwali w twierdzeniu że nie są jeńcami, że nie walczyli, część była zupełnie złamana psychicznie i nie byli zdolni do żadnego działania. Posiadali jeszcze jakieś resztki ekwipunku i mogli wymienić go u chłopów na jedło, gdyż reszcie zaczął już doskwierać głód. Tymczasem mnie przenieśli do Zapytowa, któremu to oddziałowi podlegał obóz w Podlistach, ale to obozu już wstępu nie miałem. Z jeńcami spotykałem się tylko na budowie.

Łagier wojennoplennych w Podliskach

Przeniesiono mnie do odległego o 10 km od Lwowa Zapytowa, na odcinek obsługiwany przez jeńców z Łagru w Podliskach, Małych. Tym razem nie miałem wstępu do obozu, z jeńcami miałem kontakt tylko na budowie. Obóz był otoczony drutem i wewnątrz gospodarzyli nekawudziści. W Zapytowie zamieszkałem u majstra z budowy. Na wsi życie było bardzo ciężkie. Była mroźna zima a za opał w tych okolic od dawna ~~nie było~~ torf pobierany z pobliskich torfowisk, obecnie upaństwowionych, miały one zaopatrywać Lwów. Gospodyni miała resztki torfu z przed wojny i rozpałał<sup>a</sup> nim mizerny ogień pod żelaznym trójnogiem by coś ugotować dla rodziny, która gnieździła się w małej izbie. Ja dostałem drugą izbę, oczywiście nieopalaną, z pojedynczymi szybkami. Spać kładłem się we wszystkim co miałem, jeszcze jakimś workami<sup>ć</sup> w czapce na uszy. Miałem świeczkę na długie czytanie. Przeżyłem tu dziwny ~~przyjemny~~ moment - świeczka zapalała się i zaraz gasła a knot spalał się bez reszty. Dopiero po chwili uzmysłowiłem sobie że ilość ciepła z palącego się knotu nie wystarcza na rostopienie się stearyny, musiałem wprawdzie podgrzewać ją płomieniem kawałka papieru, poczem świeca paliła się normalnie.

Wkrótce dostałem towarzysza, inż. Piskozuba z Politechniki gdańskiej. Był to człowiek zamknięty w sobie, tyle dowiedziałem się od niego że był syndykalistą, czego bolszewicy bardzo nie lubili, że był aresztowany, że uciekał. Jego majątek składał się tylko z tego co miał na sobie. Głównym naszym problemem było jedzenie. Na miejscu można było dostać tylko chleb. Gospodarz miał jedną krowę i czasem dostałem trochę mleka. Podgrzane mleko z dodatkiem wody i chleb posmarowany ząbkiem czosnku to było podstawowe jedzenie. Czasem trochę ziemniaków lub jakiejś kaszy.

Życie jeńców było bardzo ciężkie - głód i zimno. Ich wyży-

✓  
służył

✓  
przykrywałem  
się

wienie składało się rano z kawy zbożowej bez cukru i z 1/20 bochenka chleba, wieczorem z menażki braji owsianej lub gotowanej rzepy. Jeżeli w pracy przekroczyli normę o minimum 10 % dostawali w południe gorącą, tak zwaną "premludę", była to zupa składająca się z różnych odpadów, jak głowy końskie, zgniłe kartofle, kapusta, resztki kaszy. Brak tej strawy przez kilka dni prowadził do śmierci z wyczerpania. I tu się otwierał problem dla mnie. Do mojego obowiązku należało sporządzanie codziennie tak zwanego "nariadu", to jest wykazu wszystkich pracujących jaką pracę wykonali i w jakim procencie normy. Faktyczna zdolność przerobowa wynosiła kilkanaście procent. Sto procent mógł chyba wyrobić dobrze odżywiony człowiek i z natury obdarzony dużą siłą. Normy radzieckie były doskonale opracowane, składało się na nie wiele zeszytów na poszczególne prace z podaniem utrudnień i td. Tylko że były szatańsko wysokie. Przypominał sobie że np. wykop w glinie miał obejmować wydobycie 7 m<sup>3</sup>. Ja musiałem im wypisywać powyżej 110 % normy gdyż to było warunkiem ich przeżycia, a równocześnie na wszystkich odprawach grożono nam w razie fałszowania norm wysyłkę na Sybir. Taki narjedy po pracy należało zanieść do kierownictwa czyli "prorabstwa" i one były warunkiem otrzymania przez jeńców porcji zupy. Dopiero w rok później poznałem prawdziwy sens tych norm. Na kontrolę moich prac przyjechał z Moskwy jakiś pułkownik NKWD, chłop ogromnej postury. Po oglądnięciu prac, akurat budowy mostu, zapytał jaki procent wyrabiają jeńcy. Ze strechem wybąkałem że 112 do 115 %. Popatrzył na mnie z góry i warknął :

- Durak, piszi sto pięćdziesiąt -

Jak wiele w tym jednym zdaniu zrozumiałem z rzeczywistości radzieckiej, a z czasem i z tajemnic polskich statystyk.

Drugim wrogiem jeńców było zimno. Niektórzy jeńcy mieli muni-

dury drelichowe, a wszyscy mieli buty w bardzo złym stanie. Niektórzy robili sobie z koców jakieś poncha, niektórzy jeszcze zdążyli sobie kupić jakieś szmaty od chłopów. Przydziale jakichś kufajek czy walonek nie było mowy. Personel techniczny był traktowany tak samo.

W pierwszych miesiącach pracowaliśmy w systemie dekadowym i po dziesięć godzin dziennie, dopiero z wiosną 1940 r. powrócono do wolnych niedziel i 8 godzin pracy, ale i tak często zmuszano do pracy i w niedziele.

Z początkiem roku zbudziły mnie w nocy krzyki i światła samochodów. Wszedłem i byłem świadkiem pierwszej wywózki. Żołnierze NKWD i cywilni Rosjanie, także z naszego kierownictwa z karabinami w ręku, wpędzali ludzi z domów. Krzyki kobiet, płacz dzieci, chorzy i starcy wynoszeni na kocach, jakieś skromne toboły, wszystko w świetle reflektorów i w trzaskającym mroźnym tworzyły przerażające widowisko. Okazało się potem że wywożono wraz z rodzinami gajowych i leśniczych, ponieważ oni mogli znać gdzie wojsko zakopało broń w ~~las~~ lasach, wszystkich chłopów którzy byli członkami jakichkolwiek organizacji społecznych i politycznych, uczestników wojny z 1920 r., posiadaczy jakichkolwiek odznaczeń, a także byłych żołnierzy Petlury, byłych sołtysów, wójtów, urzędników gminnych. Wywożono ich na stację kolejową w Zapytowiu do ciężarowych wagonów z okienkami zadrutowanymi. Wokół wagonów stały warty i niekogo nie dopuszczano w ich pobliżu. Wagony stały trzy dni, było słychać z nich płacz i krzyki, a gdy odjechały na torach zostało kilka trupów zamrożonych dzieci. Od tego czasu przestraszona wieś ścichła, straciła wszelką nadzieję na "samostiną Ukrainę" a nawet na "radziańską Ukrainę". Wracali myślami do czasów polskich które w tej perspektywie wydawały się im rajem.

Po paru miesiącach zaczęły przychodzić listy od wywiezionych.

✓  
 W nocy 2 13 na  
 14 marca wywie-  
 ziono z mego  
 mieszkania  
 moich teściów

Ponieważ adresaci byli często niepiśmienni, zwracano się do mnie o przeczytanie. Listy te były prawdziwymi curiosami epistolografii i filatelistyki. Pisane były na marginesach starych gazet i pomiędzy jej akapitami. Następnie taki list był składany w trójkąt i zginany końcami do środka tak że przyklejony znaczek zlepił trzy rogi i jako tako zamykał list w taką niby kopertę. Treść listów była prosta i zawsze tragiczna w swej wymowie, wezwania o łaskę boską, podanie kto zmarł, kto żyje, co robią i co się dzieje w kraju. Pamiętam jeden list w którym wywieziona kobieta pisze że powodzi się jako tako bo na szczęście wzięła z domu igłę. Teraz <sup>u</sup>praje swoją koszulę na nicą i szyje dla innych. Dwudziesty wiek i warsztat pracy w postaci jednej igły. ✓

Do pracy na moim odcinku przyjechał mój kolega Zbyszek Budzianowski, po wojnie profesor na Politechnice Śląskiej. Umieściłem go u znajomego sąsiada. Wieczorem Zbyszek musiał załatwić swą potrzebę. Wyszedł przed dom a tu nie widzi żadnej wygodki, czyli tak zwanej wówczas "skawojki". Na rozkaz gen. Składkowskiego w całym kraju musiały być zbudowane prymitywne ubikacje z dołem na odchody. Chłopi tu od wieków załatwiali swe potrzeby na gnojowisku, więc jeżeli już zbudowali skawojkę to służyła do suszenia kukurydzy. Otóż pan inżynier zwyczajnie poszedł za stodołę. Kiedy wrócił do izby, usłyszał jak gospodarz ruga swego małoletniego syna :

- Ty nie znajdziesz de treba sraty, idy do stajni a ni za stodołu. -

- Ta tatu, ta to ni ja. -

Ale ojciec nie przyjmował tego tłumaczenia. Zbyszek zrozumiał że to była uprzejma uwaga skierowana do niego. Na drugi dzień poszedł do stajni. Ale i krowa i koń patrzyły na niego nieprzyjnie więc załatwił się na środku stajni. Wieczorem gospo-

darz ponownie ruga syna :

- Ty nie znajdziesz de treba sraty, ne na seredyn ake na hnij  
No i tak nauczono pana inżyniera chłopskiej savoir vivre.

Zimą nie można było prowadzić robót ziemnych, więc cały wysiłek poszedł na rozwózkę kamienia, to jest na wyładowywanie go z wagonów, załadowywanie na samochody i wyładowywanie z samochodów wzdłuż drogi. Był to piękne głady z polskich kamieniołomów ~~wykłi-~~  
~~szewia~~ granitów w Kliszowie i bazaltów w Horyniu. Pociągi przyjeżdżały nieregularnie, gdy nie było miejsca na stacji to stawały na trasie i tam trzeba było wyrzucić kamień gdzie popadło, na skarpy, do rówów czy na pola. Norma wyładowania kamienia z wagonów wynosiła 45 ton, w tym trzeba było liczyć dźwignięcie kamienia, przeniesienie w kierunku drzwi i wyrzucenie, ~~przekierowując~~  
~~tylkoxxxxxxxdrógxxxkloraxxxxxxxxprzez~~ O rękawicach nie było mowy, można sobie wyobrazić jak wyglądały ręce robotnika, zwłaszcza w czasie silnych mrozów.

na czołowieka

Transport na budowę leżał w obowiązkach "Autobazy". Jedną taką bazą obsługiwała około dziesięcio-kilometrowy odcinek. Na bazie powinno być 50 samochodów, 3-tonowe ZIS'y i 1,5-tonowy GAZ'y. Pracowali na trzy zmiany, ale ich wydajność była niska. Wyposażenie kierowcy było skromne - młotek, dłuto, ten zestaw pozwalał otwierać każdą śrubę czy nakrętkę, trochę drutu, zwykle kolczastego, ścinki ze starej dętki w butelce z benzyną jako klej do dętek i to wszystko. Wszelkie bardziej skomplikowane części zabierano z kolejno rozbieranych samochodów. Dodać tu można że samochody z reguły zamiast szyb miały dychtę, a z przodu w tej dychcie był wycięte małe okienko zakryte odłamkiem szyby. Nasza budowa miała swój periodyk "Dorożnik", żałuję że nie zachował mi się ani jeden egzemplarz. Poza artykułami politycznymi propagował "soczmehananie" czyli współzawodnictwo pracy, co



oczywiście ~~nie~~ brzmiało tragicznie w naszej sytuacji. Otóż w tym piśmie przeczytałem że pierwsze miejsce wśród wszystkich baz uzyskała nasza baza. Dziwiło mnie tylko że miała tylko trzy samochody nadające się do jazdy. Ponieważ transport samochodowy nie wystarczał zmuszono wszystkich chłopów do transportu furmankami, a ja musiałem prowadzić ewidencję. Nastąpił wtedy dla mnie piękny czas, za jedno jajko, bułkę, odrobinę masła notowałem nieistniejące przewozy i mogłem co tydzień zanieść coś do jedzenia rodzinie.

Tej zimy były duże opady śniegu, wówczas do odśnieżenia musieli iść wszyscy, jeńcy, żołnierze, urzędnicy, chłopci. Nie liczone norm, bo na jednego człowieka wypadało coś 10 km drogi. Gdyby ich wszystkich policzyć to powinniśmy byli dogrzebać się do Kijowa.

Organizacja prac była następująca : jeńcy byli siłą roboczą kierowaną przez oficerów i żołnierzy NKWD. Kierownictwo robót najniższego szczebla należało do "desiatników", czegoś w rodzaju majstrów, następnie były "prorabstwa" o długości około trzech kilometrów, tam kierownikiem był inżynier, trzy prorabstwa tworzyły "uczastek" który miał kierownika inżyniera Rosjanina i całe biuro, gdzie główne funkcje jak "głównobucha", magazynierski i z brodami niera pełnili ~~żydowski~~ miejscowi Żydzi. Ja byłem tak zwanym "inżynier po iskustnyje roboty" czyli od inżynierskich prac, jak mostów, murów oporowych i tp. ale często kierowano mnie na inne roboty. Prorab często zwoływał "mitingi" na których wyznaczano prace i rugano się wzajemnie. Raz byłem świadkiem jak zaczęto ostro krytykować proraba, zarzucano mu wszystko co ~~mu~~ najgorsze. Myślałem że go zaraz zaarrestują. Tymczasem ~~on~~ on wstał i spokojnie oświadczył że wszyscy mają rację że on jest swołocz, leń, pijak, ale oni nie są lepsi i dlatego wszyscy mu-

na odcinkach

roboty

siemy zwiększyć wydajność i dyscyplinę i tępić "prohulników". Do-  
stał brawa i wszystko zosało po staremu. Był dla nieoceniony  
przykład twórczej krytyki i samokrytyki. (to)

Trzeba było zapisać się do "prospilki" czyli do związku za-  
wodowego, jak nie przyjęli to z miejsca wylatywało się z pracy i  
NKWD patrzyło podejrzliwie. Procedura przyjęcia była prosta ale  
niebezpieczna, trzeba było odpowiedzieć przed salą swój życiorys i  
odpowiadać na pytania, poczem głosowano. Ulubionym życiorysem  
było mieć nieznanego ojca który porzucił matkę bezrolną, robotni-  
cę rolną, trzeba było być wyzyskiwanym przez krwio pijców i td.  
Ja też jakoś przykrawałem swój życiorys, ale padło niebezpieczne  
pytanie - czy należałem do Bratniaka. Z czystym sumieniem odpo-  
wiedziałem że do Bratniaka należeli studenci z prowincji bo tam  
dostawali mieszkania i obiady, a ja mieszkałem u rodziców, było  
to zresztą prawdą. Bratniak był organizacją samopomocową, ale sil-  
nie nacjonalistyczną, nie przyjmowano tam Żydów i Ukraińców, a  
jak były zamieszki antysemityczne czy antyukraińskie to Bratniak  
był ich głównym inicjatorem. Na szczęście nikt nie zapytał o kor-  
porację, dobrze się stało że prawie nie chodziłem w dekle.

Pociągi osobo-  
we

Co niedzieli chodziłem do Lwowa, unąć się, zjeść coś cie-  
płego, odpocząć i zobaczyć jak rodzina sobie daje radę. Lwów był  
w odległości 24 km i trzeba było iść 5 do 6 godzin. Każdą na li-  
nii do Radziechowa nie chodziły i ze stacji Zapytów nie można było  
było korzystać. Istniała możliwość dojścia dziesięciu kilometrów  
do Borszcz<sup>v</sup>wic ale bilet można było dostać tylko wtedy kiedy się  
miało "putiówkę" z miejsca pracy czyli rodzaj delegacji, nam ta-  
kich nie daw<sup>a</sup>li. Trzeba było jechać na gapę jakimś pociągiem to-  
warowym. Na tej linii bez przerwy szły transporty ropy w 50-tonowych  
cysternach ~~ropy~~ do Niemiec. Trzeba było wskoczyć jak  
pociąg ruszył i przed Podzamczem wyskakiwać. Przypominała mi się

ulubiona lektura 1st dziecińczych "Tramp" Jacka Londona w której była podana dokładna instrukcja jak należy wykonywać takie skoki. Pociągów takich było tak dużo że jechały na tak zwanym zielonym sygnale, czyli pomiędzy stacjami było równocześnie trzy składy. Groźne było złapanie przez NKWD jako sabotażysty, więc szybko poniechałem tego sposobu.

Pozostawał więc pieszy marsz. Wychodziło się po robocie w sobotę i około dwunastej w nocy byłem w domu. Następnego dnia wychodziło się około dwunastej w nocy <sup>z)</sup>by ~~być~~ <sup>na</sup> ~~na~~ <sup>na</sup> początek <sup>y)</sup>roboty już na miejscu. Te osiem godzin pracy to dla mnie było dziesięć, bo nim przyszli jeńcy trzeba było przygotować narzędzia, <sup>y)</sup>wierzyć i wytyczyć teren pracy, a po robocie <sup>y)</sup>spisać i obliczyć nariady i odnieść do prorabstwa. Te nocne marsze przez całe miasto, od rogatki zamarstynowskiej aż na ulicę Kadecką miały też w programie pewne rozrywki, można było na ulicach obserwować musztrę żołnierzy rosjskich. Widocznie rekruci mieli trudności w <sup>z)</sup>trzymaniu kroku, to też ich ustawiano tak w szeregach, że następny szereg dotykał piersiami ~~z~~ przedni szereg, a nogi wchodziły pod nogi pierwszego <sup>e)</sup>szeregu. Wystarczyło że w oddziale choć jedną się <sup>z)</sup>po- mylił to cała grupa ~~przyswiera~~ się przewracała przy wtórze najgorszych przekleństw. Przypomniało mi to podobne trudności w musztrze żołnierzy austriackich, <sup>i)</sup>ale <sup>v)</sup>których rozróżnienie nogi lewej od prawej sprawiało trudności, tak że przywiązywano do jednej wiecheć słomy, a do drugiej siano, stąd komenda - słoma, siano, słoma, siano.

Dzień wywózek ludności ze Lwowa dawał się poznać po otoczeniu miasta kordonem posterunków oddalonych od siebie co kilkanaście metrów, <sup>re</sup>które ~~nie~~ nie wypuszczały nikogo z miasta. Ponieważ nasza robota należała do NKWD przepuszczali nas bez trudu i szło się ze ściśniętym sercem czy zastanie się swoich najbliższych jeszcze w domu.

Nie szedłem sam, zawsze miałem towarzyszy. Na budowę zdołałem ściągnąć swego brata, który właśnie zdał sowiecką maturę, Stanisława Sałdaka mego serdecznego przyjaciela z harcerstwa i z pracy we Lwowie, skończonego dziwaka który ukończył jeden fakultet na Politechnice i jeden na Uniwersytecie ale nie siadł do dyplomu. Polecono mi "zadekować" oficera z KOP /Korpusu Ochrony Pogranicza/ Sokulskiego który faktycznie nazywał się Okulski, a przez dorobienie na dokumentach litery S ocalał przed aresztowaniem. Byli też obcokrajowcy: W pierwszych dniach wojny Niemcy jeszcze nie były gotowe do masowego mordowania Żydów. Wywozili ich pociągami w okolice Sambora w pobliże granicy radzieckiej i otworzywszy wagony kazali biec w stronę granicy, do "reju". Sowietów ich segregowali, większość odsyłano w głąb Rosji, a przydatnych do robót drogowych przysyłano do nas. Byli wśród nich inżynierowie czescy którzy w okresie NEP budowali zapory w ZSRR, byli więźniowie z Dachau i inni. Czesi liczyli na specjalne traktowanie ale usłyszeli że są zdrajcami bo opuścili ~~ZSRR~~ ZSRR ~~jak~~ zamiast pracować dla niego. Z Dachau byli dwaj bracia Rudolph, przemieńscy chłopcy z bogatej rodziny żydowskiej. Wojenne przeżycia traktowali ~~jak~~ jako absurdalną przygodę. Przydzielono ich na mój odcinek - trzeba się było nimi zaopiekować bo przyszli bosa i w jednym ubraniu. Udało mi się otrzymać od naczelnika dwa kupony na płaszcze, ale nie było podszewki. Można było kupić czerwone chorągwie, więc kupili i mieli czerwone podszewki jak niemiecka generalicja. Nie mówili po rosyjsku i nie chcieli się uczyć. Gdy ich o to pytałem odpowiadali że Rosjanie są :

Wie so, sie sind ganz ~~Wxxxx~~ verrückt, die Rusen sagen mama und lösen tata. Wie ist möglich dass zu verstehen -

We Lwowie spali u mnie, jedli choć jeden dzień jak ludzie. Ich siostra była światowej sławy pianistką w Ameryce i czynili

V  
Fuchs

wysiłki by z nią się skomunikować. Kiedy już dostali wszystkie potrzebne papiery zostali zastrzeleni przez NKWD. Był jeszcze młody polski Żyd<sup>V</sup> który uległ głośnej agitacji i pojechał do pracy do Donbasu. Jechały tam zresztą całe pociągi, głównie Żydów i komunistów ukraińskich. Odjeżdżali z dworca lwowskiego w wagonach ozdobionych napisami, hasłami, portretami i przy dźwiękach orkiestra. Po kilku tygodniach wracali pojedynczo i cichutko. Do nich należał i Fuchs. Chłopak zawsze zalękniony, milczący. Nie dowiedziałem się ani o jego rodzinie, ani o studiach. Zaskoczył mnie prośbą o pożyczenie pisma świętego i powiedział że chce przejść na katolicyzm. Chyba zginął z moim pismem świętym zastrzelony przez NKWD. Tragiczny los zgotował sobie student Politechniki lwowskiej niejaki Steinhaus. Bezpośrednio po wojnie przedstawiał się jako komunista uciskany przez władze polskie i jako członek Związku Młodzieży Socjalistycznej która to nazwa kamuflowała organizację komunistyczną. Zrobiono go nawet prorabem. Odwiedziłem go nawet w domu we Lwowie. Jego żona była aktorką w teatrze Lesi Ukrainki bo tak nazywał się teraz Teatr Wielki. Spotkałem tam wielu młodych ludzi tryskających entuzjazmem nad nową rzeczywistością. W miarę czasu Steihaus coraz bardziej tracił entuzjazm, aż zaczął mówić że właściwie to jego ojciec był "pomieszczykiem i miał majątek koło Krynicy i w końcu że jest właściwie Niemcem a nie Polakiem. Po zajęciu Lwowa przez Niemców spotkałem go w opasce z gwiazdą Sionu. Wkrótce potem dowiedziałem się że w Złoczowie jego brzemienna żona została zabita na rynku kopniakami żołnierzy, a jego też zlikwidowali.

Był jeszcze inż. Ginsberg, adiutant Dolfusa i Holender Aksamit. Idąc do Lwowa śpiewaliśmy na złość komunistom Giovenazę i Horst<sup>e</sup> Wessel Lied, robiliśmy zawody kto najładniej wysika na śnieg swastykę i sierp i młot. Często spotykaliśmy furmanki ciągnięte

przez mądre konie. Leżeli ~~xxx~~ na nich kompletnie pijani chłopci  
Mijaliśmy resztki bram witających sowietów napisami "Haj żywe  
samostilna Ukraina". I tak mijaly dnie do wiosny kiedy dostalem  
przeniesieni do Jaryczowy aby budować tam most.

0  
wolnonajemnych  
Łagier ~~XXXXXX~~ w Jaryczowie

Przeniesiono mnie na kolejne prorabstwo do Jaryczowa, mia-  
łem tam budować mosty żelbetowe i przepusty. Zamieszakałem w opu-  
szczonej chacie w Podliskach Wielkich. Na budowie były deski i  
gwoździe i z nich zbiłem prycz<sup>e</sup>~~ę~~, ławki i stół. Wokół chaty był  
jakiś dawny ogródek, gdzie samorzutnie wyrosły jakieś jarzyny i  
były w sam raz na zupeł<sup>ja</sup>. Było już nas trzech, mój brat i kolega  
Sałdak.

W obozach jeńców ogłoszono że kto czuje się Niemcem powi-  
nien się zgłosić do kierownictwa. Zgłosiło się trochę Ślązaków.  
Po jakimś czasie przyjechały piękne autobusy i ciężarówki pełne  
jedzenia, czekolady, papierosów, koców. Ci Volksdeutsche wsie-  
dli szczęśliwi do wozów i odjechali na zachód. Towarzyszyli im  
oficerowie w samochodach osobowych. W tym czasie widziało się  
często takie wozy na drogach. Razu pewnego samochód z oficerami  
zatrzymał się przy moim stanowisku roboczym, bo akurat droga  
była zajęta. Zaczęła się rozmowa z nimi i zapytałem w jakim oni  
char<sup>ak</sup>terze jeżdżą. Odpowiedzieli że poszukują grobów żołnierzy  
niemieckich z pierwszej wojny i z września ubiegłego roku w ce-  
lu ekshumacji i przeiezienia zwłok do kraju. Nigdzie nie zauwa-  
żyłem by robiono jakieś poszukiwania. Był to poprostu wywiad te-  
renowy. Incydent z odesłaniem Volksdeutschów mocno poruszył wy-  
obraźnię jeńców, zgłosiła się druga, duża grupa rzekom<sup>o</sup>~~o~~ pocho-  
dzenia niemieckiego. Przyjechały samochody, ale to były cięża-  
rówki sowieckie, załadowano ich i s<sup>yl</sup>ch zaginął.

Było też i inne zdarzenie, ciekawe i niezrozumiałe. "Na-  
czalstwo" zwołało miting z udziałem jeńców, wolnonajemnych, pre-  
cowników rosvjskich, żołnierzy i oficerów NKWD. Wielka masówka.  
Przyjechali jacyś agitatorze w cywilu i wygłosili płomienne  
o "wrogu całej słowiańszczyzny, o Germancach, że nadeszła chwila

czynu i że dzielni polscy żołnierze dostaną karabuny do ręki i że pójdziemy na wspólnego wroga. Jency cieszyli się jak dzieci, ja nie wiedziałem co o tym myśleć. I rzeczywiście nastąpiła ~~wielka~~ wielka zmiana, zniknęły napisy "Łagier dla wojennoplennych" i zostały zastąpione przez "Łagier dla wolnonajonych". Wszystko pozostało po staremu.

Trudno powiedzieć czy ten miting miał jakiś związek z kolejnym zdarzeniem. Do obozów przywieźli małe grupki obcych jeńców. Byli jakoś inaczej ubrani w stare mundury sowieckie, jakoś inaczej się zachowywali. Wkrótce ich rozszyfrowano. Byli to dezertery z wojska polskiego z przed wojny, których z miejsca wywieziono na Sybir, a teraz przywieziono do obozów na naszym terenie. Rozpoznano nawet podoficera z 19 pułku w ~~Ł~~Łwowie który zabił oficera i uciekł. Przywieziono ich by spełniali rolę donosicieli.

Dla mnie nastąpiły inne warunki pracy. Miałem jedną budowę, barak, narzędzia, dokumentacja mostów przychodziła z Moskwy, pracowali jeńcy obstawieni karsukami z pepeszami i z psami. Moim zwierzchnikiem został rosyjski inżynier z Moskwy nazwiskiem Wierchow. Kiedy się zorientowałem że mówię po niemiecku był tym zachwycony, gdyż w czasie pierwszej wojny był jeńcem w Austrii i czasy te wspominał jako najpiękniejsze lata jego życia. Najbardziej go ucieszyło że może ze mną rozmawiać i nikt z otoczenia nie może wiedzieć co mówimy. Ponieważ moje objekty były w kilku miejscach trasy mogliśmy sobie spokojnie chodzić drogą i gadać bez końca. Odrazu przedstawił się jako wróg ustroju i zaznaczył że jeżeli nawet doniosę to i tak jemu uwierzą a nie mnie. Odbyłem z nim prawdziwe szkolenie na temat stosunków w Rosji.

Nie powtarzam opisu ówczesnych stosunków w kraju Rad bo to dziś są sprawy znane, wówczas były one prawdziwym wstrząsem dla mnie. Pytałem go jak to się dzieje że miliony ludzi żyje w nędzy



i pod takim strasznym terrorem jakos nikt nie wanieci powstania. Dał mi na to ciekawą odpowiedź będącą dobrą ilustracją stosunków w Rosji. Mówił że inteligent rosyjski żyje cały czas na delegacjach. Nigdy nie wie kiedy i gdzie go wyszłą. Mówił o sobie że mieszkając w Moskwie pracował i na Krymie i we Władywostoku i w Kazakstanie. Gdziekolwiek się przybędzie nie zna się niko go na miejscu, a gdy się już pozna to zaraz przenoszą do innych obładci. Zresztą jedynym warunkiem awasu <sup>sa</sup> donosy na kolegów, a donos na obcego jest sprawą nie budzącą zastrzeżeń. Nawet z tą, którą rzadko widywał nie mógł mówić szczerze - przecież jeżeli z ajdzie sobie innego chłopca, to aby się jego pozbyć wystarczy jeden donos i ona pozbedzie się go na długie lata i co wazniejsze zawiadnie mieszkaniem.

Drugą moją rozmówcą był "naczelnik uczastka" młody inżynier Nowikow. Energiczny, przystojny i ideowy komunista w każdym calu w dobrym tego słowa znaczeniu. Znał rzeczywistość i próbował ją tłumaczyć warunkami życia, koniecznością ofiar dla przyszłości, okresem wyrzeczeń dla dobra przyszłych pokoleń i całej ludzkości.

Wczesną wiosną przeżyliśmy prawdziwy zlot gęsi, zwyczajnych białych gęsi. Komuś przyszło do głowy zorganizowanie na Łąkach w Jaryczowie wielkiej hodowli gęsi. Na obszernej polanie znajdowała się tam drewniana zabudowa "przedwojennego "króla gęsi". Był to największy na świecie producent smalcu gęsięgo, przysnaku Żydów. Eksportował na cały świat i miał ogromną fortunę która sprawiła że bolszewicy nie ruszyli go z jego, zabudowanej jak forteca fermy. Na Łąkach który on użytkował spędzono gęsi z całej okolicy. Całymi stadami pędzono je po goślicach gdzie masowo padały po drodze. Wreszcie tysią<sup>ce</sup> ich pokryło białe dywanem o szerne Łąki. O strawę i wodę nikt się nie potrudził, a do tego



gdzie mają żyć w kołchozach. Inny jeńiec wybrał ~~inny sposób~~ ucieczki, wszedł do baraku, rozebrał się do koszuli i do gaci, wziął na ~~ramię~~ ramię grabie i spokojnie poszedł na pole grabić siano i znikł. Kilka innych ucieczek polegało na wykorzystaniu robót ziemnych, zostawiano w nasypie wnękę w której kładł się człowiek, Nakładano na niego gałęzie, słomę, bądy i przysypywano ziemią. Po odejściu konwoju wyłaził z ziemi i był wolny. Wszystkich czekało przejście przez granicę a tam już nie było żartów i stamtąd wędrowało się daleko na północ.

Ucieczki zaniepokoiły naczalstwo. Kazano karaukom bez przerwy liczyć jeńców. Można sobie wyobrazić co to była za straszliwa psychiczna tortura. Jeńcy bez przerwy chodzili z miejsca na miejsce, zamieniali się, zresztą wystarczy spróbować liczyć przez tak długi okres czasu to można zwariować. Bojcy chodzili nieprzytomni i wogóle nic już nie wiedzieli. Jeńcy byli zdani tylko na siebie, z miejscową ludnością nie mieli ~~możliwości~~ żadnego kontaktu. Obóz był otoczony gęstym drutem, reflektorami, psami i do tego otoczony bagnami. W kierownictwie budowy było tylko kilku Polaków. Wielokrotnie próbowałem nawiązać jakieś bliższe stosunki z nimi, ale byli nieufni i apatyczni. Tylko niektórzy interesowało się wieściami ze świata, reszta prości chłopcy nie mieli żadnych zainteresowań. O możliwości zawiązania jakiejś organizacji nie było mowy. Jedyne co można było zrobić to wysyłanie ich listów do rodzin na które nie dostawali odpowiedzi i podrzucanie tytoniu. Było wśród nich kilku podoficerów którzy próbowali podtrzymać ducha. Jedynym rezultatem było zamurowywanie w fundamentach mostu fleszki z nazwiskami jeńców, monetami, guzikami, orzełkami oraz przy betonowaniu płyty układanie z kamyków napisów i polskich emblematów. Po usunięciu rusztowań były one widoczne od dołu. Widziałem je jeszcze i za okupacji niemieckiej.

Nadszedł dzień 3 maja. Roboty biegły normalnie i kiedy jency poskładali narzędzia i uformowali się w kolumnę ja stałem przed barakiem. Raptem słyszę że śpiewają bardzo popularną przed wojną pieśń "Morze, nasze morze, będziesz ciebie zawsze strzec..." i ci w łachmanach, zerośnięci, wynędzniali żołnierze nieuznanego państwa zaczynają iść równym krokiem delilując przedemną - salutowałem i była to jedyna chwila<sup>a</sup> w czasie wojny kiedy mi łzy stanęły w oczach.

Budowa mostu, niedużego zresztą sprawiła mi wiele emocji. Po zabetonowaniu płyty kiedy jeszcze daleko było do stwardnienia betonu, byłem akurat w kierownictwie we dworzew Jaryczowie, skąd rozciągał się widok na drogę i na most. Rptem widzę jak z poza lasu wyjeżdża kolumna czołgów i kieruje się wprost na most. Już siebie widzę przed sądem, bo most nie mógł wytrzymać obciążenia i czołgi musiałyby zkoziokkować do rzeki i do bagna. Czołgi przekłamały barjerę i wjechały na most, a/pocziwy most wytrzymał i uratował <sup>mnie</sup> przed rozstrzelaniem za sabotaż. Wypadek ten wiązał z ciekawą sprawą dotyczącą dokumentacji technicznej którą otrzymywałem ~~z Moskwy~~ z biura projektów NKWD w Moskwie. Odrązu zwróciłem uwagę na ich "przewymiarowanie". Zrobiłem własne przeliczenia i przekonałem się że zarówno betonu jak i żelaza jest trzykrotnie więcej jak potrzeba. Kiedy przyjechał z Moskwa inżynier z nadzoru zwróciłem mu na to uwagę i otrzymałem niespodziewaną odpowiedź :

- My o tym wiemy, ale dokumentacja ~~xxxx~~ <sup>jest</sup> obowiązuje na ~~xxxx~~ terenie całego kraju, a wy myślicie że są jacyś inżynierowi na Syberii, technicy czy choćby majstrzy, to proste chłopcy i do tego złodzieje. Kradną cement i żelazo. Musimy projektować z dużym zapasem pewności -

Przyszędł czas na kładzenie asfaltowej nawierzchni i pod Jaryczowem<sup>a</sup> wybudowano "bitumbazę". Było <sup>tam</sup> to kruszarki, kotła do asfaltu i mieszarki. Potrzebny był piasek i poblizu zrobiono

"piszczaną karjerę" czyli kopalnię piasku. Doły pozostawione po wydobywaniu piasku miały swoją dalszą historię. W czasie akcji "Judenfrei" w Jaryczowie część Żydów spalono w dwu bóżnicach, a część zapędzono do lasu, do owych dołów, gdzie kazano się im rozewbrać i zastrzelić, wrzucając ciała do rowów. Ludzie mówili że kiedy Żydzi szli na śmierć to wszyscy śpiewali psalmy i ~~wszak~~ wołali że to słuszną karą boską. Jakiś Niemiec fotografował tę egzekucję i to zdjęcie dotarło do mnie, potem poszło do Londynu. Widok był wstrząsający. Nagie ciała zrzucone w nieładzie, na pierwszy rzut oka robiły wrażenie jakiegoś niesamowitego makaronu.

Do bitumbazy przyjechał inżynier radziecki. Młody chłopak który jak opowiadał gdzieś na wschodzie był dozorcą przy rozbiórce mostu i pozostałe deski sprzedał, zamknęli go na kilka lat. W więzieniu dostał książki i "zrobił" korespondencyjnie dyplom inżyniera. Egzamin odbył się w ten sposób że otrzymał na piśmie trzy pytania na które odpisał. Jedno z pytań dotyczyło osoby Stalina, drugie piatiletki a trzecie już było z techniki. Ten "inżynier" przywiózł ze sobą węzełek odzieży "tarabańczyk" jak go określał. Na niego składała się kufajka, spodnie wataowane i jedna koszula, na wierzchu miał przytroczone garnuszek. Na pytanie moje czy to wszystko, powiedział że więcej mu nie trzeba - ubranie na zimę ma i koszulę do przebrania i nic mu więcej nie potrzeba. Nie poszedł nawet na kwaterę, wziął stare siedzenie z samochodu który mu posłużył za łóżko w kancelarii. Wszystkie pieniądze poszły na wódkę. Cóż, byt określa świadomość.

Roboty szły ku końcowi. Wzdłuż drogi ustawiono znaki i tablice drogowe., jakieś ławeczki, grzybki. Wszystkie pomalowane na biało i niebiesko. Nagle przyszedł rozkaz likwidacji wszystkich znaków gdyż mogłyby być pomocne wrogim spadochroniarzom. Pewnego dnia na swoją robotę przyjechał naczelnik Nowikow. Nigdy

nie widziałem go takiego uradowanego. Kazał zrobić sobie wykaz wszystkich braków w ilości narzędzi, ~~i~~ ~~był~~ ~~przez~~ ~~pożar~~

- Po co ci to? -

Był pożar na bazie w magazynie uczestki i wszystkie braki na budowie wpisany na straty z powodu pożaru. -

Przypomniało mi się że mieszkańcy Warszawy dowiedzieli się o wybuchu wojny w 1914 r. z pożarów magazynów wojskowych na Prądze. Poszedłem wiedziony ciekawością co to się spaliło. Była to budka o wymiarze metr na metr, gdzie stał mały agregat benzynowy zasilający kilka lamp oświetlających magazyny.

No i przyszło zakończenie robót. Znowu przyjechał Nowikow, tym razem był strapiiony, okazało się że gdy podsumowali wszystkie roboty to okazało się że wykonaliśmy trzydzieści kilka kilometrów drogi, ~~xxxxxx~~ gdy odcinek liczył tylko 8 km. Powiniliśmy być już daleko za Lwowem żalił się naczelnik. To już nie było moje zmartwienie i nie wiem czym się skończyło. Mnie przeniesiono na odcinek Lwów-Przemysł, na uczestkę 11, który miał swe biura <sup>w</sup> ~~Medyce~~. *Moskiewskach.*

Most na rzece Wjar

Miałem się zgłosić w ~~Medyce~~ <sup>Mości'skach, a)</sup> to była już "graniczna zona" i trzeba był mieć "propusk". Przepustkę taką wydawało biuro "pograniczników" które mieściło się przy ulicy Gródeckiej, w jakimś byłym mieszkaniu. Stałem w niesamowitym tłoku nim jakiś urzędnik odebrał moje papiery związane z pracą. Po południu parę osób dostało propuski. Stałem tam przez trzy dni po osiem godzin, wreszcie dostałem. Spotkałem w tym tłumie młodą urzędniczkę też z uczastka w ~~Medyce~~ <sup>Mości'skach</sup>. Rozmawialiśmy i podtrzymywaliśmy na duchu. Tiedy ona dostała przepustkę równocześnie ze mną, wyszliśmy razem. Podprowadziłem ją do domu na górnej Gródeckiej gdy wydarzyła mi się koszmarna przygoda. Z drugiego chodnika podbiegła <sup>nas</sup> do nas jakaś jejmość i w strasznym wrzasku zaczęła mi wypominać że uwiodłem jej córkę, nie szczędząc najgorszych epeitetów. Dziewczyna próbowała coś powiedzieć że jestem obcym człowiekiem ale nic to nie pomagało. Zrobiło się zbiegowisko i baby dołączyły do obelg. Musiałem uciekać biegiem bo baby zatłukłyby mnie. Taka to była awantura miłosna.

Mości'skach.

Wreszcie zgłosiłem się w ~~Medyce~~. Kazano mi zbudować most na rzece Wjar, na przedmieściu <sup>v)</sup>Przemysła. Rzeczka płynęła istotnie w jarze i stąd jej nazwa. Wznosił się nad nią stary drewniany most. Nowy miał go zastąpić, miał mieć poszerzoną jezdnię i nośność pozwalającą na przejazd czołgów i do tego nie wolno było zamykać ruchu. Dokumentacji nie było.

- Wot wy inżynier, dokumentacji wam nie nada -

Ażeby było śmieszniej nie było materiału, ani drewna, ani śrub, haków czy gwoździ, nie było kuźni, nie było kafara. A co było? Byli <sup>e)</sup> jńcy. Znalazłem niedaleko starego kowala który budował ongiś mosty w całej Austrii i zaangażowałem go razem z jego narzędziami. W sprawie drewna powiedzieli <sup>mi</sup> że jest las idź i wytnij sobie. Dali straż i samochód. Cięliśmy zdrowe drzewa i

młode drzewka. Razem z majster<sup>rem</sup> skonstruowałem kafar. Gdy upomina-  
łem się o materiały żelazne, kazano mi iść z brygadą do Przemysła  
gdzie są żelazne budynki zniszczone przez bomby i wyłamywać  
z nich wkładki. Wkrótce moja kuźnia robiła gwoździe, haki, klanry  
i na gwintownicy majstra także śruby.

Miejsce budowy było bardzo eksponowane. Kilkadziesiąt metrów  
z jednej strony znajdował się most dwutorowej <sup>kolei</sup> ~~drogi~~ z Przemysła  
do Lwowa, przez który bez przerwy kursowały pociągi w obie strony.  
~~Do Niemiec szły cysterne ropy. Do Niemiec szły~~ ~~z Niemiec szły zamknięte skrzynie drewniane zawierające maszyny.~~  
~~Bombardowanie Londynu było z samolotów latających na benzynie radzie-~~  
ckiej. Z <sup>mostem</sup> kolejowym Wjar wpada do granicznej rzeki Senu,  
którego brzegi były szczelnie strzeżone.

Samoloty  
bombardow-  
jące Londyn  
latały

Do pracy dostałem brygadę liczącą około ~~200~~ 80 jeńców z <sup>obozu</sup>  
który znajdował się na brzegu rzeki o trzysta metrów od ~~plac~~  
placu budowy.

Moje przepustka zezwalała tylko na poruszanie się po szosie.  
Na szczęście mieszkanie dostałem u mego majstra mieszczące się  
przy drodze. Stary majster był bogatym człowiekiem i miano osiem-  
dziesięciu lat znalazł sobie młodą żonę i spłodził z nią syna z  
czego był bardzo dumny. Nie umiał czytać i pisać więc wszystkie  
swoje wiadomości zawodowe, a miał ich dużo, musiał magazynować  
w głowie. Ponieważ majstra stale zwalniałem z pracy znalazło się  
dla mnie i pożywienie. Ja miałem pryzę w kuchni, gdzie choć było  
ciepło i jasno, a w sypialni miał<sup>o</sup> swe łóżko młoda Ukrainka, „med-  
sestra” z obozu, o niezwykle dobrym sercu dla jeńców. Starzała  
się o nich jak mogła, a wieczory spędzała na modlitwach przez do-  
mowym ołtarzykiem. Nie opóściła ich gdy wybuchła wojna z Niemcami  
i poszła z nimi do niewoli. W jakiś rok po wybuchu wojny odwiedzi-  
łem majstra. On już nie żył, a ona była tak wystraszona moją wi-  
zytą że nie mogłem się wiele dowiedzieć o losie jeńców.



W najbliższym sąsiedztwie mostu budowane wielki ~~bunkier~~ żelbetowy bunkier. Samej budowy nie było widać, otaczał je wysoki plot na kilka metrów, a wjazd dla aut był spiralny. Dopiero po wycofaniu się wojsk radzieckich można było obejrzeć bunkier, a raczej bunkry, bo wzdłuż granicy wybudowano ich setki. Wszystkie są takie same; na podstawie kołowej wznosił się walec o średnicy około 20 m i wysoki <sup>ości</sup> na 6 do 7 m, na szczycie którego był stalowy kapturny z którego można było prowadzić obserwacje. We wnętrzu zwykle wiercono studnię. Bunkier posiadał tylko jedno wejście i nie miał połączeń z innymi bunkrami. Mury były ze wspaniałego betonu, grubości około dwu metrów. Wewnątrz były stanowiska karabinów maszynowych i lawety dział. Załoga bunkra była zdana tylko na siebie i nie miała łączności ze światem ~~zewnętrznym~~ zewnętrznym, ~~poza~~ ~~radion~~, właściwie takiego bunkra nie trzeba było zdobywać, wystarczyło poczekać aż wyczerpie się woda i żywność. Wzdłuż granicy było setki takich bunkrów. Koło Rawy Ruskiej stojąc na takim bunkrze, naliczyłem w polu widzenia dwadzieścia innych. Niemcy te bunkry ponęśli wysadzając je od wewnątrz. Widocznie zapomnieli o zasadzie Napoleona że atakując, pamiętaj o odwrocie.

W zimie 1940/41 roku na polach w pobliżu mojej budowy rozlokowały się w namiotach różne oddziały wojskowe przeznaczone do działań zimowych. Ubrani byli w białe okrycia na mundurach i mieli narty. Podziwiałem ich sprzęt, były to najprymitywniejsze deski z paskiem przybitym gwoździemi, pod który wsuwano stopę obutą w walonki. Za kijki służyły dwa pręty wycięte z lasu. Na takim sprzęcie można się było poruszać tylko po płaskim terenie i tylko do przodu. Ci "narciarze" nie mogli sobie poradzić z tym sprzętem i stale obserwowaliśmy się upadki. W całym terenie który ~~mogłem~~ <sup>jak</sup> obserwować (stałe rogiła ilość <sup>pojazdów</sup> broni. Na wiosnę zaczęły nocami przybywać czołgi, artyleria, i ~~pechota~~. Wieziono np. same lufy dział

widocznie do uzbrojenia <sup>ku</sup> bunkrów. Wszystkie transporty szły nocą a na dzień kryły się po lasach. Trudno było ocenić ich ilość, ale napewno było tam kilka dywizji wojsk.

Obowiązuje w publicystyce teza, że Związek Radziecki został zaskoczony atakiem ~~radzieckim~~ <sup>niemieckim</sup>, jednak zarówno budowa bunkrów, jak i nagromadzenie wojsk w systemie polowym wskazywało niedwuznacnie że szykuje się atak na stronę niemiecką. Nie chciałem się znaleźć na linii front, zarówny pozostając elementem wrogiem dla jednej jak dla drugiej strony, jako cywil bez domu, zagubiony w oczekiwanej wojnie. Naczelstwo nie posiadało mego adresu, zresztą nie sądzę by ich to interesowało więc spokojnie opóściłem teren budowy. Wcale to nie była jakaś eksponowana przygoda, poprostu pojechałem do Lwowa. <sup>wi</sup>Przeżywania moje okazały się ~~trajne~~ <sup>trajne</sup>. Za dwa <sup>miesiące</sup> ~~tygodnie~~ wybuchła wojna a wszyscy inżynierowie obcokrajowcy zostali o świcie zlikwidowani na swoich kwaterach przez NKWD, przecież mogli być szpiegami. Na tym odcinku było jeszcze dwóch Polaków, moich kolegów, jednę w czasie wybuchu wojny był na delegacji, a drugi na urlopie. Przeżyli. ~~Przeżyli~~

O dalszych losach jeńców wiem niewiele. Po wojnie tylko jeden z nich, podoficer-pilot Aulich zgłosił się do mnie telefonicznie gdyż gdzieś w gazecie czy w radiu spotkał się z moim nazwiskiem. Powiedział mi że po wybuchu wojny pędzono ich pieszo przez Brody za dawną granicę. Ci którzy ustawali byli <sup>za</sup> strzeleni. Granicę przeszła niewielka ilość. Podał mi swój adres w jakimś kołchozie. Szukałem go tam ale gdzieś zniknął bez śladu. Podobno część jeńców, jeszcze przed wybuchem wojny skierowano do budowy polowych lotnisk wzdłuż granicy, których było około 200.

W roku 1989 ogłosiłem w Przekroju artykuł, zresztą przycięty przez cenzurę na temat losów tych jeńców pt. "Droga nr 1". ~~xxx~~ Myślałem że się ktoś odezwie, a tu cisza. Przyszły cztery listy,

w dwu były pytania o inżynierów pracujących na tej drodze, z jednym akurat mieszkałem, o drugim nic nie wiedziałem. Były też dwa listy które zawierały ~~wzmianki~~ wzmianki że autorzy widzieli tych ludzi w czasie pracy czy transportów.

Co się stało z czterdziestu tysiącami żołnierzy polskich ? Dlaczego wszyscy milczą ? Czy nikt nie został ? I owa tylko o Katyniu, a oni !

w dwu były pytania o inżynierów pracujących na tej drodze, z jednym akurat mieszkałem, o drugim nic nie wiedziałem. Były też dwa listy które zawierały ~~wzmianki~~ wzmianki że autorzy widzieli tych ludzi w czasie pracy czy transportów.

Co się stało z czterdziestu tysiącami żołnierzy polskich ? Dlaczego wszyscy milczą ? Czy nikt nie został ? Towa tylko o Katyniu, a oni !

Zamek w Olesku

Minęło 48 lat, jadę autokarem Orbisu z Przemyśla do Lwowa. ~~Mijam~~ Mój drewniany most na Wjarze zniknął już dawno. Stoi tam most żelbetowy i równoległe do niego buduje się nowy o czterech pasmach. Niema śladu po bunkrze. Nawierzenia asfłatowe, ale wiem że pod nią znajduje się granitowa kostka jeszcze polską ręką kładzina. Nie mogę poznać domu kowala, stoi tam rząd domów. ~~Nie pierwszy~~ Mój pobyt we Lwowie jest urozmaicony wycieczką do zamku w Olesku. Tam urodził się król Jan Sobieski. Jadę byłą drogą nr 1, swoją szosą, szosą którą budowało tysiące polskich jeńców. Jedni wierzyli że ta szosa i tak zostanie w Polsce. Inni nie wierzyli już w nic na świecie. Tysiące leży w nieoznaczonych grobach wokół dawnych obozów i zabitych na szlakach ucieczek. ~~Któryś z nich~~ Mijam Podliski Mełe, tu był pierwszy obóz, nie mogę minąć Drugiego obozu w Jaryczowie, gdyż skorygowana os drogi ominęła miasteczko, nie umię znaleźć ~~Niesłuchowa~~ dworu w Niesłuchowie, miejsca kolejnego obozu, zniknął gdzieś za domami i za drzewami. Kto o nich pamięta? Ziemie polskie są to ziemie chyba najbogaciej nawiezione zwłokami żołnierzy i to różnych armii, ale także i polskich kobiet i dzieci. Pytam się siebie czy to zaowocuje kiedy, czy ten tragizm naszych losów nie jest przegraną kartą.

Słońce świeci, drzewa w sadach kwitną, bydło <sup>u</sup>nał<sup>d</sup>ące, w dali zieleni lasów, sielsko. Dojeżdżamy do ~~xxx~~ Cleska. Niewielki, ale pięknie położony zamek jeszcze z XV wieku, wznosi się na marglowej skale, <sup>u</sup>góru<sup>d</sup>jąc na płaską okolicą. O zdobycie jego potężnych murów długo walczyły i wojska litewskie i polskie. Zniszczony, został odbudowany w XVI wieku. Tu w 1629 r. przyszedł na świat król Jan III Sobieski. W 1639 r. mieszkał Michał Korybut Wiśniowiecki. Przed wojną Polska wyremontowała zamek i pokryła

piękną dachówką. Wojska radzieckie w 1939 r zamieniły go w koszarę. Niemcy oczyścili<sup>li</sup> zamek i pozostawili niezagospodarowany. Odwiedzałem wtedy zamek. Komnaty były puste, a jedyne co zostało to piękny i ogromny kominek z białego kamienia. Z jego prawej strony zachowała się rzeźba króla w otoczeniu rodziny, a nad kominkiem tarcza herbowa.

Obecnie w zamku jest filia galerii lwowskiej, gdzie zgromadzono, trochę bez ładu i składu, ~~stare~~<sup>e</sup> portretów<sup>y</sup>, trochę mebli i jeden duży obraz victorii wiedeńskiej, poobcinany po bokach bo się nie mieścił. Pytam elokwentnego przewodnika gdzie się podział ten kominek. Pokazuje mi dwa inne kominki, niedawnej daty i mówi że takiego tu nie<sup>4</sup>było. Szkicuję mu wygląd kominka i jakos ruszyło się jego serce historyka gdyż mówi że zabiłem mu klina.

W 1953 r piorun uderzył w dach i spłonął nietylko cały dach ale i drewniane stropy. Władza radziecka pięknie do odbudowała, a nawet ~~xxx~~ zrekonstruowała ogromną studnię z urządzeniami wyciągowymi. Wyremontowali także stojący w sąsiedztwie obszerny klasztor Kapucynów z 1739 r, gdzie będzie pomieszczona druga część zamkowej kolekcji obrazów. Pytam co się dzieje w zamku w Podhorcach, odległym stąd o 8 km. Tamten zamek, gdzie się urodził hetman Koniecpolski w 1635 r, ocalał z zawieruchach wojny. Niemcy zgromadzili tam zabytki z okolicznych dworów i pałaców, ale zamek nie był dostępny dla zwiedzających. Dzisiaj jest tam zakład dla umysłowo chorych. ~~Jeego~~ (Fragmenty) były wykorzystane w filmie "Pan Wołodyjowski".  
(zamku)

U stóp zamku kwitną fiołki. Dziesiątki lat już nie wahałem ich woni, którą moja matka tak lubiła.

### Zanim spadły bomby

Kiedy z pod Przemyśla przyjechałem do Lwowa trzeba było się rozglądać za pracą i to poza ~~kwadrans~~ miastem, żeby mój były pracodawca przypadkiem mnie nie znalazł. Od kolegów dowiedziałem się że przy ulicy Łyczakowskiej istnieje biuro WTIS czyli Wszechsojuzny Trest Iziskatelnych Rabot, prowadzący różne prace inżynierskie. Przyjęli mnie nie pytając o poprzednie zajęcie. Jako pierwszą robotę, razem z kolegą z gimnazjum i z Politechniki, Stezkiem Platowskim, mieliśmy wytyczyć trasę rurociągu na ropę z Borysławia do ~~Przemyśla~~ rafinerii Polminu w Drohobyczu. Ropa borysławska była silnie zanieczyszczona parafiną<sup>i</sup> rurociągi szybko się zatykały. Ponieważ niebyła znana jakaś metoda ich oczyszczanie i nie<sup>pr</sup>dało się je wyciągać, poprostu kładło się nowe. Naszym zadaniem było wytyczenie i pomiar trasy oraz wykonanie dwumetrowych odwiertów w celu zbadania gruntu. W ówczesnych warunkach nie istniały żadne problemy własnościowe więc spotkania chłopów z widłami nie było w programie.

Przyjechaliśmy do Drohobycza i udaliśmy się do dyrektora Polminu. Przyjęła nas młoda i miła sekretarka, była Polką ale towarzyszył dyrektor był Ukraińcem i to delegatem<sup>em</sup> do <sup>Ukrain</sup>Ukraińskiego Sowietu w Kijowie. Otrzymaliśmy przepustki, instrukcje i kwaterę na kolonii urzędniczej. Udaliśmy się do Borysławia by stamtąd zacząć pracę. Tu muszę wtrącić pewien zabawny epizod który zdarzył mi się w poprzednim dniu. Byłem z żoną w teatrze. Obok nas siedział jakiś korpulentny pan o smutnej minie, który coś kilka razy przeproszał zajmując miejsce. Po wyjściu z teatru wsiedliśmy do tramwaju i znalazłem się naprzeciw niego. Na drugi dzień wsiadając do pociągu znalazłem się w przedziale znowu naprzeciw tego człowieka, który patrzył na mnie z widocznym niepokojem. I teraz w Borysławiu kiedy weszliśmy do dyrektora ~~szkolu~~<sup>ka</sup> od którego mieliśmy zacząć pracę <sup>szkolu</sup>

cować, zobaczyłem tego pana z teatru i z pociągu. Człowiek ten zbladł jak ściana, wstał, ręce zaczęły się mu trząść i upłynęło wiele czasu nim zrozumiał po<sup>co</sup> przyszliśmy. Ot obrazek z tamtych czasów gdy nikt nie był pewny swego losu.

Roboty przebiegały w bardzo miłych warunkach. Spaliśmy u przygodnych gospodarzy, zawsze było co zjeść, pogoda była piękna, tylko nocami przesz<sup>ły</sup> kazały stałe przemarsze wojsk, transporty samochodowe, czołgi, działa, które za dnia kryły się po lasach, tak że ich widać nie było.

Trasa nasza zbliżyła się do Drohobycza i musieliśmy zrobić szkic sytuacyjny obiektów rafinerii. Tam strażę były bardzo surowe i sprawy poruszania się po terenie musiała nam ułatwiać osobicie sekretarka. I tak się zaczęła moja znajomość z tą dziewczyną. Byliśmy kilka razy na spacerze, raz w ~~lasie~~<sup>kinie</sup> i według przedwojennego savoir vivre tematyka ograniczyła się do podziwiania przyrody i jakiegoś spoczynku wśród polnych kwiatów. Był to dzień 21 czerwca, sobota. Pogoda śliczna, niebo bez chmurki. Nad nami przelatywał samolot.

- To Heinkel, samolot obserwacyjny których całe eskadry Niemcy zagarnęli w Czechosłowacji. -

Żadem sowiecki samolot nie przepędzał go. Zachciało mi się zaimponować dziewczynie i dodałem :

- Zobaczysz, jutro będzie zrzucał bomby na waszą rafinerię -

Powiedziałem w złą chwilę. ~~Wzorem~~ Rzeczawości<sup>e</sup> naza jutrz o świcie na rafinerję spadły bomby. Zapaliły się zbiorniki z ropą i pływająca, płonąca ropa zalała ludzi spęszających do schronów. Po kilku latach, kiedy przeżywaliśmy u nas fale aresztowań i procesów, pomyślałem ze strachem, co by się stało gdyby ta dziewczyna mnie spotkała, albo gdyby gdzieś powie<sup>d</sup>ziała o mnie. Nie mógłbym się wykręcić z o<sup>d</sup>karzenie o przynależność do piątej Kolumny.



Wieczorem poszliśmy na dworzec. Stojąc na peronie patrzyliśmy na sterty poniszczonych torped, niegdyś dumy naszych kolei. Te spalinowe wozy stanowiły również <sup>ju</sup>połączenie Lwowa ze Sławskiem i Krakowa z Zakopanem. Według rozkładu jazdy torpeda do Zakopanego jechała 59 minut. W wiele lat później minister Bobkowski rozmawiając ze mną w Genewie, napomknął też o tej torpedzie.

- Torpeda naprawdę jechała godzinę i dwadzieścia minut, ale kazałem napisać w rozkładzie poniżej godziny. To robiło wrażenie, a pociąg zawsze może się trochę spóźnić. -

Mój Boże, nawet te 80 minut to marzenie w dzisiejszych czasach, kiedy ~~za~~ pociąg jedzie ponad cztery godziny. Tak to wygląda postęp w kolejnictwie.

Torpedy, jak i cały polski tabor pod koniec wojny znalazł się na terenach wschodnich. Dla torped jako teren złomowiska przeznaczono Drohobycz.

Wieczorem byłem w domu. Zastałem rodzinę w stanie przygnębienia, byli na liście przeznaczonych do wywózki. Naliczono na wszystkich lwowskich dworcach <sup>chy</sup> do tysiąca wagonów bydlęcych z zadrutowanym okienkami. Do każdego takiego wagonu kładzie się 50 osób, czyli były przeznaczone do wywózki około 40 000 osób. Uciezka poza Lwów niemożliwe bo miasto otoczone kordonem wojska. Ukrycie się gdzieś było może możliwe dla samotnego i młodego człowieka, ale o rodzinach nie było mowy. Rodzice i żona pakują się, a można brać tylko ręczny bagaż. Ja nie jestem na liście, mogę zostać, ale ~~xx~~ ci starzy ludzie nieporadna żona i młody chłopak, ~~mój bbbatt~~ nie poradzą sobie, muszę z nimi jechać.

Co znaczą wywózki znamy to dobrze, ~~z własnych przeżyć~~. Pierwsza wywózka była w nocy z 13 na 14 marca 1940 r. Ja ją przeżyłem na wsi, o czym już pisałem. Z domu wywieziono moich teściów. Oboje byli ludźmi starymi, teść był do tego rekonwalescentem po złamaniu nogi w udzie i ledwie się poruszał. Wzięli niewiele rzeczy bo i tak wszystko już stracili. Żona chciała z nimi jechać ale ją odpędzono. Przyszły do nas listy od nich - jechali trzy miesiące zimowę do Semipalatyńska w Kazakstanie, nad rzekę Irtysz. Jakie były udręki takich przejazdów wystarczy wspomnieć że była to <sup>Waż</sup> zima, a do ogrzania służył mały piecyk żelazny w środku wagonu, do którego na stacjach trzeba było kraść opał. Najgorzej było z moczem i kałem. Jako wygodka służył mały otwór w podłodze. Można sobie wyobrazić kobiety i starców zakatwiających swoje potrzeby na stojąco, jaki tam musiał być smród i brud, a spało się na garstce słomy, ~~na~~ na podłodze. Peczki i pieniądze wysyłane przez moją żonę dochodziły do nich. Teść wkrótce umarł. A teściowa - to znowu inna historie. Kiedy pracowałem w Zakopanem po zakończeniu wojny, jeszcze w 1945 r. kiedy nikt nie słyszał o ~~repatriacji~~ repatriacji, raptem zjawia się teściowa. Nie wiem jakich użyła sposobów ażeby powrócić. W każdym razie mówiła świetnie po rosyjsku, była w świetnej kondycji co jakoś odbijało od wiadomości o warunkach życia w Kazakstanie. Okazało się że pani baronowa ~~von~~ Ungern von Sternberg, daleka krewna słynnego barona ~~Ungerna~~ Ungerna von Sternberg, znanego z książek Ossendowskiego, władcy Mongolii, przeżyła zesłanie gdyż wróżyła z kart. Na niczym jej nie zbywało.

Nie śpimy, czekamy całą noc, a tu o szóstej rano słychać samoloty i lecą bomby, święte bomby. Wybiegamy przed dom, tak to niemieckie samoloty, więc wojna, jesteśmy uratowani. Brzmi

W niedzielę rano o godzinie piątej, słyszę buczenie samolotów i eksplozje bomb. Naręszcie błogosławione bomby. Brzmi to świętokracko w świetle ogólnie przyjętych poglądów, ale tak wówczas myślało ~~tych~~ tysiące Polaków pod okupacją radziecką. Ludzie wybiegali przed domy, płaczą, cieszą się. Jakaś otucha wstępuje w serca - oby przyszli jak najprędzej by nas ocalić, by nas nie wywieziono. Nikt nie liczą się ze skutkami bombardowania. Widać gdzieś na peryferiach dymy, ale nikogo to nie interesuje. Płonęły zbiorniki ropy i spirytusu na Zamarstynowie.

Bolszewicy ostrzeliwują samoloty z artylerii przeciwlotniczej, ale bombowce lecą za wysoko, żaden nie spada, lecą dalej na wschód. Ogłoszono mobilizację, nikt się nie zgłasza więc patrole NKWD zaczynają chodzić po domach i wykupują mężczyzn. Mieszkałem w bliźniaczym domku w którym na strychu obie części dzieliła ścianka z desek. Kiedy do furtki w ogrodzeniu zadzwonili żołnierze, razem z bratem przeszliśmy przez strych do sąsiada. Przyszli, obejrzeli wszystkie pomieszczenia, matka powiedziała że jestem w pracy w Drohobyczu i poszli. Gdy <sup>przeszli</sup> poszli do sąsiada, on przeszedł do nas. Udało się jednak sformować kilkutyśięczny oddział który pognali gościńcem w stronę Stryja. Po drodze ostrzelano ich z samolotów, wielu zginęło, reszta uciekła do Lwowa.

W poniedziałek Rosjanie zaczęli masowo uciekać. Do pociągów przeznaczonych do wywózki ładowali się bolszewicy razem z rodzinami, walizkami, biurami z aktami, wogóle panika.

Wybucho powstanie ukraińskie, ale jest słabo zorganizowane. Centrala<sup>a</sup> znajduje się w Seminarium ~~Wzrost~~ Ukraińskim przy ulicy Listopada<sup>2</sup> którego wieży odzywa się karabin maszynowy. Na bocznych ulicach, w rejonie Wólki, Kulparkowa, ulicy Li-

stopała we wschodniej części miasta pokazują się patrole, po trzech ludzi w cywilu z karabinami ukrytymi pod płaszcami. W mieście z niektórych kamienic strzelcy wyborowi strzelają do przechodzących żołnierzy. Akcja była niezorganizowana i słaba ilościowo. Rosjanie nie tracili czasu na poszukiwanie Ukraińców. Poprostu z kamienicy z której padły strzały zabierali wszystkich mieszkańców i zapełniali nimi więzienia w Brygidkach, na Zamarynowie i na Łackiego.

W środę niektóre urzędy i część uciekinierów powraca do miasta gdyż zostali zawróceni przez posterunki na dawnej granicy polskiej. W czwartek już następuje masowa ucieczka, a mieszkańcy wracają do swoich dawnych mieszkań i pozostałego mienia. W piątek dalsze ucieczki, czym się da, pociągami, samochodami ale i dorożkami i wozami. Ludzie patrzą nie wierząc własnym oczom, W sobotę miasto już wolne od Rosjan, zaczyna się burzenie gipsowych pomników Stalina, rozbijanie drewnianych cokołów. Żywności nie rabowano, bo jej nie było. Ze ścian lecą szyldy, emblematy, portrety. Powszechna radość, ale i trwożne wyczekiwanie. Jednak Niemiec to przecież wróg.